P. 9786 Chr.
Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Nr 10/240** **1967**

• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

W. GOMBROWICZ : **FRAGMENT Z DZIENNIKA**
M. HŁASKO : **LIST Z AMERYKI**
L. TYRMAND : **FRYZURY M. RAKOWSKIEGO**
J.-G. FLEMMING : **Z WIZYTĄ U AGRESORA**
M. GRUBY : **LIST DO PRZYJACIELA**

SPIS RZECZY

Witold Gombrowicz:	*Fragment z dziennika*	3
Marek Hłasko:	*List z Ameryki*	12
Borys Korczak:	*Człowiek z Atlantydy*	22
" "	*Szlak*	25
" "	*God dag*	28
Andrzej Lubelski:	*Bóg, honor, Ojczyzna*	31

OBSERWATORIUM

Aleksander Hertz:	*Problem murzyński*	36
Gustaw Herling-Grudziński:	*Manifest Praski*	38

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	*„Duchowy jagiellonizm"*	42
Londyńczyk:	*Kronika angielska*	50

PAMFLETY

Leopold Tyrmand:	*Fryzury Mieczysława Rakowskiego*	57

IZRAEL

Ksawery Pruszyński:	*Konsekwencje Palestyny*	74
George J. Flemming:	*Z wizytą u agresora (2)*	77
Michał Borwicz:	*„Sprzymierzeniec" Gomułki*	89

K R A J

Michał Gruby:	*List do przyjaciela*	91
—	*„Krytyk" Flemminga*	101

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Józef Frejlich:	*„Polski Antykomintern"*	103

KRONIKA KULTURALNA

Gustaw Herling-Grudziński:	*Listy Pasternaka*	111
Michał Lisiński:	*Niebezpieczna rewizja prawa autorskiego*	114
Adam Czerniawski:	*Owen, Douglas i poezja wojny*	120
Benedykt Heydenkorn:	*Dwie konferencje slawistyczne*	124
	◆	
Juliusz Mieroszewski:	*Z zapisków oficera czasu wojny (II)*	127

K S I Ą Ż K I

Wacław Jędrzejewicz:	*Amerykanka o Polsce przedwojennej*	133
Danuta Mostwin:	*„Dwadzieścia cztery szyby mam w oknie"*	135
—	*Nadesłane nowości wydawnicze*	142
	◆	
J. Korson:	*Wydarzenia miesiąca*	144
	◆	
Zofia Hertz:	*Humor krajowy*	152
	◆	
G. C. Fuz, J. Łobodowski, J.S., ks. W. Sojka, W. Tarnawski:	*Listy do Redakcji*	153

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik — Octobre **1967**

INSTYTUT LITERACKI

BIBLIOTEKA NARODOWA

NOTA BIOGRAFICZNA

Andrzej LUBELSKI, ur. w r. 1921 w Dęblinie. W czasie wojny m.in. w R.A.F.'ie w W. Brytanii. Wrócił do kraju w r. 1947. Ukończył w Krakowie Wyższą Szkołę Ekonomiczną. Wyjechał z Polski w r. 1958. Mieszka stale w Stockholmie.

◆

WPŁATY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Prof. Alfred Tarski, Berkeley, Calif. (USA) ..... F. 490,00

Nina Sereda, Montreal, Que. (Kanada), po raz dwudziesty trzeci F. 49,00

Wiktoria Sabina Ardasiewicz de Machnik, Buenos Aires ..... F. 588,00

Prof. Aleksander Turyn, Urbana, Ill. (USA) — w dziesiątą rocznicę śmierci Anatola Muhlsteina ..... F. 150,00

DZIĘKUJEMY!

SWIETLANA ALLILUJEWA STALIN

20 LISTÓW DO PRZYJACIELA

Autoryzowany przekład tej sensacyjnej książki
ukaże się
W BIBLIOTECE „KULTURY"
w końcu października rb. — w 50-letnią rocznicę
Rewolucji Rosyjskiej
Książka będzie poprzedzona wstępem
Gustawa Herling-Grudzińskiego

Imprimé en France

BIBLIOTEKA NARODOWA BN P.9786 Chr. Arch.

Fragment z dziennika

6. VIII. 67

Upał — dwa miesiące — ani kropli deszczu — dochodzi do 28 stopni. Z Alp rozkoszna świeżość zstępuje co wieczór, a druga świeżość od morza czasami zawiewa.

Miłosz. Jego żona. Zamieszkali tuż obok, na stoku St. Paul. Dyskusje. Spacery. Od przedwojnia go nie widziałem, ale i wtedy tylko parę razy, więc właściwie prawie go nie znałem.

Zaprzyjaźniliśmy się z miejsca bardzo intensywnie.

Ale to było w maju. Teraz oczekuję przybycia Marii i Bohdana Paczowskich z Chiavari, z którymi też wielkie toczyć się będą dyskusje.

Ząb, u góry, z boku, z prawej strony, a też coś jakby swędziło za uchem.

Jarema wyjechał do Rzymu, a Maria Sperling-Jaremowa na gwałt przygotowuje wystawę swoją w New Yorku.

Z Hamiltonem jeździliśmy codzień do Juan-les-Pins, na plażę.

Jalard, Roux, Christian Bourgois.

Kot.

Odier, Volle, Björnstrom, Boden, Stolpe i jeszcze kilku Holendrów i Szwedów, a też jeden Szwajcar. I Einaudi.

Straciłem smak do jogurtu i najchętniej jadam na wieczór cienkie płatki czerwonego rozbifu z sałatką.

Piwo.

Z Polaków niewielu się tego lata przewinęło. Napisać do Evergreen, odwiedzić Charairów, pójść do pułkownika, czy Piper dojdzie do porozumienia z Neskem, co z Japonią, wysłać papiery, odwalić kupę listów, zatelefonować do Berlina. I ten telegram!

7. VIII. 67

Kupiłem stylową szafę, tudzież stylowy stół i arcyrenesansowe krzesełka.

Zanotujmy, jak było z nagrodą, Prix International de Littérature, dwadzieścia tysięcy dolarów.

Od pięciu lat co najmniej byłem wysuwany do tej nagrody. O ile pierwsi jej laureaci, Beckett i Borges, obaj znakomici, stuprocentowo wydali mi się jej godni, to nazwiska uhonorowane w następnych latach zalatywały mi kalkulacjami, niewiele mającymi wspólnego z czystą sztuką. Moja kandydatura zwolna nabierała rozmachu i już dwa lata temu omal nie załapałem nagrody za „Pornografię". Ale na szczęście zacna pani McCarthy głosowała przeciw mnie. Na szczęście! Ileż zawdzięczam tej świetnej pisarce! Albowiem za sprawą Najwyższego (który zapewne chciał mi wynagrodzić konspiracje, jakich padałem ofiarą) nagrodę akurat potem zreformowano nadając jej większe znaczenie i opatrując podwójną ilością dolarów. Odtąd miała być udzielana tylko co dwa lata i z dziesięciu tysięcy podskoczyła do dwudziestu.

Dzikie żądze mnie chwyciły, gdym z *Le Monde* dowiedział się o tej reformie.

Ale świadom tego, że jestem osobą doskonale prywatną, idealnie samotną, wyzutą z klik, koterii, grup, ambasad, z punktu widzenia politycznego i ekonomicznego nieinteresującą, powiedziałem sobie słowami Cesarza Wszechrosji: *point de reveries!*

Tymczasem paf! Wystrzeliło. Dwadzieścia tysięcy. Taka sumka piechotą nie chodzi, więc, ha, ha, kupię sobie nowy samochodzik!

Natychmiast po otrzymaniu nagrody sporządziłem sobie listę moich wrogów literackich (większość, niestety, to polskie nazwiska) i wyłapując z niej na chybił trafił tego, lub owego, sycił się w wyobraźni tym rozpaczliwym kwasem, tą jakąś zszarzałą cierpkością.

Jedyna bodaj przyjemność. Bo poza tym więcej roboty, niż czego innego, samych wywiadów z górą trzydzieści. Co się tyczy sławy, to okazała się dosyć szczególna. Krytyk francuski, Michel Mohrt, broniąc we wspaniałej mowie mej kandydatury na posiedzeniu jury powiedział między innymi: „W twórczości tego pisarza jest jakiś sekret, chciałbym go poznać, bo ja wiem, może to homoseksualista, może impotent, może onanista, w każdym razie ma w sobie coś z bastarda i nie zdziwiłbym się, gdyby oddawał się pokątnie orgiom w rodzaju króla Ubu". Ta przenikliwa interpretacja mych dzieł i osoby w najlepszym guście francuskim,

została roztrąbiona przez radio i prasę wielojęzyczną, i w konsekwencji młodzież przesiadująca w kawiarni na placyku w Vence widząc mnie przechodzącego z cicha komentuje : — Patrzcie, to ten stary impotent-homoseksualista, który jest bastardem i orgie uprawia! A ponieważ delegacja skandynawska popierała mnie na tymże jury jako „humanistę", więc niektóre sprawozdania prasowe miały tytuł rymowany „Humanista, czy onanista".

W innym sprawozdaniu z obrad przeczytałem, że krytykowi amerykańskiemu, zwolennikowi Mishimy, mego japońskiego rywala, wypsnęło się iż w ogóle nie czytał mojego „Kosmosu". Gdy go zapytano, jak wobec tego może wiedzieć, że „Kosmos" jest gorszy od powieści Mishimy, powiedział iż bardzo mu przykro, ale „Kosmosu" nie mógł przeczytać, bo mu go w porę nie przysłano.

Zanotuję też, iż Jury zapomniało zawiadomić mnie o przyznaniu nagrody. Po ośmiu dniach wyczekiwania, jeszcze oficjalnego telegramu nie mając, napisałem do Nadeau żeby się poinformował, co to znaczy. Jak się okazało, Sekretarz Generalny zgubił gdzieś mój adres, a potem powiedział sobie że nie warto mnie zawiadamiać, bo już z prasy się dowiedziałem.

Ale to są drobiazgi, jestem poniekąd przyzwyczajony, grunt że nagrodę mam w kieszeni i wyścig ten, trzeba powiedzieć, wziąłem w cuglach, bo ku powszechnemu osłupieniu w głosowaniu eliminacyjnym z trzydziestu kandydatów wszyscy odpadli, tylko Mishima i ja zostaliśmy na placu. Mam więc zaświadczenie na piśmie, że jestem pisarzem wysokiego autoramentu i certyfikat ten podpisany jest przez śmietankę międzynarodowej krytyki. Tryumf! Sukces! Brawo! Dlaczegóż jednak, laureacie, twarz ci tężeje, staje się surowa — odstręczająca — i asceza jakaś — jakiś egzotyzm — i samotność — i głucha powaga — i głęboka niechęć — i przykra ironia — jakby zamykały ją na siedem pieczęci?... Twarz obca i wyrażająca to jedno: niech wokół ciebie tańczą, jak chcą, ty ani drgnij!

Mieroszewski dziwi się w *Kulturze,* że Polacy na emigracji nie dość cieszą się z mego sukcesu. Dziwię się, że on się dziwi. Dla nich taka nagroda to co najwyżej *testimonium paupertatis,* dowód, że we własnych swoich wartościach nie umieją się połapać. Z czegóż tu się cieszyć? Gdyby któryś z „naszych" taką nagródkę chapsnął, np. Wierzyński, byłby jubel w narodzie. Ale ze mną, tak czy owak, tylko same nieprzyjemności.

Niech wokół ciebie tańczą, jak chcą, ty ani drgnij! Że moje rzeczy od trzydziestu lat nie straciły nic na żywotności, że taka „Ferdydurke" dziś, jak przed laty, może być powitana wybuchem radości przez Włocha, Duńczyka, Kanadyjczyka, Paragwajczyka — to dla mnie jest ważne!

8. VIII. 67

Literaturo polska! Ja, w łachmanach, obskubany, obszczypany, ja pozer, renegat, zdrajca, megaloman, składam u twoich stóp wawrzyn międzynarodowy, najświętszy od czasów Sienkiewicza i Reymonta.

(Uprasza się o nie przysyłanie kondolencji).

9. VIII. 67

(Umówiłem się z Dominikiem de Roux, że niektóre nasze rozmowy — w związku z książką „Rozmowy z Gombrowiczem", jaką przygotowuje do druku — ukażą się naprzód po polsku, w moim dzienniku w Kulturze.

Odbywa się to w ten sposób, że ja mówię po polsku do magnetofonu. Ten polski tekst podaję, nieco wygładzony, pod tytułem:)

ROZMOWY Z DOMINIKIEM DE ROUX

Mam opowiedzieć panu moje życie w związku z moim dziełem? Nie znam ani mojego życia, ani dzieła. Wlokę za sobą przeszłość, jak mglisty ogon komety, a co do dzieła, też niewiele wiem, bardzo niewiele.

Ciemność i magia.

Widzi pan, z góry muszę przeprosić, że w tych zwierzeniach, dość zresztą pobieżnych, nie będę mógł uniknąć takich słów mocniejszych, jak na przykład magia. Albo ciemność. Czytałem kiedyś wspomnienia pewnego alpinisty ze wspinaczki na trudną i wysoką górę. Otóż ten opis był zupełnie sfałszowany, gdyż autor poczuwając się do sportowej skromności pisał „lewa noga mi się osunęła i zawisłem przez dziesięć sekund nad przepaścią, póki prawą nogą nie wymacałem wystającego kawałka skały". Sportowa skromność nie pozwoliła mu uzupełnić tego zdania ogromem przepaści, ogromem wysiłku i ogromem lęku.

Na pociechę dodam, że w moim życiu i dziele dramat i antydramat splatają się nierozdzielnie, więc wielkie słowa zostaną zrównoważone małymi słowami.

◆

Naprzód o mojej rodzinie, to ma swoje znaczenie. Pochodzę

z rodziny szlacheckiej, która przez jakieś czterysta lat miała posiadłości na Żmudzi, niedaleko Wilna i Kowna. Ta moja rodzina była nieco lepsza pod względem stanu posiadania, urzędów, koligacji, od przeciętnej szlachty polskiej, ale nie należała do arystokracji. Nie będąc hrabią miałem pewną ilość ciotek hrabin, ale hrabiny też nie były w najlepszym gatunku, były takie sobie.

W roku 1863 car rosyjski konfiskuje memu dziadkowi, Onufremu Gombrowiczowi, jego majątki Lenogiry, Mingayłów i Wysoki Dwór, za rzekomy udział w powstaniu polskim. Dziadek przenosi się w Sandomierskie (200 km. na południe od Warszawy) gdzie za resztki pieniędzy kupuje mały folwark. Jego syn, a mój ojciec, Jan, żeni się z posażną córką Ignacego Kotkowskiego, właściciela dóbr Bodzechów, i kupuje majątek Małoszyce, gdzie ja się urodziłem.

Mój ojciec nie był tylko obywatelem ziemskim, pracował także w przemyśle. Rozpoczął tę pracę jako dyrektor fabryki papieru w Bodzechowie, należącej do mego dziadka Kotkowskiego, a potem zajmował rozmaite stanowiska w zarządzie dużych przedsiębiorstw przemysłowych.

Tak więc w owej proustowskiej epoce, na początku stulecia, byliśmy rodziną wykorzenioną, o sytuacji społecznej niezbyt jasnej, pomiędzy Litwą a Kongresówką, pomiędzy wsią a przemysłem, pomiędzy tzw. lepszą sferą a średnią. To tylko pierwsze z tych „pomiędzy", które w dalszym ciągu rozmnożą się wokół mnie do tego stopnia, iż prawie staną się moim miejscem zamieszkania, moją właściwą ojczyzną.

Mój ojciec? Piękny mężczyzna, rasowy, okazały, a też poprawny, punktualny, obowiązkowy, systematyczny, o niezbyt rozległych horyzontach, niewielkiej wrażliwości w rzeczach sztuki, katolik, ale bez przesady. A moja matka była żywa, wrażliwa, obdarzona dużą wyobraźnią, leniwa, niezaradna, nerwowa (i bardzo), pełna urazów, fobii, iluzji. (W rodzinie Kotkowskich sporo było chorób umysłowych; gdy przyjeżdżałem do mojej babki na wieś bałem się okropnie: dom duży, parterowy, przedzielony był na dwie części, w jednej mieszkała moja babka, a w drugiej jej syn, brat mojej matki, wariat nieuleczalny, który chodząc w nocy po pustych pokojach usiłował zagłuszyć strach dziwnymi rozhoworami, przetaczającymi się w pienia jakieś przedziwne, które kończyły się nieludzkim wrzaskiem; całą noc to trwało; wdychałem szaleństwo). Ja jestem artystą po matce, a po ojcu jestem trzeźwy, spokojny, opanowany. Ale moja matka miała też jedną cechę wysoce drażniącą, należała mianowicie do osób, które nie umieją zobaczyć siebie takimi, jakimi są. Więcej: ona widziała siebie akurat na opak — i to już miało cechy prowokacji.

Z natury była, jak się rzekło, leniwa i niezaradna, a że w owych proustowskich czasach służby było dużo, więc guwernantka francuska zajmowała się dziećmi, jej zaś rola sprowadzała się do wydawania zleceń kucharzowi, pokojówce, czy ogrodnikowi. Nie przeszkadzało jej to mówić, że „wszystko na mojej głowie", że „praca uszlachetnia", że „ogród w Małoszycach to moje dzieło", że „na szczęście jestem dosyć praktyczna".

„Lubię w wolnych chwilach poczytać Spencera, Fichtego" mówiła najzupełniej szczerze, choć dzieła tych filozofów, zalegające dolne półki biblioteki, świeciły nierozciętymi stronami.

Widzi pan, Dominiku, ona

była z natury	*wyobrażała sobie, że jest*
impulsywna, naiwna	opanowana, krytyczna
chimeryczna	zdyscyplinowana
o kulturze raczej salonowej	intelektualistka
anarchiczna	organizatorka
trwożliwa	odważna
łakoma	niełakoma
lubiąca wygody	ascetyczna, niezłomna.

Imponowało jej to, czym nie była. Podziwiała znakomitych lekarzy, profesorów, wielkich myślicieli i w ogóle „ludzi poważnych". Jej ideałem był typ matrony o niezłomnych ideałach i zasadach (katolickich), oddającej się obowiązkowi, poświęcającej się dla rodziny. I z jakąż świętą naiwnością utożsamiała się z tym, co podziwiała!

To ona pchnęła mnie w absurd, który stał się później jednym z najważniejszych elementów mojej sztuki.

My, chłopcy (było nas trzech, dwaj moi bracia i ja, najmłodszy) wcześnie odkryliśmy tę idealną okazję do przekomarzania się i drażnienia. Polegało to na zaprzeczaniu, na zaprzeczaniu absolutnie wszystkiemu, co by powiedziała, i, rzecz pewna, zwłaszcza mój brat Jerzy i ja doszliśmy w tym do niebywałego zgrania. Wystarczyło aby moja matka powiedziała „słońce świeci", a odpowiadaliśmy z największym zdziwieniem „jakto, przecież deszcz pada!"

„Co za mania mówienia głupstw!" oburzała się, ale Jerzy mówił pojednawczo „powiedzmy, że nie pada, ale mógłby padać", a ja dodawałem po namyśle „przyjmijmy, że nie pada, ale jakby zaczęło padać, to by jednak padało".

Sport wciągania mojej matki w absurdalne dyskusje był jednym z pierwszych moich artystycznych (i dialektycznych) wtajemniczeń. Ona, o głębokich i namiętnych uczuciach, stojąca na straży „świętości", oraz „rodziny, tej komórki społeczeństwa" surowo potępiała rozwody, które pleniły się jak na złość w naszym środowisku. Więc naturalnie: „nowy rozwód w rodzinie!"

obwieszczał tubalnie Jerzy, jeszcze w przedpokoju, zdejmując palto. Nie odpowiadała wietrząc zasadzkę. Ja odzywałem się z drugiego pokoju: — Co ty mówisz?! Nowy rozwód w rodzinie?! Niemożliwe! — Ależ tak, właśnie spotkałem ciotkę Różę, która zwierzyła mi się w najściślejszej dyskrecji, że Henrykowie będą się rozwodzić, bo ona zakochała się w swoim fryzjerze. Ja: — A to ładna heca! itd. W końcu moja matka ukazywała się roztrzęsiona: — Jeśli Henrykowa jest na tyle cyniczna, to nie będzie można jej przyjmować!

— Ależ dlaczego, odpowiadaliśmy, przecież ciocia Ela już dwa razy się rozwiodła i gra ze swoimi trzema mężami w bridża, mówi że tworzą doskonałą partię. Rozwody mają jednak dużo dobrych stron, ona mówi że jej dzieciom zapewniły podwójną ilość rodziców...

Dyskusja o rozwodach była wieloletnia, nieustająca, rosnąca swoim ogromem. Boski absurdzie! W tej to szkole nauczyłem się heroicznego zapamiętania się w nonsensie, uroczystej zawziętości w głupstwie, celebracji nabożnej kretyństwa... o, formo! Przerażające idiotyzmy mojej sztuki, które nigdy nie przestaną mnie zachwycać, ta jej zdolność splatania głupstw w łańcuch nieubłaganej logiki, stąd biorą w dużej mierze swój impuls.

◆

Ale ona nie wiedziała, jak świetnym jest pedagogiem. Nic bardziej zdrowego, pouczającego, wyrabiającego charakter i rozum, od jej wad straszliwych. Ona była dla mnie szkołą wartości, do szału dręczony jej samooszukaństwem wyostrzałem w sobie poczucie *qualitas,* jakości, co jest fundamentem wszelkiej pracy artystycznej. Sztuka jest tym właśnie: wybieraniem jakości lepszej, odrzucaniem tego co gorsze, jest oparta na najsurowszej hierarchii wartości, na ciągłym wartościowaniu. Zaczynałem rozumieć czym jest krytycyzm, chłód, dystans, niepoddawanie się kiepskim, wygodnym, złudzeniom. Bez odrobiny litości, bez miłości, z zimną ironią prowadziłem moją grę z nią, przez wiele lat.

Ona bardzo mnie kochała.

Z niej też bierze się mój kult rzeczywistości. Mam siebie za krańcowego realistę. Jednym z naczelnych zadań mojego pisania to przedrzeć się poprzez Nierzeczywistość do Rzeczywistości. Ona była bodaj pierwszą chimerą, w którą uderzyłem.

◆

Niewątpliwie, moja matka była wytworem warunków, które, jak mówią marksiści, jej byt określały. I nic dziwnego, że poprzez

nią dotarłem dość wcześnie do największej hańby mojej rodziny: nasze życie było ułatwione. Służba! Służba! To oni ścierali się z życiem, nam na półmiskach przynoszono frykasy, byliśmy konsumentami. Wydelikacenie sfery „wyższej", jej smakoszostwo, wygodnictwo, sybarytyzm, lenistwo, rzuciły mi się w oczy chyba już w okolicach dziesiątego roku życia.

Zachował mi się w pamięci i często mi powracał, taki obraz: parobek w kurtce, bez czapki, rozmawiający na deszczu z moim bratem, Januszem, który był w palcie i pod parasolem. Świetna surowość oczu, policzków, ust tego parobka pod deszczem ostro zacinającym. Piękność.

Ale może, gdyby nie „gwardia", ja nie byłbym w wieku późniejszym tak uwiązł w niższości. Ta gwardia, to byli moi rówieśnicy, synowie fornali, rodzaj wojska, któremu ja przewodziłem. Ale oni lepiej trzymali się na koniu, lepiej skakali i lepiej wyłazili na drzewa, ja, dowódca, byłem właśnie najgorszy. Proszę, taki sen z owych czasów: Małoszyce, oni na trawniku przed domem oczekują mojego pojawienia się, a ja błąkam się po domu, podchodzę do okien, po kryjomu spoglądam na nich, cofam się za firankę, przechodzę z pokoju do pokoju, zbliżam się do okien, patrzę... ale wyjść do nich nie mogę!

Były to czasy pierwszej wojny światowej, front ze cztery razy przetoczył się przez nas, tam i z powrotem, grzmoty dalekie, coraz bliższe, armat, pożary, wojska uciekające, wojska nacierające, strzelanina, trupy nad stawem — a też długie postoje oddziałów rosyjskich, austriackich, niemieckich — my, chłopcy, zabawialiśmy się zbieraniem naboi, bagnetów, pasów i ładownic. Odór brutalności wdzierał się, podniecający, choć moja pańskość chroniła mnie od bezpośredniej styczności z wojną.

Tak, nienawidziłem salonu, uwielbiałem po cichu kredens, kuchnię, stajnię, parobków i dziewki — jakimż marksistą byłem wtedy — i mój wcześnie zbudzony erotyzm, sycony wojną, gwałtem, żołnierskim śpiewem i potem, przykuwał mnie do tych ciał od twardej roboty i brudnych. Niższość na zawsze stała się moim ideałem. Jeśli kogo uwielbiałem, to niewolnika. Ale nie wiedziałem, że uwielbiając niewolnika staję się arystokratą.

Jeszcze chwilę będę mówił, potem przejdziemy do dialogu. Jak pan widzi, rozpatrując *à vol d'oiseau* moje dzieciństwo mogę z grubsza rozróżnić pewne prapoczątki, określić nawet pewien teren, na którym rozegra się całe moje życie. Kult absurdu, rzeczywistość-nierzeczywistość, niższość-wyższość, pańskość-służba, już wtedy mną owładnęły. Jeszcze jedno, ja już wtedy miałem podwójne życie. Nie dopuszczałem nikogo do tego czegoś we mnie, co było niejasne, odrębne, i za nic nie chciało wydostać się na światło dzienne. I jeszcze: zupełnie niezdolny byłem do miłości. Miłość została mi odebrana na zawsze i od samego zarania, ale nie wiem, czy to dlatego, że nie umiałem znaleźć na nią formy, właściwego wyrazu, czy też nie miałem jej w sobie. Nie było jej, czy ją w sobie zdusiłem? A może matka mi ją zabiła?

A też trzeba wziąć pod uwagę... bo przecież to nie jest tak, że my spokojnie przypominamy sobie przeszłość, spacerujemy po niej, rozważamy ją beznamiętnie. Nie, teraźniejszość zawsze jest agresywna, nawet u schyłku życia, i to życie teraźniejsze im bardziej urobione, wykute, ostre, określone, w pełni swojej ekspresji, zanurza się w pradawne męty żeby wyłowić to tylko, co mu jest potrzebne do jeszcze lepszego uzupełnienia teraźniejszego kształtu. Ja może nie tyle przypominam sobie przeszłość, ja ją raczej pożeram, ja ją sobie — taki, jak jestem dzisiaj — przyswajam.

Dość. Teraz pan ma głos. Proszę, niech pan stawia pytania.

Witold GOMBROWICZ

List z Ameryki

PANOWIE BEZ KRAWATÓW CZYLI PAMIĘTNIK NIKCZEMNIKA

W tym roku obchodzę osiemnastolecie tak zwanej działalności przestępczej. Często myśląc o tym skromnym jubileuszu niepokoiłem się, iż to tak wiele znaczące dla mnie święto spędzę w ciszy i zapomnieniu; stało się jednak zupełnie inaczej dzięki życzliwości i serdeczności Policji Hrabstwa Los Angeles. Wdawszy się w awanturę zostałem zaproszony przez deputowanych szeryfa do złożenia im wizyty i już na miejscu, drogą łagodnych perswazji, pozbawiony zostałem sznurowadeł i paska, po czym udałem się na spoczynek.

Po częściowym odzyskaniu przytomności, uniosłem ze snu skroń i postanowiłem również odzyskać wolność. Długie łomotanie do drzwi nie przyniosło skutku. Na dole jakaś młoda kobieta wrzeszczała histerycznie i od czasu do czasu słyszałem monotonny głos policjanta, pytający:

— Jak się pani nazywa? Jak się pani nazywa?

Młoda osoba musiała znajdować się pod działaniem jakiegoś narkotyku gdyż odpowiedzi jej wprowadzały w zdumienie nie tylko policjanta ale również moich współtowarzyszy, obiecujących młodzieńców z więzienia San Quentin, których przedwczoraj zwolniono warunkowo, a którzy teraz oczekiwali na transport do więzienia Centralnego w Los Angeles skąd mieli wrócić do swego poprzedniego przytuliska, aby następnie znów powrócić do miejsca w którym ich zaaresztowano, pod zarzutem sfałszowania czeku opiewającego na sumę czternastu dolarów. I tak na kolejne pytanie policjanta: „Jak się pani nazywa", młoda osoba odpowiedziała: „Kitty Golden Cunt" po czym poczęła bredzić: „Czy są w ogóle diabły? A jeśli są to co diabeł robi na deszczu?

Moja matka zawsze mówiła, że jeśli mężczyzna nie ożeni się do trzydziestki, to potem nie ożeni się nawet żeby go rąbać siekierą".

Młodą osobę uznano za chwilowo niezdolną do złożenia zeznań i zaproponowano jej spędzenie nocy na koszt Hrabstwa Los Angeles. Postanowiono wobec tego opróżnić celę w której siedziałem wraz z mymi młodymi druhami i zaprowadzić tam dziewczynę. Najpierw wyprowadzono mnie. Kiedy przechodziłem obok śpiącej dziewczyny i usiłowałem przekonać policjanta, że jestem już w stanie udać się do domu na własnych nogach, policjant powiedział ostrzegawczo:

— Uważaj brudny skurwysynu! To jest kobieta, nie?

Umieszczono nas w sąsiedniej celi gdzie były tylko dwa łóżka, na których smacznie spali jacyś panowie o wyglądzie łachudrów. Kiedy obudziliśmy ich prosząc, aby ustąpili nam nieco miejsca, spotkaliśmy się ze wściekłym oporem popartym argumentacją moralną, polegającą na stwierdzeniu, iż obaj panowie nie posiadają stałego miejsca pobytu i że czekanie na transport do więzienia Centralnego stanowi być może jedyną okazję do wygodnego wyspania się. Ponieważ mnie kompletnie zawiódł kunszt oratorski a młodzieńcy z San Quentin nie należeli do ludzi o usposobieniu gadatliwym, skończyło się na tym, iż jeden z nich kopnął bezdomniaka w twarz, drugi bezdomniak zeszedł już w milczeniu i położył się obok swego towarzysza na ziemi a ja położyłem się na dolnym łóżku z chudszym przestępcą.

Koło godziny dwunastej obudzono nas ku wyraźnemu niezadowoleniu wszystkich mieszkańców celi i misternie skuwszy nas kajdanami wyprowadzono do samochodu policyjnego, który brzegiem Pacyfiku powiózł nas ku Los Angeles. Jeden z młodzieńców, należący do tak zwanych specjalistów-wróżek, głośno dzielił się swymi myślami ze mną:

— Reszta parolu — sześć miesięcy. Sfałszowanie czeku — może być dwa, może być pięć. Opieranie się w czasie aresztu — to może być pół roku. Pijaństwo za kierownicą po raz trzeci, znowu pół. Wszystko zależy od tego czy mój adwokat każe mi powiedzieć „winny" czy „niewinny". I w ogóle wszystko zależy od sędziego.

Przyjechawszy do Więzienia Centralnego spotkaliśmy się z żywym i uprzejmym przyjęciem. I podczas kiedy niektórzy z nas pozbywali się raźno swych rzeczy, inni musieli poddać się oględzinom dwumetrowego policjanta w wieku lat może dwudziestu dwóch, który do każdego więźnia zwracał się per „synu" nawet jeśli więzień miał lat sześćdziesiąt. Zapadł mi w serce dialog który przeprowadził z pewnym beznogim starcem.

— Stanowczo domagam się mojej nogi — mówił starzec.

— Nie miałeś nogi, synu — mówił łagodnie policjant.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

— Owszem, oficerze, miałem — mówił rozgoryczony patriarcha. — Każdemu więźniowi przysługuje prawo do drewnianej nogi, sztucznej szczęki a nawet okularów w drucianej oprawie.

— Klnę się na Boga, synu, że nie miałeś nogi — mówił policjant z męczeńskim uśmiechem.

— Pan jest oficerem policji, prawda?

— A co? Może nie wyglądam na takiego?

— To dlaczego nie zna pan regulaminu obowiązującego w Federal Correctional Institution, Texacarana?

— Przecież my nie jesteśmy w Texacarana. To jest więzienie Centralne w Los Angeles.

— To jak to się stało, że ja jestem tutaj? — powiedział ze zdziwieniem patriarcha. — Przecież jeszcze dwa dni temu byłem w Texacarana.

— A czy nie wstąpiłeś na piwo, po tym jak cię zwolnili stamtąd?

Na twarzy patriarchy odbiła się męka myślenia.

— Owszem, wstąpiliśmy — powiedział. — Co leci przeciw mnie, oficerze?

— Pijaństwo i włóczęgostwo, synu.

— Włóczęgostwo? Przecież nie mam nawet nogi.

— Prawo nie myli się nigdy — powiedział policjant. — Nie utrudniaj mi, synu. — Widziałem jak patriarcha odpełzł do następnego stołu, gdzie zapytano go o imię i datę urodzenia matki. Patriarcha nie mógł sobie tego przypomnieć, więc inny oficer powiedział uprzejmie: — To nie szkodzi, synu. Podaj co chcesz. Chodzi o to, aby była choć o dzień starsza od ciebie.

Czekając na swoją rozmowę z dwumetrowym policjantem patrzyłem na rozbierających się młodych ludzi o długich włosach. Nie myślę, abym widział w życiu coś podobnego. Byli to w większości narkomani; ich wyniszczone, stare twarze kontrastowały w sposób przerażający z wychudłymi ciałami o mięśniach w stanie atrofii. Wyglądali jak statyści z filmu o Bergen-Belsen; brudu ich nie da się opisać, a nogi ich — jakby to powiedział Mistrz Gałczyński — wydzielały niepokojący, metafizyczny zapach.

— Synu — powiedział dwumetrowy.

Podszedłem do ściany zniewolony do tego jego uśmiechem, o którym on zapewne myślał, iż jest uprzejmy; ale który niewątpliwie niósł w sobie elementy zachęty. Rewizja odbywa się w ten sposób, iż szeroko rozkraczywszy nogi trzeba oprzeć się rękami o ścianę. Stojący za tobą policjant wsuwa swoją nogę między twoje, tak, aby przy próbie oporu zręcznie wytrącić ci ziemię spod nóg. Więzień pada wtedy twarzą na betonową posadzkę, co stwarza niezapomniane afekty humorystyczne i zapewne przyczynia się do wesołości, a tym samym zdrowia moralnego, innych bandytów. Zauważywszy moje nieśmiałe próby utrzymania równowagi, co nie stanowiło mojej mocnej strony owej nocy, dwumetrowy policjant powiedział łagodnie:

— Co z tobą, synu? Przecież byłeś tu już przedtem, nie?

Następnie przeszedłem do skromnie, lecz gustownie urządzonego atelier w celach sporządzenia fotografii pamiątkowej, która stanowić będzie mój mały wkład w trud założenia albumu przestępców. Fotografem nie był jednak policjant tylko więzień o duszy niewyżytego artysty. Człowiek oczekujący przede mną wyglądał na zawodowego dusiciela i twarzy jego trudno odmówić było siły i ekspresji; z jakiegoś jednak powodu, mimo iż twarz oczekującego rozjaśniał żywy, wewnętrzny uśmiech, fotograf nie był zadowolony.

— Troszkę w lewo, Harry — mówi spoza kamery. — Tak, teraz lepiej. O, nie, nie. Przedtem było lepiej. Nie gniewaj się Harry, ale naprawdę wyglądasz jak podlec. Teraz jest dobrze. — Błysnęło światło i Harry odszedł w bok, dyskretnie brzęcząc kajdanami.

Stanąłem przed kamerą starając się wyglądać swobodnie a jednak godnie jak przystało okolicznościom; artysta nie był jednak zadowolony i ze mnie.

— Śmiej się!

— Nie mam powodu.

— Chcesz mieć chyba dobre zdjęcie, nie? Nie będzie ci wstyd jeśli wyglądać będziesz jak jełop? Powiedz: nie będzie ci wstyd?

— Nie mam powodu aby się uśmiechać — powiedziałem małodusznie, myśląc o kosztach adwokata i sądu.

Odpowiedź moja zdumiała i być może nawet zgorszyła artystę.

— Co to znaczy? — powiedział. — Spójrz na Harrego. Dostanie najmarniej dziesiątkę a dawno nie zrobiłem lepszego zdjęcia.

Aby mnie przekonać i pomóc mi w przezwyciężeniu mej nędznej małoduszności, Harry zabrzęczał porozumiewawczo kajdanami i artysta uznał iż zdjęcie będzie w porządku.

Czekając na oficera pochłoniętego pobieraniem odcisków daktyloskopijnych, słyszałem rozmowę jaką prowadził z pewnym panem, również wyglądającym na jednego z tych, których nie powinniśmy spotykać na wąskim moście.

— Co jest? Spokojnie. Rękę trzeba trzymać luźno.

— Kiedy dostałem kulę w przegub.

— Od kogo?

— Od kogoś, kto chciał mnie zastrzelić.

— I co się z nim stało?

— Ktoś go zastrzelił.

— A ty pewnie nie wiesz kto?

— Nie.

— Jesteś dobry chłopak — powiedział policjant i skinął na mnie.

Znalazłszy się w celi usiadłem obok jakiegoś pana, który umilał swym towarzyszom czas gawędą towarzyską:

— I wtedy wyprowadzili Johnny'ego. Johnny trzymał się jeszcze na nogach, ale wyglądał na wykończonego. Za nim szedł ksiądz i też nie wyglądał lepiej i myliła mu się modlitwa, tak, że trwało to długo zanim przywiązali Johnny'ego do fotela. A potem rozcięli mu rękawy koszuli i założyli elektrody i jeszcze jedną na czubek głowy.

— A nogi? — zapytał inny więzień.

— Nogi też. A potem puścili przez niego prąd i wtedy widać było, jak wszystkie jego włosy wyprostowały się nagle...

— Prostują włosy? Gdzie? — zainteresował się nagle jakiś kędzierzawy Murzyn siedzący do tego czasu w milczeniu. Kiedy jednak udzielono mu życzliwych informacji, usunął się w bok, wyglądając nie wiadomo dlaczego na człowieka zniechęconego.

Owej nocy jadąc ze stacji Szeryfa w Malibu do Więzienia Centralnego wsłuchiwałem się w radio. Słyszałem głos jakiejś młodej kobiety mówiący do wszystkich radiowozów: „Podejrzanego widziano na rogu Fuller i Sunset. Podejrzany krwawi i jest uzbrojony. Ucieka w kierunku Santa Monica Boulevard. Potwierdźcie". Potem usłyszałem kilkanaście głosów, podających numery swych jednostek i wypowiadających słowo „Roger". Przez chwilę trwała cisza a potem któryś z policjantów działających w tamtym terenie powiedział: „Mamy go. Sprowadźcie ambulans". Młoda kobieta powiedziała: „Roger. W Fordzie Fairlane, rocznik prawdopodobnie pięćdziesiąt siedem, ucieka podejrzany o posiadanie narkotyków. Numer licencji nie zidentyfikowany; kolor czarny lub ciemno niebieski. Potwierdźcie. Podejrzanego widziano uciekającego Santa Monica w kierunku South". I znów usłyszałem głosy policjantów podające numery swych jednostek. A nim skręciliśmy na autostradę usłyszałem głos policjanta, znów tak samo spokojny i beznamiętny jak i głos młodej kobiety: „Mamy go. *Over and out*"; na co znów młoda kobieta odpowiedziała „Roger" i znów usłyszałem inną transmisję.

Słowa „Roger", „Over", „Out" należą do frazeologii lotniczej i policyjnej. Słowo „Roger" oznacza potwierdzenie; słowa *„over and out"* oznaczają: „Otrzymałem twoją ostatnią transmisję i nie spodziewam się od ciebie odpowiedzi". Tak więc w sprawie tych dwóch ludzi, z których jeden uciekał zakrwawiony w stronę południową, podczas gdy drugi w tę samą stronę uciekał skradzionym samochodem, nie będzie się już więcej mówić tej nocy przy pomocy radia. Czekają ich godziny a może miesiące śledztwa; po czym wyrok i kara. Ale kim byli ci ludzie? Nie wiedziałem; mogłem o tym tylko myśleć patrząc na innych więźniów.

Być może wmieszali się w zbrodnie przez głupotę; być może zostali namówieni przez innych; być może zawinili tu rodzice, przyjaciele czy ich żony. Lecz teraz nie było to już ważne; teraz nie byli już tymi samymi ludźmi, którymi byli przed pięcioma minutami. Ich działanie, ich myślenie; nawet ich funkcje fizjologiczne zależeć będą od myślenia, działania i fizjologii innych ludzi. Stając się więźniem stajesz się dla samego siebie człowiekiem nowym i nieznanym. To co było dla ciebie rzeczą naturalną przed minutą, może stać się przestępstwem teraz; to co napawało cię ohydą przed minutą musi stać się teraz dla ciebie rzeczą normalną. Nim odsłonisz swoje myśli przed innymi ludźmi musisz wpierw odsłonić swoje ciało, którego być może się wstydzisz; które być może jest brzydkie i słabe i brudne z powodu tobie znanego, ale który innym wyda się niewystarczającym usprawiedliwieniem. Tym innym, którzy także stali się innymi.

A potem musisz jeszcze odkryć swoje myśli. Od twej inteligencji i od twego sprytu zależeć będzie czy odkryjesz je w sposób dla ciebie korzystny. Sartre w swej książce o Jean Genet, mówi: „The fascination that the police have for the thief is manifested by thief's temptation to confess when he is arrested. In the presence of the examining magistrate who questions him, he is seized with giddiness; the magistrate speaks gently to him, perhaps with kindness, explaining what is expected of him; practically nothing; an assent. If only once, just once, he dit what was asked of him, if he uttered the 'yes' that is requested, harmony of minds would be achieved. He would be told, 'That's fine', perhaps he would be congratulated. It would be the end of hatred. The desire to confess is the mad dream of universal love; it is, as Genet himself says, the temptation of the human". W tym co napisał Sartre jest zalążek prawdy czemu nie należy się dziwić.

W ciekawym piśmie „Psychology to-day" znajdujemy artykuł pt. „The Psychology of Police Confessions". Między innymi opisany tu został casus Whitmore; historia o człowieku, który przyznał się do całego szeregu niepopełnionych zbrodni. W czerwcu 1964 policjant Frank Isola przybył na pomoc Mrs. Elba Borrero, która została napadnięta przez jakiegoś osobnika w Bronxville, części dzielnicy Brooklyn. Napastujący zbiegł; Mrs. Borrero opisała go jako Murzyna 5 stóp 9 cali wzrostu, ze śladami

ospy, ważącego około 165 funtów, ubranego w płaszcz deszczowy z którego udało jej się w czasie walki z napastującym urwać guzik. Guzik ten stanowił jedyny materiał obciążający w tej sprawie.

O godzinie ósmej dnia następnego policjant Frank Isola i detektyw Richard Aidala zaaresztowali George Whitmore, Jr. pod zarzutem usiłowania dokonania gwałtu na wspomnianej już Mrs. Borrero. Whitmore był osobnikiem stosunkowo niskiego wzrostu — około 5 stóp i 5 cali — i ważył zaledwie 140 funtów. Ale Whitmore miał na sobie płaszcz deszczowy bez jednego guzika i był Murzynem. Został aresztowany, ponieważ, jak cytuje autor: „There was a reasonable ground for suspicion supported by circomstances strong in themselves".

Mrs. Borrero zidentyfikowała go jako napastnika i o godzinie 10.30 tego samego ranka Whitmore zeznał, iż usiłował dokonać gwałtu na oskarżającej. Około południa tego samego dnia, Whitmore zeznał również, że zamordował przy pomocy noża niejaką panią Edwards.

Przeglądając rzeczy należące do Whitmore detektyw Bulger znalazł fotografię białej dziewczyny. Przez osiem ostatnich miesięcy, poprzedzających aresztowanie Murzyna Whitmore, Bulger i inni funkcjonariusze policji pracowali nad wykryciem podwójnego morderstwa, popełnionego na dwóch młodych dziewczynach Janice Wylie i Emily Hoffert, które zostały zasztyletowane w swoim mieszkaniu w dzielnicy Manhattan. Bulger rozpoznał zdjęcie znalezione w rzeczach Whitmore jako fotografię jednej z zamordowanych dziewczyn — Janice Wylie. O godzinie 4 popołudniu Whitmore „pękł" i zeznał, iż iż jest również mordercą dwóch dziewczyn — było to jego trzecie zeznanie w ciągu dwudziestu godzin i policjanci oświadczyli: „Znaleźliśmy przestępcę; nie ma co do tego wątpliwości". Zeznanie Whitmore zostało spisane na 61 stronach; zawierało wszelkie niezbędne detale łącznie ze szkicem mieszkania, w którym Whitmore „zamordował" dwie dziewczyny.

Jednak w dwa tygodnie później policja odkryła, iż zdjęcie znalezione przy Murzynie nie było wcale zdjęciem zamordowanej miss Wylie. W międzyczasie Whitmore został już osądzony i skazany za próbę gwałtu; nieco później odkryto, iż guziki płaszcza należącego do Whitmore „were different in size, shape, design and construction from the button Mrs. Borrero had torn off her attacker's coat". District Attorney dzielnicy Brooklyn, S. A. Lichtman powiedział: „We have nailed George Whitmore on the button, to speak so".

W październiku tego samego roku mieszkaniec Nowego Jorku, Nathan Delaney, poinformował policję, iż przyjaciel jego Richard

Robles przyznał mu się do zamordowania dwóch dziewcząt. Rozpoczęto nowe śledztwo, przy czym okazało się iż znaleziona przy Whitmore fotografia przedstawia Arlene Franco, która oświadczyła policji, iż zdjęcie to po prostu wyrzuciła. Whitmore znalazł je i zatrzymał dla siebie. Zarówno Arlene Franco jak i George Whitmore mieszkali w Wildwood i kiedy dwóch świadków przysięgło, iż widziało Whitmore w Wildwood tej samej nocy kiedy zostały zamordowane dwie dziewczyny w Manhattam, George Whitmore został zwolniony.

Zagadką pozostaje dlaczego przyznał się do szeregu niepopełnionych przez siebie przestępstw. Whitmore twierdzi iż był bity; policja temu zaprzecza. Na to właśnie stara się odpowiedzieć autor atykułu, Philip G. Zimbardo.

Metody policji o których czytamy w książkach i które pokazywano nam w kinie, nie mają nic wspólnego z rzeczywistością, powiada autor. Pokój w którym odbywa się przesłuchanie *nie* jest ciemną norą, w której jedynym źródłem światła jest silna lampa świecąca wprost w oczy przesłuchiwanego. Pokój w którym odbywa się śledztwo, według Zimbardo, sprawia wrażenie pokoju prywatnego a jeśli nawet w oknie są kraty, przypominają one raczej wrota wiodące do ogrodu. Pokój jest jednak nagi; bez obrazów; przesłuchiwany powinien siedzieć na krześle bez poręczy, tak, aby każdy ruch jego ciała mógł być obserwowany; przesłuchiwany powinien znajdować się jak najbliżej przesłuchującego gdyż „When a person is close to another physically, he is closer psychologically". Przesłuchujący powinien być ubrany skromnie i unikać krzykliwych w kolorach krawatów; oddech jego nie może być w żadnym wypadku nieprzyjemny dla przesłuchiwanego. Przesłuchujący musi kontrolować swoje odruchy a wreszcie autor artykułu dochodzi do słusznego wniosku, iż przesłuchującym nie można z o s t a ć; trzeba się nim urodzić.

Artykuł ten jest dość przerażający i prawdopodobnie nie zwróciłbym na to wszystko większej uwagi, gdyby nie natrętnie powtarzająca się forma „on", mężczyzna. Tak więc postanowiłem zajrzeć do bibliografii i znajdujemy tu między innymi następującą pozycję: „Communist Interrogation and Indoctrination of 'Enemies of the State' ". L. E. Hinkle, H. C. Wolff in Archives of Neurology and Psychiatry. Tak, teraz łatwiej mi zrozumieć ten artykuł i rzeczywiście podpisałbym się chętnie pod zdaniem Sartre'a o „obłędzie uniwersalnej miłości". Nie tylko ja; wielu drwali pracujących w rześkim klimacie Północy, któregoś z Krajów Oddalenia, również chętnie przyłączyłoby się do opinii Laureata Nobla. Niestety, jest na to zbyt późno; władze Sowieckie niechętnie przystępują do tego co nazywa się w Stanach „powtórnym otworzeniem sprawy". Przypadek nieszczęśliwego

Murzyna jest niewątpliwie tragiczny, tak jak i tragiczną była sprawa Chessmana; mówiąc jednak o tym, chciałbym, aby pokazano mi kraj, w którym skazany na śmierć człowiek dwanaście lat może walczyć o swoje życie.

Dlaczego jednak ludzie ci przyznali się do rzeczy niepopełnionych. Nie robią tego z powodów, o których pisze Sartre, Koestler, i inni. Więzień mówi rzeczy dziwne do przesłuchującego go człowieka, gdyż człowiek siedzący przed nim jest wspomnieniem jego samego. Wspomnieniem wolnego świata; porażek i zwycięstw; smutków i radości; lecz wciąż jeszcze jest wspomnieniem świata, który uważało się za własny; za nieszczęśliwy i nienawistny; lecz, choćby nawet w stopniu minimalnym, w skali kroku i szeptu — wolny. I człowiek siedzący naprzeciw ciebie jest tobą samym; tym kim byłeś, ale czym już nigdy nie będziesz, gdyż kara, podejrzenie czy wspomnienie nocy spędzonej w niewolnictwie, wlec się będzie za tobą do końca twych dni. Tak więc ten, który siedzi naprzeciw ciebie, jest tobą, tym kim byłeś; jemu wolno ująć słuchawkę telefonu, wstać, zapalić papierosa — podczas gdy ty każdy swój ruch musisz skoordynować z jego wolą. Nie, pojedynek między sprawiedliwością i występkiem nie jest oparty na prawie równego z równym, na szczęście dla nas samych. Jak każde ludzkie poczynanie, pojedynek ten jest opisem głupoty nas samych, którzy wplątaliśmy się w nierówną walkę, w życie.

Tak więc więźniowie mówią brednie, które zostaną przeanalizowane przez fachowców. Podają nazwiska ludzi którzy zmarli; mówią o swoich żonach, o nieszczęściach; podają fakty, które w ich mniemaniu okażą się im pomocne, a które mogą ich zniszczyć; ale mówią, mówią, mówią, ponieważ siedzący naprzeciw nich jest człowiekiem; ma takie same nerki, oczy i serce które i ty masz, i dlatego mówisz do niego jak do samego siebie gdyż on jest tobą, a ty może jeszcze kiedyś będziesz nim; i na tym się to wszystko kończy. Może jednak nie kończy się i na tym? Może istnieje jeszcze jedno uczucie jakiego doznaje przesłuchiwany wobec przesłuchującego — uczucie zazdrości. Może ty chciałbyś być nim! może wyobrażasz sobie iż nim jesteś; iż to od twojej woli zależeć będzie los innego; a więc mówiąc — zazdrościsz, zazdrościsz, zazdrościsz, jak każda ofiara która marzy o tym aby stać się katem; aby z niszczącego stać się niszczącym; z bitego — bijącym. Czyżby o tym wszyscy zapomnieli?

Rano opuściłem gościnne mury Więzienia Centralnego w Los Angeles żegnany uprzejmie, lecz w sposób pełen powagi, dającej mi w jakiś sposób nadzieję iż więzy przyjaźni zadzierżgnięto między nami pozostaną trwałe i niezniszczalne; zaś gościnność, szczerze okazana mi przez wszystkich, pozwala mi również żywić nadzieję, iż znajdę tam zawsze przytulisko i ludzi, którzy otoczą mnie ojcowską opieką kiedy zajdą odpowiednie po temu okoliczności. Dzień ten był jednym z najpiękniejszych i najbardziej słonecznych w mym życiu; był jedynym dniem który spędziłem bez poniżających godność ludzką trosk materialnych.

Marek HŁASKO

książki, pisma, płyty
LIBELLA
12 Rue Saint-Louis-en-l'Ile Paris IV

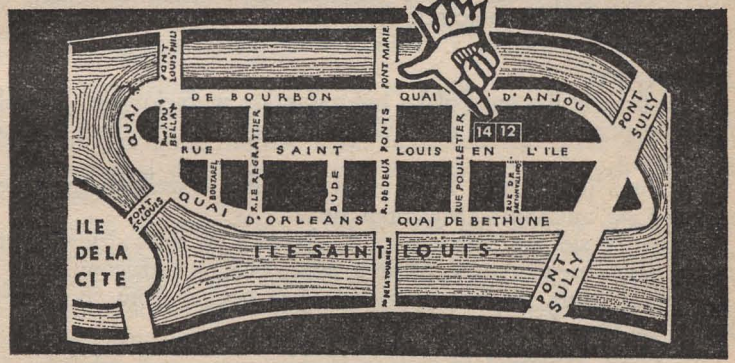

wystawy obrazów malarzy z całego swiata
GALERIE LAMBERT
14 Rue Saint-Louis-en-l'Ile Paris IV

Człowiek z Atlantydy

NOTA BIOGRAFICZNA

Kazali napisać Notę Biograficzną.

No dobrze, ale jak to się robi?

To taki życiorys z zakrętasem — powiedział mi jeden z przyjaciół.

Z zakrętasem? Niech będzie z zakrętasem, tylko w którą stronę.

Za bardzo w lewo — źle, zanadto w prawo — też niedobrze, a wprost to będzie załącznik do podania, po prostu życiorys.

A zakrętas? Będzie i zakrętas i to taki: „ster na burtę" i „cała naprzód".

Toż przecie nie ma Polaka bez zakrętasa w życiorysie. Jak tak bliżej się przypatrzyć to sami Wołodyjowscy i Kozietulscy i same zakrętasy.

Życiorys jest jednak życiorysem i według wszelkich prawideł zaczynać się musi od: Urodziłem się...

Jasne że się urodziłem i to w dodatku w tysiącdziewięćsettrzydziestymdziewiątym w Wilnie oczywiście, z rodziców...

... no i teraz nie wiem czy pisać o pochodzeniu, bo przez długi czas to było tabu.

A, niech będzie.

Tylko że jeżeli to kiedyś trafi do jakiegoś czynownika w Kraju, a ten się połapie to będzie mu przykro iż potrafiłem jakoś uśpić czujność klasową.

Na pewno westchnie ciężko i mruknie: *ja dumał czto on raboczyj, a no pamieszczyk, swołocz, tfu.* Nie, nie mogę zawieść... lepiej nie napiszę na ten temat nic. W podziemiu nie byłem, bo tego rocznika jeszcze nie przyjmowali, do organizacji ani partii też nie, a więc znowu luka.

Działy się rzeczy straszne wokół, słyszałem.

Odczułem.

Wiem.

Gdzieś na wschód od Piotrkowa Trybunalskiego, piach pokrywa milczeniem odpowiedź na pytanie, które chciałbym Ojcu zadać: Czy było warto?

No to teraz chyba kolej na „trudne dzieciństwo"?

Jak dotąd motyw niezawodny w każdym życiorysie z podpiętym pod nim podaniem na kratkowanym papierze (format A4).

„Niniejszym zwracam się z uprzejmą prośbą do...".

Nie, do cholery. Tym razem nie będzie podania.

Nie będzie nawet „trudnego dzieciństwa".

Będzie o mozolnej walce o byt i chleb i przyszłość...

No macie, i znowu slogan.

Uczyłem się źle.

Chodziłem do szkoły od czasu do czasu, przeważnie tuż po wywiadówkach. Nadganiałem pod koniec roku szkolnego, przepisywałem zeszyty pożyczone od kolegów i nudziłem się jak lew.

Wagarowałem sam. Bez kolegów, ale za to z książką.

Czytałem.

Na lekcjach siedziałem niedospany.

To była wina Londona.

Czytałem go nocami i w dzień, w domu i w szkole pod ławką.

To było samo życie. Tętniące, może brutalne, gdzie nie istniały kolejki po mięso i łapownictwo. Gdzie nie trzeba było wtykać „setki" do łapy po to, aby gdzieś tam jakiś dureń przyłożył jeszcze durniejszy stempel.

Zastanawiałem się zawsze jak wygląda w hektolitrach zużycie tuszu do stempli na przestrzeni pięciolatki. O papierze nie piszę, bo pisali już inni. Mnożąc ilość stemplolitrów przez obywatelosetki możemy dojść do cyfrononsensów wyrażających się kilometroliczbami.

I znów zapomniałem, że to nie ma być rocznik statystyczny, lecz biografia. A więc kulejąc po krętej i wyboistej drodze do świetlanej przyszłości komunizmu, potykając się o półgłówkourzędasów, dotarłem do matury, którą chyba przez niedopatrzenie ZMP dostałem w szczęśliwym roku zniesienia kultu jednostki. O roku ów, kto ciebie widział w naszym kraju...

Nikt właściwie nie widział... lecz wszystkim się zdawało, że Dzwoński wciąż gra jeszcze... itd.

Zlikwidowanie kultu jednostki nie miało wielkiego wpływu na złe proporcje dupometrów papieru toaletowego w stosunku do wydajności z h a k t a r a. Zabrakło w końcu papieru toaletowego, bo niektórzy układali już sobie nowe życiorysy, podczas kiedy inni wycofując się tyłem, jedną ręką schowaną za siebie trzymali to co nagrabili, drugą zaś likwidowali PGR'y, czyli po-

zostałości „błędów". Robili to jednak z tak niewinnym uśmiechem, iż trudno by ich było samych posądzić o to lub tamto.

Rozruchy „wrogich elementów" w Poznaniu zastały mnie w samym sercu miasta, o którym się do tej pory mawia, że — zrównoważone.

Sowieckie czołgi na przedmieściach nie radowały mnie tak jak powinny, a więc można by tu postawić diagnozę prostą „element".

No i tak zostałem „elementem".

Jak być „elementem" to już być stuprocentowym.

Tym razem Budapeszt.

Fakty znane, żywo skomentowane tak tam, jak i tu.

Oczywiście studia diabli wzięli.

Starałem się więc budować socjalizm na własną rękę.

Pamiętając iż powinno to słowo pisać się przez „s"-kreskowane, zabrałem się do obsługi ruchu turystycznego (tego z zielonymi dewizami), jako tłumacz. Miałem już za sobą ukończony „English Language College" na Placu Zbawiciela. Stopa podniosła mi się niebywale. Ustać na tej drugiej już nie mogłem i absolutnie pomylił mi się socjalizm z kapitalizmem.

Wrodzona mi wścibskość i zdolność obserwacji, doprowadziły do rozstania z „Orbisem".

Za bystry w oczach — brzmiało orzeczenie. Może i racja.

Prowadziłem jeszcze przez jakiś czas, dopóki to było możliwe, ten intratny interes z turystami, oczywiście już na własną rękę, po prostu „podrywając" turystów „Orbisowi".

Najmniej tym zachwycony, był oczywiście ten ostatni.

Ładny zakrętas, co?

Opuściłem Polskę, w pamiętnym roku odejścia w cień (bez nagłego zejścia) towarzysza Nikity. Obaj daliśmy za wygraną.

Wyjechałem po „angielsku", nie żegnając się z nikim.

Nie chcąc sprawiać kłopotu władzom, nie poprosiłem nawet o paszport.

Obszedłem się „bez".

Jak mi się tu „na zgniłym zachodzie" wiedzie?

Czytał Pan, Panie Redaktorze, moje ostatnie opowiadanie „God Dag".

Tam jest odpowiedź.

Znowu zakrętas.

Borys KORCZAK

P.S. W Polsce nie drukowali mnie. Pan wie jak to tam trudno z papierem.

Kopenhaga, sierpień 1967.

Szlak

Pływałem wtedy na „Zrywie" — rozpoczął pan Zenek.

Ośmiu ludzi i Stary.

Pływaliśmy ze Szczecina na Północne na śledzie.

Wracaliśmy do portu zmęczeni morzem, spragnieni uciech, ludzi i... dziewcząt.

Pieniędzy każdy miał „jak lodu", czasami nie wiadomo było co z nimi robić. Dostawaliśmy za wszystkie miesiące spędzone na wodzie plus procent od połowu, no i przemycało się to i owo.

W Kopenhadzie kupowało się zegarki i pończochy, czasami płaszcze ortalionowe, w Szwecji koszule „Melka" i damską bieliznę.

Kapusiów nie mieliśmy na pokładzie, a Stary przymykał oczy na wszystko.

Posądzaliśmy że sam przemyca, tylko nie wiedzieliśmy co.

Towar upychało się od ręki. Zgarniało się pieniądze i ruszało w miasto. Były dwie knajpy w tym czasie w Szczecinie, do których garnęła się brać morska. Nie były to lokale pierwszej kategorii, jak należałoby się spodziewać. Nazywano je różnie, a więc: gniazdem rozpusty, mordownią, pod trupkiem, lub po prostu speluny.

Naprawdę nazywały się „Bajka" i „Magnolia". „Bajka" pod koniec mojego ostatniego pobytu była spalona z powodu obław, pozostawała Magnolia, jak zawsze atrakcyjna z dziewczętami i zamrożoną „do potu" wódką.

Ktoś mi teraz niedawno powiedział, że przerobiono starą poczciwą knajpę na bar dla dietetyków. Szkoda. Miała swój czar.

Rzadko kiedy wychodziło się z „Magnolii" na własnych nogach. Przeważnie wynoszono do taksówki w najlepszym wypadku, lub do karetki w najgorszym. Miałem swoją melinę na przedmieściu Szczecina w Dąbiu u Czarnej Zośki. Była prostytutką, w czym ja osobiście nie widziałem nic zdrożnego. Była dobrym kompanem do wódki, nigdy nie sypnęła a okradała nie więcej niż inne. Mój stosunek do Zośki miał w sobie coś z przyjaźni jaką ma się do dobrego kumpla, pożądania dozowanego dawką alkoholu wypitą poprzedniej nocy i zaufaniem jakie można mieć — na przykład — do matki.

Nie odpowiadała ogólnie pojętemu (i jakże błędnemu) pojęciu prostytutki. Była czysta, nawet dość elegancko ubrana, inte-

ligentna inteligencją kundla między owczarkami, słowna jeżeli chodziło o przyjaciół i silna jak mężczyzna.

Znała wszystkich w Szczecinie i niejedną sprawę można było przeprowadzić przy jej pomocy. Gdy groziła wsypa dawała „cynk", nie tracąc dobrych stosunków z żadną ze stron.

Przydawały mi się jej kontakty. Powierzałem jej cały towar przemycony i dostawałem zawsze gotówkę ściśle wyliczoną, z potrąconym procentem.

Do dziś nie mogę zrozumieć jakim cudem władze tak dokładnie zorientowane nie wykryły większości towarów z przemytu.

Tajemnicą ogółu było że, na przykład, rudowęglowce powracały do kraju jako drobnicowce.

Czasami jakiś nadgorliwy, na świeżo objętej posadzie, naczelnik odpowiedniego aparatu wykazywał nadmiar dobrej woli i usiłował sięgnąć do skrytek marynarskich. Nasyłał wtedy wtyczkę, umieszczał ją pomiędzy załogą i czekał na rezultaty. Czasami chwyciło. Załogę witał w porcie wzmocniony oddział celników, którzy bez długiego grzebania odnajdowywali przemyt poutykany po najdziwniejszych kątach.

Rozbijano załogę na inne jednostki, część szła do kryminału i przemyt zaczynał się od nowa.

Za wtyczką szła fama z rysopisem, nazwiskiem i omalże zdjęciem. Zapamiętywano ptaszka i czekano. Zjawiał się za jakiś czas na nowej jednostce. Wypływał na swój ostatni rejs.

Po jakiejś kolejnej wpadce zrobiono czystkę na „Zrywie".

Ze starej załogi pozostało nas tylko trzech.

Stary, palacz, i ja.

Przyglądaliśmy się więc uważnie pięciu nowym. Wnosili worki marynarskie do kajut, rozgaszczali się a mnie cisnęło się pytanie: który?

Poprzedniego wieczora Czarna Zośka powiedziała mi, że mamy wtyczkę. Ostrzegłem pozostałych i czekaliśmy.

Niektórych znałem z widzenia.

Nie wykluczało to jednak nikogo z grona podejrzanych.

Mieliśmy w planie postój w Kopenhadze dla wymiany niektórych części motoru. Nadarzała się okazja do zarobku.

Pogoda była wspaniała. Płynęliśmy szybko bez zakłóceń.

Załoga była sprawna. Każdy znał swoje miejsce.

Chyba to nastrój naszej trójki starych „zrywowców" udzielił się reszcie załogi. Nastrój nie zapowiadał jakiegoś zbliżenia.

Wpływaliśmy do Kopenhagi.

Postój zapowiadał się na trzy do czterech dni. Chyłkiem, jakby po kryjomu schodziliśmy z pokładu i w pojedynkę szli do miasta.

Miałem zamówioną z poprzedniego pobytu partię szminek do

ust. Załatwiłem szybko zakupy, zaniosłem na kuter i od niechcenia poszedłem na Nyhavn.

Nyhavn to uliczka portowych knajp i knajpek, stałe miejsce spotkań marynarskich.

Zajrzałem do Hong Kongu. Siedziała tam już cała załoga z wyjątkiem wachtowego i naszego maszynisty.

Stary miał już mocno w czubie i opowiadał jakiemuś równie pijanemu Duńczykowi po polsku swoje przeżycia z czasów wojny. Tamten kiwał poważnie głową i powtarzał: ja, ja.

Siedzieli objęci wpół nad szklankami, do których Stary dolewał co chwilka wódki z butelki ukrytej pod kurtką.

Reszta załogi podziwiała uda pijanej dziwki śpiewającej jakiś refren. Nalali mi pełną szklankę i posunęli się robiąc mi miejsce.

— Gdzie smoluch? — zapytałem Radio.

Radio spojrzał na mnie nieprzytomnie i powiedział:

— Wysyła może telegram do cła w Szczecinie.

— Myślisz? — zapytałem jakoś niepewnie bo i mnie alkohol uderzył już do głowy.

— Ja nic nie myślę — mruknął Radio i poklepał jakieś przesuwające się przed nim pośladki.

— Fajna, co?

— Co fajna?

— A no ta zdzira, co może nie fajna?

— Fajna — zgodziłem się, choć wcale mi się nie podobała.

— Laluś — orzekł Radio i odwrócił się do mnie tyłem.

Wyciągnąłem półlitrówkę i dyskretnie rozlałem w szklanki. Kątem oka dostrzegłem jak kelner mrugnął do mnie okiem. Nalałem jeszcze jedną porcję i pokazałem mu ją oczami. Uśmiechnął się, powiedział: „tak" i wypił duszkiem.

Poklepaliśmy się po plecach. Odszedł zamiatając w przelocie mokrą ścierką sąsiedni stolik.

Wracaliśmy w sześciu, całkowicie zbratani.

O parę kroków za nami wlókł się pijany Duńczyk, kompan starego, lecz wkrótce został daleko w tyle.

Wchodząc na pokład zapytałem wachtowego o maszynistę.

— Śpi — powiedział.

— Dawno przyszedł?

— A już chyba z godzinę.

— Skurwysyn — zawyrokowałem i poszedłem do kabiny.

Rejs zapowiadał się ciekawie.

Borys KORCZAK

God Dag

Nazywa się Swenson, lub Pedersen, lub jakimkolwiek z niewielu skandynawskich nazwisk.

Dla mnie nazywa się świnia, wymoczek, gnojek, lub jeszcze gorzej.

On jest układny, powolny, nie spóźnia się do pracy na siódmą i kończy ją dokładnie o czwartej trzydzieści.

Ma zawsze uprzejmy uśmiech na okrągłej, dobrze wygolonej twarzy i oczy niewinnego dziecka. Eunuch.

Cierpi, a raczej nie cierpi z powodu swej impotencji. Wysyła więc żonę do Włoch, lub na Majorkę raz do roku i po raz trzeci spodziewa się powiększenia rodziny.

Nie jest zazdrosny, gdy zastaje mnie w sytuacji całkiem niedwuznacznej ze swą żoną. Rozmawiamy o ostatnich rozruchach murzyńskich w Stanach podczas gdy zawiązuję krawat.

Jest zdecydowanym wrogiem wojny w Wietnamie, lecz nie pochwala komunistów. Na dźwięk języka angielskiego strzyże uszami z zadowolenia iż może popróbować swego sepleniącego „Denglish", ale o Amerykanach wyraża się w sposób mało pochlebny dla tych ostatnich.

O Polakach wie coś niecoś. Zna historię polskiej emigracji „buraczanej" sprzed pierwszej i drugiej wojny światowej. Słowo „polaker", wymawia z uprzejmym szyderstwem. Wtedy chcę go zabić.

Jeśli przyjdę do niego po pracę, jest kordialny i nie uznaje form.

Słysząc iż mówię po angielsku z akcentem kalifornijskim pyta z jakiego miasta. Powiadam że z Warszawy. Oczy tracą ciepły blask i choć pozostaje nadal miłym i sympatycznym, nie ponawia pytania czy nie napiłbym się kawy.

Jeżeli jakimś zbiegiem okoliczności da mi pracę, przymyka oczy na moje niedociągnięcia, jakby chciał powiedzieć: „Han er polsk".

Metody pracy nie zawsze odpowiadają pełnemu przedsiębiorczości Polakowi. Zaczynam więc usprawniać i, naprawdę, w każdej innej społeczności zostałyby moje wysiłki uwiecznione jeśli nie sukcesem to choćby tylko uznaniem, to tu nie mam szans na nic więcej niż na rozpoczęcie poszukiwania nowej pracy.

Mści się świnia za to, że się nieco spóźniłem parę razy z rzędu

myślę, ale wiem że nie mam racji. On się nie mści, on się broni.

Zaczynam pilnować. Staram się być taki jak Duńczycy. Piję piwo, tak jak oni, w czasie godzin pracy i przestaję pracować gdy majster wychodzi z hali.

Wylatuję więc znowu na zbity pysk i tak *ad mortem usrandam*.

Nauczony doświadczeniem, na nowej placówce zaczynam przepracowywać nawet swoje przerwy śniadaniowe.

Nie mam teraz czasu nawet na papierosa. Mam dość zmian pracy. Pracuję i to dobrze pracuję. I masz ci los.

Powiadają mi że zarywam normy produkcyjne i że Związki Zawodowe... itd.

Pakuję manatki sam, bez czekania aż mnie wyrzucą i z nową ochotą ruszam w miasto.

Niektórzy poznajdowywali sobie starsze wiekiem i gotówką konkubiny i na pytanie moje jak sobie radzą w tym państwie, gdzie już Szekspir powiadał, że źle się dzieje, odpowiadają: „Karawanem jeżdżę".

Mają forsę i chcą wszyscy na zbity łeb jechać do Stanów.

Zapadam w głęboki „spleen" i leczę się, waląc wieczorem dwoma palcami w starego Underwooda, mając nadzieję że mi to wydrukują.

Widzę rzeczy gorzkie, które nie podobają mi się samemu.

Rankiem wlewam w starą czortopchajkę, parę litrów benzyny i jadę szukać nowej pracy.

Znów ten uprzejmy uśmiech, proszą siadać i pokazują mi podania innych kandydatów na wakującą posadę. Wiem że nie mam szans. Wychodzę.

Kupuję dzisiejsze „Berlingske Tidende" i błądzę palcem po ogłoszeniach.

Tu każą czekać, tam nie przyszedł szef personalny. Mam być za godzinę.

W kiosku na kółkach zjadam szybko „hot dogs" i już znowu waruję pod gabinetem.

Zabijam czas oglądając uda sekretarki w „mini skirt".

Ją to podnieca, ja liczę piegi.

Wieczorem, ruszam na „Copenhagen by Night Tour".

Zatrzymuję mego NSU pod kinem i rozglądam się za „podrywką".

Koło kina budka a w niej sympatyczna twarz, okolona wieńcem siwych jak srebro włosów. Pani ma uśmiech świętej, która zeszła z obrazu.

Podchodzę bliżej, by obejrzeć okładki w okienku kiosku. Są barwne i przyciągają z daleka wzrok.

Starsza i miła pani sprzedaje pornografię. Tę w najgorszym stylu. Ma nawet przezrocza i krótkometraże japońskie.

Ceny przystępne.

Film przyjmuje publiczka wybuchami gromkiego śmiechu.

Idzie „Zorba the Greek".

Wychodzę z kina przed czasem. To wspaniały film. Obejrzę go kiedy indziej. Może na wczesnym seansie.

Urzynam się na smutno w „Bar-Dot" i wracam do domu zygzakując po jezdni zdartymi do płótna oponami.

Jutro znów będzie dzień. Trzeba się wyspać.

Facet wyraźnie chce mi pomóc. Ogląda z zaciekawieniem przedstawione pozwolenie na pracę i zaświadczenia z Polski.

— *You've been a translator?* — pyta.

Potwierdzam i czuję ciepło nadziei.

— *You know, we produce for NATO* — mówi i widać że mu przykro.

— *That's all right with me* — powiadam szybko, ale jemu nie chodzi o to.

— *You are from the East.*

„No to cholera ci w bok — myślę sobie — a nie praca".

— *We've got to be sure...* — gość zaczyna kręcić.

— *I can assure you...* — staram się walczyć, ale facet macha beznadziejnie ręką z fałszywym rubinem wielkości srebrnej dolarówki.

— *You better come next week.*

Wiem że nie ma sensu przychodzić *next week,* więc z ciężkim sercem lecz z sarmacką godnością żegnam się.

Ciekawe czy on widział wczoraj „Zorba The Greek"? — myślę.

Ta myśl nie daje mi spokoju już od dłuższej chwili. Więc tuż przy drzwiach pytam go wprost.

To był cios poniżej pasa. Facet się łamie. Stara się ze wszystkich swych sił domyślić jaki ukryty sens ma moje pytanie.

W końcu odpowiada: — *No, not yet.*

— *You better go and see it* — powiadam — *lot of fun.*

Wychodzę mając wrażenie że facet nie wytrzyma i pójdzie jeszcze dziś na te *fun.*

Gdy wychodzę do swego domu, na schodach pozdrawia mnie jakiś typ *god dag.*

Nie odpowiadam i pędem wbiegam do mieszkania.

God dag — mi powiedział, *god dag.*

Borys KORCZAK

Bóg, honor, Ojczyzna

— Tadziu, telefon synku, do ciebie. Jakiś pan.

— Dziękuję mamo. Słucham, mówi Darowski.

— Dobrze że pan jest w domu panie D.

— Kto mówi?

— Kto mówi to mówi, dowiesz się pan na czas. Jest sprawa zezwolenia na wyjazd córki z Polski. Chcesz pan to załatwić?

— Oczywiście. Będę bardzo wdzięcz...

— To trzeba do mnie przyjść, tak?

— Do komendy milicji, prawda?

— Gdzie tam do komendy, panie D. Do kawiarni pójdziemy, Europejskiej, tak? Nie bój pan nic, ja płacę.

— Bardzo panu dziękuję.

— Dobra, dobra. O drugiej godzinie. Tylko punktualnie, tak? Bo mam robotę, sezon. I sam, bez kawałów, dobrze?

— Naturalnie. Tylko jak ja pana poznam?

— Niech pana o to głowa nie boli.

— Kto to dzwonił synku, czy możesz mi powiedzieć?

— W sprawie Gosi mamo. Z UB, czy jak się to teraz nazywa, służba bezpieczeństwa zdaje się. Pośpieszyli się z odpowiedzią po trzech tygodniach. A wiza kończy mi się pojutrze.

— To mi już swoją dziewczynkę zabierasz? Zostanę zupełnie sama. Jak gorzko.

— Jeszcze wczoraj mama mówiła że będzie szczęśliwa, bo Gosia taka trudna.

— Ależ dziecko, zgadzam się bo pragnę waszego szczęścia. Zresztą ja nie mam nic do powiedzenia, cóż ja się dzisiaj liczę.

— Co też mama mówi. Przenieść się do nas też mama nie chce.

— Co ja bym tam robiła? Nie mogę żyć bez Boga, a tam ludzie w Boga nie wierzą. I to moja troska największa że ty synku taki jesteś dla Boga obojętny. A przecież i to powodzenie,

i te bogactwa, i tę śliczną i dobrą żonę, choć nie Polkę — to od Pana Boga dostałeś. Ja to dla ciebie u Pana Jezusa wymodliłam i wypłakałam.

— A moja praca, i — było nie było — zdolności, to się nie liczy?

— Zdolności swoje też od Boga synku dostałeś i Jemu powinieneś być wdzięczny. A że ze swoją żoną bez ślubu żyjesz, to też Pan Jezus na was się pogniewał, bo dzieci nie macie.

— Niech mama da spokój — jak to bez ślubu?

— Taki ślub to się kochanie zupełnie nie liczy, i dla mnie, i wobec Boga też nie ma znaczenia.

— Z Danką miałem kościelny i żyliśmy jak pies z kotem.

— Ale was Pan Jezus dzieciątkiem obdarzył a to wielka łaska chłopcze. Teraz córeczkę zabierzesz do siebie i będziecie szczęśliwi.

— Żeby tylko Gosię puścili. Tak się z Pat polubiły że boję się nawet myśleć o odmowie.

— Będę się modliła za was synku, choć smutno samej zostawać. Żebyś tylko ty był zadowolony. Wychodzisz gdzieś teraz kochany?

— Tak mamo. Odwiozę Pat, a potem czeka mnie rozmowa z tym ubowcem czy milicjantem w cywilu. W kawiarni. Mówi do mnie „panie D".

— To na pewno prosty człowiek. Ale nie trzeba nim pogardzać moje dziecko, bo Chrystus kochał maluczkich. Proszę cię bądź dla niego bardzo grzeczny synku, jak dla swojego brata, nie unoś się choć będzie ordynarny. Pamiętaj że pokora niebiosa przebija. I tak trzeba z tymi ludźmi.

— Dobrze mamo. Będę się starał.

— Pan widzę punktualny panie D.

— O, to pan. Pan mnie znał?

— Widocznie. Siądziemy tutaj. Kawa trochę zimna ale nie szkodzi. Co to za laleczka pana wozem podrzuciła?

— Żona.

— Luksus kobieta. Buzia jest, noga też, nie tylko do chodzenia — co, panie D? Nie Polka, co?

— Nie.

— Wiadomo. Nasze mają cięższe dupy. To za jej pieniądze kupiliście sobie ten wózek, mam rację?

— Nie, za moje.

— To widzę spryciarz z pana, panie D. Prędko pan się dorobił. Ubranko też niczego. Poznać zagranicznika. Już się do pana ta bruneta spod okna obcina. O czym pan z żoną tyle gadał, panie D?

— Chciała iść ze mną. Nie mogła zrozumieć dlaczego jej nie chcę poznać ze swoim znajomym.

— Dobrze. Przejdźmy do rzeczy panie D. Pan chce zabrać córkę z Polski Ludowej. A młodzież, panie D, to dla nas cenny materiał. Powiedz mi pan dlaczego pan chcesz dziecko ojczyzny pozbawić?

— Czy nie wystarcza że wszystko wytłumaczyłem w podaniu?

— Widocznie nie. Panie D, ja tu jestem żeby pytać, a pan żeby odpowiadać, dobrze?

— Naturalnie. Przepraszam. Moja żona bardzo pragnie mieć dziecko a nie może, okazało się. Nie pracuje. Jest sama w domu. Teraz przez ten miesiąc bardzo się przywiązała do mojej dziewczynki. Pierwsza żona, matka córki, wyszła powtórnie za mąż i nie może czy nie chce opiekować się moim dzieckiem. Mam na piśmie jej zgodę na zabranie małej, potwierdzoną notarialnie. Odpis załączyłem do podania. Dziewczynka mieszka u mojej matki. Matce ciężko, bo nie młoda, a mała jest bardzo żywa. Ja córkę kocham, to moje jedyne dziecko i pragnę je mieć przy sobie. Wydaje mi się to dosyć oczywiste.

— Oczywiste, mówi pan? A jak pan bryknął za granicę i to jedyne najdroższe dziecko zostawił na pastwę losu to nie było oczywiste panie D, tak?

— Nie myślałem rozłączać się z nią na zawsze. Zostawiłem dziewczynkę u mojej matki i posyłałem na jej utrzymanie. Tu byłem w trudnej sytuacji. Źle zarabiałem. Mieszkaliśmy z matką i żoną w jednym pokoju dawnego mieszkania rodziców. Potem we czworo. Ciasno. Żona miała duży temperament. Bez przerwy nieporozumienia. Słowo panu daję, nie miałem siły.

— A studiować za darmo, za ludowe pieniądze, to pan miał siłę panie D, tak? A potem pan za przeproszeniem ojczyznę ludową w dupę kopnął i wyjechał innemu krajowi korzyść przynosić, tak?

— Prawda, że uczyłem się za darmo. Ale mój ojciec jeszcze za życia dobrze za to zapłacił Polsce Ludowej swoim przedsiębiorstwem. Zresztą każdemu chyba wolno mieszkać gdzie chce.

— Pan mnie tu nie będziesz argumentował, panie D. Ja to panu mówię, tak? Tatuś robotników wykorzystywał i z tego żył, nie ma się kim chwalić. Z takim pochodzeniem pan nawet na studia nie powinien był się dostać panie D. Polska Ludowa panu przebaczyła, a panu się nasza rzeczywistość nie podoba. Dlatego chce pan córkę z ojczyzny zabrać.

— Nie, tak nie jest, naprawdę. Cieszę się że jestem Polakiem. Podziwiam wasze, przepraszam, chciałem powiedzieć nasze, osiągnięcia. Chociaż samemu tam mi łatwiej, tak jakoś się złożyło. Proszę pana, niech mi pan nie utrudnia zabrać córki. Mogę za

to bardzo wiele dać. Niech mi pan pozwoli. Wiem jak dużo zależy od pana opinii. Przecież ja, mimo że wyjechałem, zawsze byłem lojalny dla Polski Ludowej. Pracowałem, nie zajmowałem się polityką. Panowie chyba sami wiecie najlepiej.

— Co ja mam z panem zrobić panie D. No dobrze. Niech mi pan powie taką rzecz. Zna pan tam gościa o nazwisku Barcz, Jan Barcz?

— Tak, znam.

— Dobrze pan go zna?

— Tak. Przyjaźnimy się. Ale ja z jego działalnością nie mam nic wspólnego. Nie interesują mnie te sprawy. Choćbym nawet chciał nie mam czasu.

— To znaczy pan wie co Barcz robi?

— Wiem. Wydaje pismo. Każdy tam to wie.

— Ten pański przyjaciel Barcz to cholerny szkodnik, panie D.

— Cóż robić. Takie ma dziwne *hobby*. Nie pojmuję że go to bawi. Nieraz mu to mówiłem.

— Skąd ten Barcz ma tyle informacji o Polsce Ludowej, nie wie pan może panie D?

— Nie mam pojęcia.

— To ja panu powiem. Żeby pan miał pojęcie. Barcz ma w Polsce człowieka. Ten za przeproszeniem skurwensyn, pisze mu co się tu dzieje. Same kłamstwa. Posyła Barczowi listy, panie D. Kilka listów o tym samym na różne adresy, tak że zawsze coś przeleci. Nie idzie go dostać tego skurwensyna. A pański przyjaciel Barcz też posyła listy do Polski, do tego swojego skurwensyna. Wie pan jak, panie D?

— Nie.

— To ja panu powiem. Żeby pan wiedział. Barcz posyła listy przez takich przyjaciół jak pan, panie D. Daje im listy zaadresowane, może nawet polski znaczek nalepiony. Tylko wrzucić. Był znaczek, panie D?

— Nie wrzucałem żadnego listu.

— To źle panie D. Niech pan się postara żeby pan mógł wrzucić. Swojemu przyjacielowi pan się przysłuży. A jak pan mówi że pan jest lojalny, panie D, to honor Polaka pozwoli panu przed wrzuceniem ten list pokazać...

— Nie mo...

— Wolnego, panie D. I ciszej, tak? Nie jest pan sam. List dostanie pan zaraz z powrotem nie naruszony i będzie pan sobie mógł wrzucić. Nie bój pan nic. A my przekonamy się o pana lojalności i pańskim honorze Polaka, panie D.

— Ja tego nie mogę zrobić. Co to zresztą ma wspólnego z honorem.

— To pan myśli że nie ma, panie D. Wolno panu. Ale ja

panu mówię że ma, dobrze? I córeczka pozwolenie na wyjazd dostanie, bo będziemy wiedzieli że przechodzi w dobre ręce...

— Kto tam? To ty Tadziu?

— Tak, to ja mamo.

Tak długo cię nie było synku. Patrycja wróciła, ja, Gosia, wszystkie na ciebie czekamy. Co jesteś taki zmieniony syneczku?

— Nic mamo, głupstwo. Zmęczyłem się.

— A jak z Gosią, kiedy pojedzie?

— Teraz w każdym razie nie. Musiałbym po nią jeszcze raz przyjechać. Zupełnie nie wiem co mam zrobić.

— Jak to nie wiesz, dziecko? Weźmiesz sobie znowu urlop za miesiąc czy dwa, przyjedziesz, i starą matkę przy sposobności odwiedzisz. Jak się cieszę kochany że wszystko się udało, choć nawet poczekać przyjdzie. Wiedziałam że tak będzie. Bo ty nie wiesz synku że ja wstawiałam się za tobą.

— Wstawiała się mama? Jak to? Gdzie? Nie rozumiem.

— Do najwyższej instancji, dziecko. Będziesz myślał że to nieprawda, ale to moje prośby sprawiły. Bo ja przed obrazem Matuchny Najsłodszej krzyżem leżałam, błagałam za mojego synka i wnusię. I kawy obiecałam przez pół roku od dzisiaj nie słodzić na waszą intencję. Pan Bóg raczył wysłuchać próśb starej matki, a nic się stać nie może bez Jego woli. To dlatego Gosia zezwolenie na wyjazd dostanie, naprawdę synku. Czy mi wierzysz? Tadziu, czemu nie odpowiadasz?

— Przepraszam, zamyśliłem się. Tak mamo. Wierzę. Jeżeli dostanie to tylko dlatego. Na pewno...

Andrzej LUBELSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI
Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Obserwatorium

Problem murzyński

Lato tegoroczne znów znalazło się pod znakiem groźnych zaburzeń murzyńskich w całym szeregu miast amerykańskich. Najgwałtowniej objęły one Detroit i Newark, przynosząc liczne ofiary w ludziach i kolosalne straty materialne. Wśród innych miast znalazło się New Haven — siedziba uniwersytetu Yale — miasto uważane za wzorowe, oczyszczone ze „slums", o wysokim poziomie zamożności. W New Yorku widownią zaburzeń stała się dzielnica portorikańska.

Wypadki te odbiły się głośnym echem na całym świecie. Wykorzystuje je propaganda komunistyczna wszelkich odcieni, fałszując ich charakter, sprowadzając je do „pogromów", organizowanych przez imperializm białej Ameryki.

W rzeczywistości sprawa jest nieskończenie bardziej skomplikowana. W grę wchodzi tu splot złożonych zagadnień życia współczesnego. Rozwiązanie tych zagadnień wymaga czasu, którego jest bardzo mało.

Nie ulega wątpliwości, że Czarna Ameryka osiągnęła w ciągu lat ostatnich zdobycze imponujące. Murzyn zasiada w Sądzie Najwyższym, Murzyn jest członkiem Gabinetu Prezydenta, Murzyn w Senacie reprezentuje Massachusetts, stan, w którym czarni stanowią niewielką mniejszość. I tak jest we wszystkich innych dziedzinach, w literaturze, sztuce, nauce, w życiu gospodarczym.

Równocześnie jednak blisko połowa Czarnej Ameryki to miejski „lumpenproletariat" lub biedota wiejska, w coraz większym stopniu emigrująca z agrarnych okręgów Południa do miast Północy i Zachodu. Można mówić o tym, że ów miejski „lumpenproletariat" reprezentuje stopień zamożności znacznie wyższy niż przeciętna masa obywateli krajów komunistycznych, by nie mówić o *developing countries*. Istotne jest jednak to, że ów czarny

„lumpenproletariat" miast Stanów Zjednoczonych żyje na poziomie znacznie niższym niż poziom białej Ameryki, że te różnice widzi, i robi porównania, które budzą rozgoryczenie i gwałtowne reakcje.

Przed przeszło półwiekiem masy chłopskiej Europy napływały do Ameryki. Przemysł amerykański poszukiwał wtedy ludzi o mocnych mięśniach. Inne kwalifikacje nie były potrzebne. Od Pierwszej Wojny Światowej analogiczna emigracja odbywa się z rolniczych okręgów Południa i z Puerto Rico. Od wojny ostatniej zaczęła się ona wzmagać coraz bardziej i bardziej. Ale przemysłowi amerykańskiemu nie są dziś potrzebne mocne mięśnie. Jest mu potrzebny materiał ludzki o wysokich kwalifikacjach zawodowych. Czarny emigrant kwalifikacji tych nie ma. Nie on jest temu winien. Jest ofiarą fatalnych stosunków na Południu, jest ofiarą złej szkoły, segregacji, dyskryminacji, poniżenia. Jest więc skazany na los lumpenproletariusza, mieszkającego w „slums", żyjącego z zapomóg społecznych, pozbawionego pracy. Jego tradycyjne więzi organizacyjne ulegają rozkładowi, rozpada się rodzina, rozwija przestępczość i narkomania.

A jednocześnie ten lumpenproletariusz w nowych warunkach zaczyna porównywać swoją sytuację z resztą Ameryki i zaczyna się buntować. Znajduje przywódców-demagogów, którzy potrafią do niego przemówić.

Jest uderzające, że ilość ludzi biorących czynny udział w zaburzeniach jest stosunkowo bardzo mała. Ogromną ich część stanowi młodzież. Nie mniej jednak rozmiary zniszczeń są ogromne, szkody społeczne nieobliczalne.

Ameryka płaci dziś wysoką cenę za stulecia dyskryminacji i poniewierki Murzynów. Cenę tę płaci w okresie, kiedy postępy są oczywiste i ogromne. Ale właśnie te postępy dają podstawę dla porównywania własnej doli z dolą innych. A to wykazuje jak bardzo są one wciąż niewystarczające. Równość prawna jak dotąd wcale nie pociągnęła za sobą ani wyrównania ekonomicznego ani rzeczywistego równouprawnienia we współżyciu międzyludzkim. I przez to w wielu wypadkach tym wyraźniej odsłoniła różnice.

Przed Ameryką staje dziś olbrzymie zadanie tworzenia nowych warunków życia dla czarnego „lumpenproletariatu", zadanie zupełnego zlikwidowania całej tej kategorii społeczno-ekonomicznej. Wymaga to środków materialnych, których nie brak. Wymaga czasu, którego jest bardzo mało. I wymaga gruntownej przemiany w myśleniu i odczuwaniu mas białej Ameryki, co nie jest rzeczą prostą ani łatwą. Ostateczne rozwiązanie będzie mogło nastąpić tylko wtedy, kiedy w całym społeczeństwie zapanuje *color blindness* — ślepota na kolor skóry tak wśród białych jak

i wśród czarnych. A z tym jest sprawa najtrudniejsza. Rasizm w każdej formie jest zawsze i wszędzie jednym z największych przekleństw człowieka.

Aleksander HERTZ

Manifest Praski

Pod koniec sierpnia przemycony został z Pragi na Zachód „Manifest Pisarzy Czechosłowackich do Opinii Publicznej Świata". Tygodnik londyński *Sunday Times* otrzymał kopię Manifestu i ogłosił jego pełny tekst w numerze z 3 września. Oryginał — z podpisami 183 pisarzy, 69 plastyków, 21 pracowników filmu i telewizji, 56 uczonych i publicystów — zdeponowano w bezpiecznym miejscu, nie ujawniając nazwisk sygnatariuszy: chodzi naturalnie o zmniejszenie ryzyka natychmiastowych represji wobec „winowajców" ze strony reżymu komunistycznego w Pradze.

„Pisarze czechosłowaccy, członkowie Związku Pisarzy Czechosłowackich i uczestnicy Czwartego Zjazdu pisarzy czechosłowackich, który odbył się w Pradze 27-29 czerwca 1967 roku, zwracają się wraz podpisanymi niżej plastykami, uczonymi i intelektualistami czechosłowackimi do opinii publicznej i do pisarzy całego wolnego i demokratycznego świata z pilnym apelem o pomoc w ratowaniu wolności duchowej i podstawowych praw każdego niezależnego artysty, zagrożonych przez terror władz państwowych.

Podczas naszego Zjazdu i zaraz potem powstała sytuacja, której nie możemy pokryć milczeniem jeśli nie chcemy by nam wyrzucano, że zdradzamy samych siebie. Na Zjeździe domagaliśmy się nieograniczonej wolności słowa i poglądów, myśli i twórczości, domagaliśmy się praw których nikt nigdy nie uchylił, które uważamy za oczywiste prawa każdego artysty w demokratycznym i humanitarnym społeczeństwie.

Żądaliśmy zniesienia cenzury politycznej, wytykaliśmy przejawy antysemityzmu i rasizmu w oficjalnej polityce naszego państwa wobec Izraela, występowaliśmy przeciw prześladowaniu pisarza sowieckiego Sołżenicyna, przeciw poniżaniu godności ludzkiej gdziekolwiek i przez kogokolwiek jest poniżana, przeciw deptaniu praw obywatelskich w naszym własnym kraju, wzywaliśmy do stałej demokratyzacji i humanizacji życia publicznego i polityki kulturalnej w Czechosłowacji: gdyż to są problemy które leżą nam na sercach i budzą niepokój w naszych szeregach.

Wszyscy autorzy tych postulatów, które — jak sądzimy — są ciężko wywalczonym skarbem kulturalnej ludzkości od czasów rewolucji Francuskiej i Amerykańskiej, zostali natychmiast i brutalnie oskarżeni przez przedstawicieli władz państwowych i rządzącej partii o działalność antypaństwową i wysługiwanie się wrogom.

Przedstawiciele partii bez skrupułów wtrącali się do wyborów naszego Zarządu i otwarcie nakazali skreślenie najpierw dwunastu a potem czterech nazwisk naszych najodważniejszych kolegów z listy kandydatów; grożono zmuszeniem ich do milczenia, roztoczono nad nimi nadzór policyjny, wydano zakaz drukowania ich książek; prześladuje ich się, narażając na niebezpieczeństwo ich egzystencję codzienną i wolność osobistą; nagonka o charakterze wyraźnie faszystowskim została rozpętana przeciw całej czechosłowackiej społeczności pisarskiej, robotnikom podsuwa się rezolucje skierowane przeciw ich własnym przywódcom duchowym.

Nasze szeregi składają się w dużej mierze z marksistów i komunistów, przytłaczająca większość z nas odrzuca społeczny i gospodarczy system kapitalistyczny i opowiada się zdecydowanie po stronie socjalizmu. Ale pragniemy socjalizmu prawdziwego, „królestwa wolności" głoszonego przez Marksa, a nie rządów terroru; dlatego protestujemy i wzywamy do czujności.

Wierzymy wraz z Emersonem, że tylko nonkonformista ma prawo nazywać siebie istotą ludzką; wraz z Sartrem, że pisarz ponosi odpowiedzialność za czasy w których żyje. Wierzymy wraz z naszym największym krytykiem Saldą, że serce prawdziwego poety nie może być kupione przez żadne społeczeństwo ani przez żadną klasę, i że poeta zaczyna się dopiero tam gdzie kończy się nienawistny członek partii.

Wierzymy wraz z nim że politycznym zadaniem pisarza jest opozycja wobec jednostronnej doktryny politycznej, że broni on podstaw humanitarnych przeciw profesjonalistom polityki, a uniwersalności ducha ludzkiego przeciw politycznej stronniczości; że broni ojczyzny przeciw partiom i ludzkości przeciw szowinistycznemu patriotyzmowi.

Przypomniano nam teraz brutalnie nieprzemijającą prawdę słów Karela Czapka, że każdy ustrój oparty na terrorze zwraca się przede wszystkim przeciw wolnej inteligencji, że używa swych środków ucisku dla indoktrynacji ducha.

Przeszło trzydzieści lat temu Edward Benesz ostrzegł świat, że pokój jest niepodzielny; mamy więc, być może, pewne prawo przypomnieć światu że wolność i kultura są również niepodzielne. Nie odpowiadajcie nam że jakikolwiek protest i jakakolwiek pomoc są daremne, skoro nie można pomóc tym którzy żyją w ustroju niedemokratycznym. Pytamy was bowiem kto przetrwał, kto zwyciężył — Voltaire czy Ludwik XVI, Victor Hugo czy Napoleon III, Emile Zola czy francuski Sztab Generalny, Thomas Mann czy Hitler, Meyerhold czy Stalin?

Czego dziś szukamy to nie pomocy wielkich mocarstw, ale manifestacyjnej solidarności wielkiego ducha. Protestujcie! Czas nagli! Domagajcie się wolności słowa i krytyki, żądajcie by położono kres osobistym prześladowaniom! Zwłaszcza wy, lewicowi intelektualiści na Zachodzie, którzy wciąż jeszcze trwacie w niebezpiecznych złudzeniach na temat demokracji i wolności w krajach socjalistycznych, którzy protestujecie przeciw amerykańskim zbrodniom w Wietnamie, przeciw faszyzmowi w Hiszpanii, przeciw militaryzmowi w Grecji i rasizmowi w Stanach Zjednoczonych, a skłonni jesteście przeoczać to co dzieje się tam gdzie pokładacie wasze nadzieje!

Wzywamy Artura Millera i Johna Steinbecka; szukamy pomocy Jean-Paul Sartre'a i Jacques Prevérta; zwracamy się do Bertranda Russell'a i Johna Osborne'a, do Heinricha Böll'a i Günthera Grassa, do Petera Weissa i Alberto Moravii, staramy się dotrzeć do naszych przyjaciół sowieckich którzy dali dowody że cenią wolność: do Erenburga, Sołżenicyna, Jewtuszenki i Woznesienskiego; chcemy by nasz głos był usłyszany przez wszystkich pisarzy całego wolnego świata!

Brońcie demokracji! Brońcie wolności! Nie pozwólcie by terror zatriumfował nad niezależnością duszy ludzkiej! I pamiętajcie że wolność słowa jest nie tylko waszym własnym imperatywem moralnym od którego uchylić się, wśród was samych czy gdziekolwiek indziej, znaczy tyle co pogodzić się z piętnem niewolnictwa!

John Kennedy zdecydowany był „zapłacić każdą cenę, dźwignąć każde

brzemię, ponieść każdy trud, wesprzeć każdego przyjaciela lub stawić czoło każdemu wrogowi, w imię przetrwania i zwycięstwa wolności". To wielkie credo pragniemy wypisać z płomiennym wyrazem gniewu na tarczy naszej nierównej walki, pod jego znakiem apelujemy do ducha i sumienia całego świata". *(Copyright FCI/London)*

Sunday Times, komentując Manifest, pisze że Czechosłowacja zbliża się nieuchronnie do „tego typu eksplozywnej konfrontacji między intelektualistami i komunistycznym przywództwem partyjnym, jaka poprzedziła powstania ludowe w Polsce i na Węgrzech w roku 1956". W październiku 1956 roku krążyło w Polsce obelżywe powiedzonko o zachowaniu się Czechów. Dziś sytuacja odwróciła się diametralnie. Intelektualiści prascy podnoszą głos, gdy milczą ich koledzy w Warszawie. W porównaniu z czeskim Manifestem Trzystu Dwudziestu Dziewięciu polski Memoriał Trzydziestu Czterech był szlachetną co prawda lecz skromną i ostrożną petycją. Tak dramatycznej i głęboko sięgającej krytyki, takiej nuty odpowiedzialności za losy wolności i kultury, nie słyszano w wypowiedziach intelektualistów polskich od czasów dni październikowych. Taką ilość podpisów zdołano w Polsce zebrać tylko pod haniebnym protestem *przeciw* Memoriałowi Trzydziestu Czterech...

Manifest praski spada jak oczekiwany grom z od dawna już zachmurzonego nieba. W ciągu ostatnich paru lat prawie wszystkie korespondencje poważniejszych dziennikarzy zagranicznych z Czechosłowacji donosiły o nastrojach rosnącego wciąż buntu wśród robotników i coraz gwałtowniejszego fermentu wśród inteligencji. 16 sierpnia, w przededniu przemycenia Manifestu praskiego zagranicę, czołowy bratysławski pisarz komunistyczny, Ladislav Mnaczko, został pozbawiony obywatelstwa i wydalony z partii za wyjazd do Tel Avivu na znak solidarności z Izraelem. Ale niedwuznaczne już i jawne (po konflikcie na Bliskim Wschodzie) sprzężenie „państwowego" komunizmu z antysemityzmem, o którym mowa również w Manifeście, było tylko przysłowiową kroplą przepełniającą kielich goryczy. Zanim z okazji wojny izraelsko-arabskiej odsłoniło się antysemickie oblicze oficjalnej polityki komunistycznej, wywołując falę oburzenia m.in. w czechosłowackim środowisku pisarskim, na łamach praskich *Literarnych Novin* proponowano — na tle wymownego łuku historycznego Komuna Paryska-Kronstadt — nową chronologię współczesnych nam ruchów rewolucyjnych, których punktem kulminacyjnym był Budapeszt: Brno 1951, Pilzno 1953, Berlin 1953, Poznań 1956.

Manifest praski nie jest desperackim gestem, wyizolowanym z szerszego kontekstu „państw socjalistycznych". Autorzy tego ważnego dokumentu, którzy jedyni w całym „bloku" (poza samą Rosją) stanęli otwarcie na Czwartym Zjeździe pisarzy czechosłowackich w obronie Sołżenicyna, mieli z pewnością stale

przed oczami jego wspaniały list do Czwartego Zjazdu pisarzy sowieckich. Pamiętali też przypuszczalnie list Wozniesienskiego do redaktora *Prawdy* i publicystykę Mihajlova. O kim natomiast, nie bez racji niestety, zapomnieli w swojej imiennej liście „wschodnich" adresatów, to o sławnych niegdyś, a dziś zmęczonych i zniechęconych, polskich i węgierskich prekursorach postalinowskiego buntu intelektualistów.

Dość symboliczny traf chciał, że ogłoszenie Manifestu praskiego zbiegło się niemal dokładnie w czasie z procesem trzech młodych pisarzy moskiewskich za organizowanie protestów publicznych przeciw skazaniu Siniawskiego i Daniela, oraz ze śmiercią Erenburga. Wolno wątpić, czy istotnie Erenburg „dał (jak czytamy w Manifeście) dowody że ceni wolność". Bliższy prawdy wydaje się Edward Crankshaw, gdy określa pośmiertnie piewcę *Drugiego dnia* a później *Odwilży* jako „nieszczęsnego żulika który próbował odpokutować" — *the unhappy villain who tried to atone.* W każdym razie autorzy Manifestu praskiego mieli niewątpliwie na myśli Erenburga „odpokutowującego", Erenburga który kilka lat temu powiedział w gronie swoich młodszych kolegów po piórze: „Wy dożyjecie na pewno widoku literatury rosyjskiej w pełnym natarciu".

6 września 1967. *Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI*

Archiwum polityczne

"Duchowy jagiellonizm"

„... Po trzystu latach zaniedbań spowodowanych trzema wiekami brytyjskich rządów kolonialnych — naród uważa, że powinien dziś ująć losy ojczyzny w swoje własne ręce. Jedynym warunkiem postępu i dobrobytu jest zdobycie niepodległości. Oświadczam niniejszym Generalnemu Sekretarzowi U'Thant, że naród pragnie pełnej wolności".

Oto fragment patetycznego pisma, które w dniu 6 sierpnia br. wpłynęło do Sekretariatu Generalnego ONZ. Ojczyzną, której losy „naród pragnie ująć w swoje ręce" — jest wyspa Anguilla o powierzchni 35 mil kwadratowych. Naród tak wymownie domagający się niepodległości liczy 5 i pół tysiąca ludzi.

Czy jest do pomyślenia by 30-milionowy naród polski mógł na wzór mieszkańców Anguilla proklamować swą niepodległość?

Wyobraźmy sobie, że w połowie lipca br. po długiej podróży wszedł w orbitę ziemi statek kosmiczny z innej planety. Przybysze z gwiezdnej przestrzeni puściliby w ruch kamery telewizyjne i radio-teleskopy — usiłując zorientować się w sytuacji na ziemi. Cóżby dojrzeli? Miasta amerykańskie w płomieniach, w Wietnamie wojna, w Adenie wojna, w Hong Kongu rozruchy, w Nigerii wojna, w Kongo rozruchy, na pustyni synajskiej nieostygłe pobojowisko.

Na tym tle, naszym gościom z przestrzeni Związek Sowiecki wraz z jego koloniami musiałby się wydać wielką oazą ładu i spokoju. W imperium sowieckim nie ma wojen, nie ma rozruchów, nie tylko pięciotysięczne lecz nawet 40-milionowe narody nie domagają się niepodległości — nikt nie bombarduje U'Thanta petycjami. „Porządek panuje w Warszawie" i w innych stolicach imperium.

Oczywiście gdybyśmy mieli możliwość podjęcia dyskusji z obserwatorami z innej planety — należałoby im wyjaśnić, że rozruchów narodowościowych czy rasowych w skali amerykańskiej Związek Sowiecki by nie przeżył. Lecz wówczas ze strony obserwatorów kosmicznych padłoby pytanie: na czym ludzie Zachodu opierają swe przekonanie, że krwawa rewolta Murzynów w Ameryce, niepowodzenia w Wietnamie, komunistyczne spiski w Ameryce łacińskiej, że wszystko to nie oznacza upadku liberalnej demokracji? Względny ład panuje w takich krajach jak Afryka Południowa, Rodezja czy Pakistan, gdzie nikt nie bawi się w wybory i w rządy większości.

60 lat temu porządek panował nie tylko w Warszawie lecz również w Adenie, Indiach, Palestynie, w Afryce, w Azji — wszędzie.

Gdy bezpośrednio po wojnie ambasador amerykański powiedział Stalinowi, że pewne dostawy dla Rosji opóźniają się z powodu strajku robotników portowych — dyktator Wszechsowietów zapytał ze szczerym zdumieniem: „Jakto — czy rząd amerykański nie ma policji?"

Podobna sytuacja powstała w związku z książką córki Stalina. Rosjanie, poprzez prywatne kontakty z amerykańskimi intelektualistami i politykami, starali się storpedować wydanie książki Swietlany podkreślając, że ogłoszenie tych pamiętników spowoduje wydatne pogorszenie stosunków pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą.

Czy Amerykanie pragną pogorszenia stosunków z Moskwą? Na pewno nie pragną, lecz o ile zakaz wydania danej książki w Moskwie jest drobną sprawą administracyjną, o tyle w Waszyngtonie wydanie takiego zakazu jest rzeczą niemożliwą.

Rosjanie tych rzeczy nie rozumieją. Nawet światli Rosjanie, znający Zachód i obce języki, nie rozumieją mechanizmu liberalnej demokracji. W gruncie rzeczy nawet ci, którzy cieszą się z wydania książki Swietlany na Zachodzie — nie wątpią ani na chwilę, że rząd Stanów Zjednoczonych, gdyby chciał, znalazłby odpowiedni paragraf i uniemożliwiłby wydanie tych pamiętników. Popularne rosyjskie porzekadło: „paragraf zawsze się znajdzie" — odzwierciedla ogólne przekonanie, że rząd — czy to carski czy sowiecki — jest wszechwładny w stosunku do obywatela.

To są ważne sprawy, ponieważ jeżeli ktoś nie rozumie demokracji liberalnej — nie rozumie Zachodu.

Jak to się stało, że po drugiej wojnie światowej imperia kolonialne uległy likwidacji? Rosjanina, który ma za sobą stulecia tradycji totalitarnej władzy — nikt nie przekona, że imperialiści zgodzili się dobrowolnie na likwidację kolonializmu. W Związku Sowieckim i w całej Europie wschodniej zarówno marksiści jak i nie marksiści są przekonani, że ludy kolonialne obaliły rządy imperialistów, którzy wyczerpani wojną nie czuli się na siłach odwołać się do przemocy.

Z komentarzy w prasie sowieckiej wynika jasno, że Moskwa analogicznie ocenia rozruchy murzyńskie w Stanach Zjednoczonych. Murzyni dojrzeli do rewolucji a imperialiści amerykańscy uwikłani w wojnę w Wietnamie nie mają już dość siły by „bunt czarnego ludu" zdławić przemocą.

Churchill powtarzał, że nie chce przewodniczyć komisji likwidacyjnej imperium brytyjskiego. I nie on przewodniczył. Przewodniczył socjalista Attlee, który był premierem w przełomowych latach 1945-51.

Indiami rządziła Kompania Wschodnio-Indyjska (założona w roku 1600) do wybuchu powstania w roku 1857. Królowa Wiktoria przyjęła tytuł cesarzowej Indii i w imieniu monarchii rządził kontynentem wice-król. Ostatnim, który sprawował tę funkcję był — żyjący do tej pory — osobisty przyjaciel Nehru, Lord Mountbatten.

Ruch wyzwoleńczy — kierowany od roku 1885 przez Indyjski Kongres Narodowy — przybierał na sile, lecz upłynęło 65 lat nim Indie w roku 1950 osiągnęły niepodległość.

Dlaczego to szło tak wolno?

Indie, które służą nam za przykład de-kolonizacji — zawdzięczają swą niepodległość trzem czynnikom: I — ruchowi wyzwoleńczemu w samych Indiach, II — ewolucji poglądów w Wielkiej Brytanii, oraz III — koniunkturze międzynarodowej.

Punkt drugi wymaga komentarza. Dopóki w Anglii rządziły partie polityczne, które tolerowały niewolę własnego ludu, pracę dzieci w kopalniach i w fabrykach, wyzysk i nędzę — trudno było oczekiwać od tych ludzi zrozumienia i sympatii dla ruchów wyzwoleńczych w koloniach. W owych czasach wyzyskiwano nie tylko czarnych w Afryce lecz i białych w Anglii. Wyzwolenie musiało się dokonać w Anglii, na to, by mogło stać się sukcesem w Indiach czy w Afryce. Innymi słowy w Anglii musiała wpierw powstać partia socjalistyczna, która przeciwstawiłaby się programowo wyzyskowi i kolonializmowi.

Gdyby dziś w Rodezji rządzili socjaliści nie byłoby żadnego sporu pomiędzy Londynem a Salisbury. I odwrotnie, gdyby dziś w Anglii rządzili konserwatyści sprzed pół wieku — nie byłoby również żadnego sporu z p. Smithem i jego skrajnie prawicową partią.

Polska po drugiej wojnie światowej znalazła się w orbicie imperium sowieckiego. Z tego powodu analiza przyczyn upadków i ewolucji nowoczesnych imperiów — posiada dla nas nie tylko teoretyczną wartość.

Monarchia austriacko-węgierska była mocarstwem wielo-narodowościowym, które upadło na skutek katastrofy wojennej. Imperium brytyjskie — jedno z największych w dziejach nowożytnych — nie upadło lecz przekształciło się w luźny związek państw.

Anglia należała do zwycięskiej koalicji zarówno po pierwszej jak i po drugiej wojnie światowej. Po pierwszej wojnie światowej nie było Jałty lecz, przeciwnie, słynne punkty prez. Wilsona. Na kontynencie Europy szereg państw odzyskał niepodległość. Lecz owa „Wiosna Ludów", która obdarowała niepodległością małą Litwę — nie przyniosła żadnych zasadniczych zmian gigantycznym Indiom.

Labour Party w roku 1922 odebrała partii liberalnej status drugiej wielkiej partii politycznej Anglii. Lecz dopiero w roku 1945 Labour Party odniosła decydujące wyborcze zwycięstwo co umożliwiło socjalistom przeprowadzenie szerokiego programu reform gospodarczo-społecznych. Zwycięstwo socjalistów przyniosło Anglii nowoczesne ustawodawstwo pracy i *Welfare State* — a Indiom, Pakistanowi i Burmie przyniosło niepodległość.

Jedną z głównych tez niniejszego artykułu jest pogląd, że jeżeli danemu imperium nie zagraża katastrofa z zewnątrz — warunkiem przemiany jest nie tylko napór ludów kolonialnych czy satelickich lecz przede wszystkim ewolucja w obrębie narodu imperialnego. Analiza dziejów imperiów wykazuje, że narody imperialne nie przyznają nigdy narodom kolonialnym czy satelickim — swobód i przywilejów nieznanych w metropolii. Moskwa nie chciała zgodzić się na wolne i nieskrępowane wybory na Węgrzech w roku 1956, ponieważ naród rosyjski nie korzysta z tego uprawnienia.

W Sowietach, w przeciwieństwie do Anglii, rządzą nie socjaliści lecz konserwatyści, którzy są przeciwnikami reform zarówno w Polsce jak i w Rosji. Konserwatyzm i imperializm nie są synonimami — lecz niewątpliwie istnieje ścisły związek pomiędzy obu tymi pojęciami. Powyższy związek można ująć następująco: konserwatyści nie zawsze są imperialistami, lecz imperialiści są zawsze konserwatystami.

W kraju w którym istnieje potężna partia socjalistyczna — socjaliści wychowują konserwatystów. Reformy wywalczone i zrealizowane przez socjalistów stają się z czasem częścią składową uznanego porządku rzeczy i w tym charakterze są akceptowane przez konserwatystów.

Imperializmu nie można pogodzić z socjalizmem. Gdyby w Moskwie sprawowali rządy socjaliści — rzetelne porozumienie między Polską a Rosją nie natrafiłoby na większe trudności. Socjaliści przebudowaliby Związek Sowiecki w *commonwealth* niezależnych państw a z Polską, Czechosłowacją i Węgrami zawarliby normalne sojusze.

Konserwatyści typu Kosygina czy Breżniewa nie podejmą żadnych radykalnych reform ani na wewnątrz ani na zewnątrz. Podobnie w Anglii 50 lat temu konserwatywne pokolenie „budowniczych imperium" stawiało opór reformom wewnętrznym i ruchom wyzwoleńczym w koloniach.

Socjalizmu nie należy identyfikować z legitymacją partyjną ani z określoną ideologią. W najogólniejszym lecz i najistotniejszym tego słowa znaczeniu, przez socjalizm należy rozumieć postęp społeczny.

Konserwatywni gentlemani, którzy przed stukilkudziesięciu laty tolerowali w Anglii pracę dzieci w kopalniach — nie byli ani hitlerowcami z obsady w Oświęcimiu, ani nie byli sadystami. Podobnie nie byli sadystami angielscy sędziowie, którzy — nieco wcześniej — wieszali wyrostków za kradzież gruszek w pańskich ogrodach. W przecięciu statystycznym ludzie ci nie byli ani gorsi ani lepsi od nas — kierowali się natomiast inną skalą wartości.

Normy moralne ewoluują i postęp w tej dziedzinie jest decydujący. Niestety moralność identyfikuje się najczęściej z tradycją i konserwatyzmem. Wszystkim reformatorom od Chrystusa po Marksa zarzucano, że podważają ustaloną (a tym samym świętą) skalę wartości moralnych. Ironią losu ci, którzy przejęli owe rewolucyjne systemy moralne uznali je z biegiem czasu za tradycjonalistyczne i nie podlegające rewizji.

Gdyby w Związku Sowieckim, na skutek różnorodnego kryzysu, doszło do rewolucji — jest rzeczą wręcz niemożliwą przewidzieć konsekwencje tego typu przewrotu. Jedno jest pewne. Rewolucjoniści mylą się sądząc, że w ewolucji istnieje „droga na skróty", „wielkie skoki naprzód" itp. Ewolucję jest niezmiernie łatwo hamować — niepomiernie trudniej jest ją przyspieszyć. Ewolucji nie da się wyminąć. Rewolucja zmienia radykalnie i nieodwracalnie układ stosunków społeczno-gospodarczych. Lecz żadna rewolucja nie zmienia na jotę istoty rzeczy, tzn. stopnia rozwoju danego społeczeństwa.

Żadna rewolucja — choćby najbardziej radykalna i zwycięska — nie przemieni Rosji z roku 1967 w państwo o ustroju socjalistyczno-demokratycznym. Rewolucja mogłaby ułatwić ewolucję w tym kierunku — lecz żaden przewrót nie podniósłby mas narodu rosyjskiego do poziomu, którego osiągnięcie jest niezbędnym warunkiem sprawnego funkcjonowania ustroju demokratycznego.

Wielu Polaków sądzi, że gdyby Polska nie była państwem satelickim uzależnionym od Rosji — mielibyśmy w Kraju kwitnącą demokrację. Nie podzielam tego mniemania. Gdyby Związek Sowiecki zniknął z powierzchni ziemi w Polsce nastąpiłyby wielkie zmiany, lecz stopień ewolucji społeczeństwa polskiego nie podniósłby się o milimetr. Bylibyśmy równie niedokształceni i nieprzygotowani do demokracji jak jesteśmy dziś, pod rządami Gomułki — natomiast uniezależnienie od Sowietów umożliwiłoby ewolucję we właściwym kierunku. Polacy potrzebowaliby dziesiątków lat pokoju i zabezpieczonej niezależności by powoli — poprzez upadki i bankructwa — wypracować własny model ustroju demokratycznego. Rewolucja za nikogo nie odrobi ewolucji. To nie jest gra słów lecz obiektywna prawda.

Podstawowego znaczenia jest ewolucja nacjonalizmu. Wystarczy spędzić kilka dni w Anglii by się przekonać, że nacjonalizm angielski różni się w kształcie i w treści od nacjonalizmu polskiego. Można mieszkać w Londynie kilka miesięcy i nie zobaczyć brytyjskiej flagi narodowej: Natomiast w Polsce i w Rosji — flagi, odznaki, herby państwowe — są widoczne na każdym kroku. Profesorowie Katz i Kelman z ośrodka badania konfliktów na uniwersytecie w Michigan — wysunęli tezę, że nacjonalizmy przechodzą przez trzy stadia rozwojowe. Przez nacjonalizm Katz i Kelman rozumieją stosunek obywatela do państwa i państwa do obywatela.

Pierwsze stadium rozwoju nosi nazwę „integracji symbolicznej". Ludzie są zaangażowani w stosunku do państwa przede

wszystkim emocjonalnie — czego wyrazem jest żywa reakcja na symbole jak flaga, hymn narodowy itp.

Na drugim szczeblu rozwoju obserwujemy „integrację normatywną". Nacisk położony jest na skalę wartości i „cnoty obywatelskie". Zaangażowanie wyraża się obserwowaniem kodeksu społecznego. Parlamentaryzm, niezawisłe sądy, praworządność i wysoki stopień wyrobienia obywatelskiego charakteryzują integrację normatywną.

Najwyższym stadium rozwojowym jest „integracja funkcjonalna". Na tym szczeblu państwo dostarcza obywatelom możliwości i środków do realizowania ich programów i celów życiowych. Jeżeli fizyk atomowy czy badacz Szekspira — filozof czy lekarz w szpitalu — mogą powiedzieć, że państwo dostarcza im środków i możliwości do pełnej realizacji ich programów życiowych — wówczas można mówić o „integracji funkcjonalnej".

Powyższy podział, który przedstawiłem w wielkim skrócie, posiada pierwszorzędne znaczenie praktyczne. Inne są bowiem reakcje i polityka narodu na pierwszym stopniu integracji — a inne narodu na drugim czy trzecim szczeblu integracji.

Komunizm niezmiernie utrudnia prawidłową ewolucję społeczną. Tak w Rosji jak i w Polsce przejście od integracji symbolicznej do integracji normatywnej napotyka na olbrzymie trudności. W obu krajach występuje natomiast w formie masowej alienacja, stanowiąca antytezę integracji.

Polacy jako naród nie wywierają dostatecznego wpływu na ewolucję Związku Sowieckiego — ponieważ wyższość Polaków nad Rosjanami jest w znacznej mierze mitem. Wyższość może się wyrażać albo osiągnięciem wyższego stopnia rozwoju społeczno-gospodarczego, albo wyższymi osiągnięciami indywidualnymi. Ustrojowo i gospodarczo Polacy nie stoją wiele wyżej niż Rosjanie — a osiągnięć indywidualnych mają na swym koncie mniej niż naród rosyjski. Terc, Arżak, Sołżenicyn i cały szereg innych wybitnych pisarzy tworzą literaturę protestu, która jest fenomenem w skali światowej. Polacy nie mieli wielkich komunistów ani wielkich anty-komunistów — ani nie wytworzyli na wzór rosyjski wielkiej literatury protestu.

Mao Tse-tung — podobnie jak większość rewolucjonistów w przeszłości — uważa, że napór krzywdzonych i uciskanych stanowi jedyną gwarancję sukcesu. W jednym z licznych zbiorów „złotych myśli" Mao znalazłem następujące sformułowanie: „Tam gdzie kończy się walka, kończy się postęp". To jest słuszna zasada lecz wnioski, jakie Mao wysuwa z tej zasady są błędne.

Polacy nie mają żadnej szansy pokonania Rosjan — Murzyni w Stanach Zjednoczonych nie mają żadnej szansy pokonania Amerykanów — północni Wietnamczycy nie mają żadnej szansy pokonania Amerykanów.

Ani wojna wyzwoleńcza ani rewolucja w powyżej zacytowanych przykładach jest niezastosowalna. W Stanach Zjednoczonych Murzyni stanowią nieco ponad 10% ogółu ludności. Jest oczywiste, że wszystkie przemiany społeczne i gospodarcze w

ostatecznym rozrachunku muszą być dokonane przez białych Amerykanów — nie dlatego, że są biali, lecz dlatego, że stanowią przytłaczającą większość ludności kraju. Jeżeli Murzyni uważają (i słusznie), że zasada *majority rule* winna obowiązywać w Rodezji — ta sama zasada obowiązywać musi również i w Ameryce. W praktyce musi to oznaczać rządy większości czarnych w Rodezji — i rządy większości białych w Stanach Zjednoczonych.

Murzyni w Stanach Zjednoczonych są skazani niejako „geopolitycznie" na współżycie z białymi Amerykanami. Ani „państwo murzyńskie" na kontynencie amerykańskim ani masowa emigracja Murzynów ze Stanów Zjednoczonych nie są koncepcjami realnymi. Można by więc zapytać jaki jest cel owych rozruchów murzyńskich, które z góry skazane są na niepowodzenie. Biali są przecież nie tylko w znakomitej większości — lecz dysponują policją, wojskiem i pieniędzmi. Czy nie lepiej byłoby doradzić Murzynom „metodę satelicką", która streszcza się w dwóch słowach: *yes Sir*.

Mao Tse ma jednak rację — tam gdzie kończy się walka kończy się postęp. Chodzi o postęp białych — o ewolucję poglądów białej większości. Nikt nie może pochwalać mordów, podpaleń i rabunków — lecz pewne formy naporu są konieczne, by białych rasistów przemienić w rzetelnych liberalnych demokratów. Czarny rasizm jest reakcją na biały rasizm. Biali rasiści mają na swoim sumieniu większe krzywdy niż pożary w Detroit.

Badania opinii publicznej wykazują, że większość białych Amerykanów zaczyna zdawać sobie sprawę z istoty i wymiaru zagadnienia murzyńskiego, które z całą pewnością zostanie stopniowo rozwiązane. Zwycięstwo Murzynów będzie polegało na tym, że biali Amerykanie zaakceptują ich z przekonania, a nie tylko z mocy konstytucji, jako pełno wartościowych współobywateli. Rasizmu — podobnie jak antysemityzmu — nie można zlikwidować na drodze ustawodawczej. Murzyn może mieć dobrze płatną pracę i korzystać z wszystkich praw i swobód — niemniej trzeba jeszcze by kelner w restauracji czy policjant na rogu ulicy nie traktował go odmiennie tylko dlatego, że jest czarny. To wymaga głębokich przemian w kulturze i tradycji białych.

◆

W prasie krajowej oskarża się „Kulturę" o „duchowy jagiellonizm". Zarzuca się nam, że propagujemy koncepcję zbliżenia z Rosją w tym celu by narodowi rosyjskiemu zaszczepić zgubne idee demokratyczne.

W prasie emigracyjnej spotykałem krytyki „Kultury" idące po nieco innej linii. Polacy nie mogą wpływać na Rosję — twierdzą nasi krytycy — ponieważ wszelkie mieszanie się w sprawy wewnętrzne prowadzi w rezultacie do pogorszenia a nie polepszenia stosunków sąsiedzkich.

Wojna jako instrument polityczny na pewnym szczeblu rozwoju technologicznego traci swą przydatność. Wojna polsko-rosyjska była rzeczą możliwą w roku 1920 — lecz dziś jest nie do pomyślenia. Ponieważ narody wysoko uprzemysłowione pragną uniknąć wojny — rozbudowano arsenał pokojowych środków politycznych nieznany w przeszłości. Super-mocarstwa dysponują propagandą, różnorodnymi mediami komunikacji, sankcjami gospodarczymi itp. Lecz państwa średniej wielkości jak Polska w stosunku do mocarstw atomowych zdobyć się mogą tylko na opór i wpływ.

Opór cywilny jest instrumentem politycznym do tej pory niedocenionym. Jestem przekonany, że opór cywilny w przyszłości będzie odgrywał politycznie coraz większą rolę. To nie jest tylko mój pogląd. Ukazała się ostatnio książka pt. „The Strategy of Civilian Defence" — pod redakcją Adama Roberts'a. G. Sharp (z Harvard) w pracy wschodzącej w skład omawianej książki, przytacza dziesiątki przykładów zwycięskiej kampanii oporu cywilnego. Znany brytyjski pisarz wojskowy Liddell Hart pisze, że przesłuchiwani przez niego generałowie niemieccy zgodnie stwierdzali, że dobrze zorganizowane opory cywilne w okupowanej Europie przysparzały im daleko więcej trudności niż akcje zbrojne.

Narodom tradycjonalistycznym, jeszcze do wczoraj „rycersko-rolniczym", przyswojenie tych przemian nie przychodzi łatwo. Niemniej, skłonny jestem przypuszczać, że i Polacy nauczą się z czasem stosować strategię masowego oporu cywilnego — ponieważ niewątpliwie na terenach Europy wschodniej to jest strategia przyszłości.

Ci, którzy mówią o wpływaniu na ewolucję w Związku Sowieckim — mają przeważnie na myśli problem narodowościowy. Osobiście reprezentuję pogląd, że choć ewolucja nie-rosyjskich narodów wchodzących w skład Związku Sowieckiego jest bardzo ważna — to przecież najważniejsza jest ewolucja narodu rosyjskiego. Rosjanie bowiem stanowią najliczniejszy naród sowiecki i w ich rękach spoczywa władza tak w sensie politycznym jak gospodarczym i wojskowym. Nie Ukraińcy, Uzbecy czy Gruzini tylko Rosjanie są imperialistami. Rosjanie są imperialistami ponieważ są totalistami. Totalizm jest imperialistyczny z definicji. Rosjanie są totalistami nie dlatego, że są komunistami. Samodzierżawie i autokratyzm — to są prymitywne formy ustrojowe typowe dla tradycyjnej mentalności rosyjskiej. Rosjanie nadali formy totalitarne ustrojowi komunistycznemu w zgodzie ze swoją wielowiekową tradycją. Zdemokratyzowanie narodu rosyjskiego musiałoby oznaczać coś znacznie więcej niż obalenie obecnego ustroju.

Polacy nienawidzą Rosjan, więc jak tu mówić o wpływie? Lecz co należy rozumieć przez twierdzenie: „Polacy nienawidzą Rosjan"?

Przeciętny inteligentny Polak nienawidzi enkawudzistów, stalinowców, aparatczyków, Rosjan, którzy reprezentują totalistyczny ustrój sowiecki. Jednakże ten sam Polak odnosi się z sympa-

tią do Rosjan typu Daniela, Siniawskiego, Sołżenicyna i dziesiątków innych pisarzy, którzy odważnie opowiadają się za wolnością. Ci pisarze reprezentują setki tysięcy Rosjan, którzy myślą podobnie jak oni. Na uniwersytetach w Moskwie i w Leningradzie istnieją nielegalne pisma wydawane przez matematyków i fizyków. Zagadnienie wolności w Rosji nie jest bynajmniej wyłączną domeną pisarzy i humanistów.

Podstawowe problemy Rosji i Stanów Zjednoczonych ulegają umiędzynarodowieniu. Ludzie w wolnym świecie zdają sobie dziś w pełni sprawę, że nierówność rasowa jest nie do pogodzenia z demokracją — a wolność jest nie do pogodzenia z totalnym komunizmem. Prasa zachodnia omawia problem rasowy w Ameryce i problem wolności w Rosji — ponieważ w odczuciu ludzi Zachodu to nie są już zagadnienia wewnętrzne obu super-mocarstw — lecz zagadnienie epoki, które mobilizują emocje i przekonania milionów ludzi poza granicami Stanów Zjednoczonych i Związku Sowieckiego. Coraz trudniej jest nawet Anglo-sasom zdobyć się na „elastyczne podejście" w stosunku do Sowietów, bo sytuacja zmusza do zajęcia określonego stanowiska. Nie można być równocześnie za Kosyginem i za Swietlaną, i tych dwóch oblicz narodu rosyjskiego nie stopi w jedną całość żaden „duch Glassboro".

W „Kulturze" nie uważamy się za wrogów narodu rosyjskiego czy Rosji. Solidaryzujemy się z setkami tysięcy Rosjan, którzy pragną zdemokratyzowania i przebudowy Związku Sowieckiego. Chcielibyśmy, by w Rosji zatriumfował prawdziwy socjalizm, który Rosjanom przyniósłby wolność, a uciskanym narodom niezależność: Jeżeli to jest „duchowym jagiellonizmem" — jesteśmy duchowymi jagiellończykami.

Oczywiście o „duchowym jagiellonizmie" na wielką skalę można by mówić wówczas — gdyby w Polsce nie rządził Gomułka lecz rzetelni socjaliści. Wtedy narody Związku Sowieckiego z Rosjanami na czele widziałyby w przykładzie Polski drogowskaz i nadzieję lepszego jutra.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

W JEDENAŚCIE LAT PÓŹNIEJ

O Rewolucji Węgierskiej ukazują się co roku nowe książki. Jej przebieg analizują świetni pisarze polityczni amerykańscy, francuscy i angielscy. Polski Październik nie ma ani takiej literatury ani takiej *publicity*.

O Powstaniu Warszawskim, które było dramatem historycznym na niepomiernie większą skalę niż Budapeszt — na Zachodzie głucho.

Patrząc dziś z perspektywy lat można stwierdzić, że nie ma zasadniczej różnicy pomiędzy współczesną Polską a współczesnymi Węgrami. Być może Kadar, który zdradził Nagy'ego — jest liberalniejszy od Gomułki. Być może Węgry w pewnych dziedzinach są bardziej „odstalinizowane" niż Polska. Rezultaty są podobne — choć polska metoda była daleko mniej kosztowna. Na czym więc polega różnica pomiędzy Październikiem a Budapesztem? Czy działa romantyka zbrojnego narodowego zrywu i echa z 1848 r.? Może pochwała Węgrów jest przejawem „kompleksu winy" odczuwanego niewątpliwie w pewnych kołach na Zachodzie.

Z dziesiątków prac jakie ukazały się na ten temat — na czoło wybija się krótki esej Raymonda Aron pt. „The Meaning of Destiny" („Ten Years After" The Hungarian Revolution in the perspective of history, Ed. Tamas Aczel, Wyd. Holt, Rinehard & Winston, New York. 1967).

Rewolucja Węgierska miała wiele aspektów lecz przede wszystkim — podobnie jak polski Październik — była reakcją na stalinizm. Imre Nagy pozostając do końca marksistą — proces de-stalinizacji doprowadził do logicznego finału. Gomułka de-stalinizację zatrzymał w pół drogi — lecz w przeciwieństwie do Nagy — nie utracił władzy nad partią.

W ocenie Arona przywrócenie wielopartyjności stanowiło największe i zasadnicze osiągnięcie Imre Nagy. Warto przypomnieć, że młodzi polscy komuniści Kuroń i Modzelewski w swoim programie wysunęli również postulat wielopartyjności.

Rozważając ten cykl zagadnień trzeba przyjąć marksistowski punkt widzenia, ponieważ Imre Nagy był marksistą i Kuroń i Modzelewski są marksistami. Nagy nie był kontr-rewolucjonistą tylko przywódcą rewolucji, którą popierał cały naród. Klasycznym kontr-rewolucjonistą był Kadar, który przy pomocy obcych wojsk przywrócił poprzedni, przedrewolucyjny stan rzeczy.

Czy rewolucja w państwie socjalistycznym jest dopuszczalna i potrzebna? W państwie prawdziwie socjalistycznym — rewolucja jest zbędna. Lecz państwa stalinowskie czy neo-stalinowskie z socjalizmem mają mało wspólnego.

Wyobraźmy sobie następującą sytuację. W państwie X komuniści na drodze rewolucyjnej obalają system kapitalistyczno-burżuazyjny. Gdyby w pierwszych tygodniach po rewolucji zezwolono na tworzenie partii politycznych — odżyłyby partie burżuazyjne, wrogie rewolucji. Trudno więc się dziwić, że zwycięska partia rewolucyjna w takiej sytuacji sprawuje monopol władzy.

Istotą walki klasowej jest podział klasowy. W społeczeństwie burżuazyjnym partie polityczne reprezentują interesy klas społecznych. Podział klasowy zdeterminowany jest systemem produkcji. Inne są interesy właścicieli środków produkcji a inne proletariatu, który ma do sprzedania tylko siłę swoich mięśni, względnie kwalifikacje zawodowe. Komuniści sprzeciwiają się systemowi wielopartyjnemu, by nie tworzyć możliwości organizacyjnych i reprezentacyjnych dla wroga klasowego.

Można się z tym zgadzać lub nie zgadzać — trudno jednak odmówić logiki przytoczonemu rozumowaniu. Lecz powyższa logika dobiega kresu gdy

znika ze sceny wróg klasowy. Cytuję za „Encyklopedią Ekonomiczną": „W społeczeństwie, w którym zbudowany jest socjalizm, np. ZSRR — istnieją dwie klasy społeczne: klasa robotnicza i chłopstwo spółdzielcze".

Robotnika czy spółdzielczego chłopa trudno nazwać wrogiem klasowym. Na jakiej więc podstawie i z jakich przyczyn komunistyczna partia Związku Sowieckiego sprzeciwia się systemowi wielopartyjnemu? Z wrogów klasowych, kułaków i kapitalistów w 50 lat po przewrocie bolszewickim nie ma śladu ni popiołu. Wniosek stąd, że istnieją inne przyczyny nie związane z walką klasową, które nakazują władzy sowieckiej dławienie wolności.

Aron ma rację. Wielopartyjność jest zagadnieniem kluczowym, ponieważ bez wielopartyjności nie ma demokracji a bez demokracji nie ma wolności.

W Polsce Ludowej przekonanych komunistów jest niewielu. Ilu jest demokratycznych socjalistów tego nikt nie wie. Ustrój Polski należałoby określić mianem socjalizmu państwowego. Właścicielem wszystkich środków produkcji jest państwo — którym monopolistycznie rządzi partia. Faktem jest natomiast, że ustrój burżuazyjno-kapitalistyczny został zlikwidowany. Upaństwowienie środków produkcji nie prowadzi automatycznie do demokracji i socjalizmu — oznacza jednak likwidację systemu prywatno-kapitalistycznego. Z marksistowskiego punktu widzenia istotne jest, że stosunki produkcyjne uległy radykalnej zmianie. Nie ma dziś prywatnych właścicieli fabryk, kopalń, majątków ziemskich itp. W Polsce ponad 50% ludności stanowią robotnicy przemysłowi i inteligencja zawodowa. Z klasowego punktu widzenia to są czystej krwi proletariusze, którzy żyją z tego co zarobią. Jakakolwiek nowa partia polityczna w Polsce, która chciałaby dysponować silną grupą poselską w sejmie i wpływać na politykę rządu — musiałaby mieć masowe poparcie robotników i inteligencji pracującej. Partia tego typu byłaby w dzisiejszej sytuacji z istoty rzeczy partią proletariacką której żaden marksista nie mógłby określić mianem wroga klasowego.

Komuniści nie boją się wroga klasowego. Boją się natomiast demokracji, bo nawet proletariacka i socjalistyczna demokracja pozbawiłaby ich monopolu władzy.

To jest niezmiernie ważny punkt bo w tym miejscu rozeszły się drogi oficjalnego marksizmu z zachodnim racjonalizmem. W bezklasowym społeczeństwie o uspołecznionym modelu produkcji — pozbawianie ludzi wolności nie może być umotywowane żadnymi racjonalnymi argumentami.

Stalin wysunął swego czasu tezę, że walka klasowa zaostrza się w miarę postępu budowy socjalizmu. Powyższa teoria odzwierciedlała postępującą manię prześladowczą dyktatora. Stalin uważał każdego rzeczywistego czy urojonego swego przeciwnika za wroga klasowego.

Problem zasadniczy sprowadzić można do jednego krótkiego słówka: po co? Po co przeprowadzono reformę rolną i uspołecznienie a raczej upaństwowienie środków produkcji? Jaki był cel tej operacji określanej mianem rewolucji?

Marks nigdy nie mieszał dwóch zasadniczych kategorii tj. środków i celów. Ekonomię uważał za zespół środków wiodących do celu a nie za cel sam w sobie. Autor „Kapitału" chciał stworzyć nowy system społeczno-gospodarczy, który zamiast „kajdanów" produkowałby wolność.

W tym miejscu intelektualnie nastrojony Czytelnik skrzywi się i pomyśli: z chwilą gdy padło słowo „wolność" kończy się oczywiście rzeczowe rozumowanie i zaczyna się propaganda. Słowo „wolność" jest terminem tak zdewaluowanym, że pisarz unikający tanich efektów stara się go nie używać.

W „Encounter" (Styczeń 1964) — znawca problemu narodowościowego w Sowietach, prof. Richard Pipes z „Harvard's Russian Research Centre" — uczynił w swym artykule następujące charakterystyczne wyznanie:

„Cztery lata temu pisząc artykuł o rosyjskiej inteligencji dla pisma 'Daedalus' — chciałem zakończyć ów artykuł stwierdzeniem, że współczesny rosyjski intelektualista ma specjalną misję do spełnienia a mianowicie — winien walczyć o prawdę. Na skutek rad moich przyjaciół opuściłem wyżej zacytowane zdanie, ponieważ brzmiało naiwnie i nie naukowo. Obecnie żałuję, że tak postąpiłem — ponieważ dzieła literackie, które pojawiły się w następnym okresie — stanowią dobitny dowód jak ważny jest ten problem, a nawet samo słowo 'prawda' dla rosyjskich intelektualistów".

Jedną z najważniejszych ludzkich wolności jest wolność głoszenia prawdy. W okresie stalinowskim panowało totalne zakłamanie. De-stalinizacja musiałaby oznaczać przyznanie pisarzom i intelektualistom wolności powiedzenia całej prawdy o stalinizmie. Lecz wówczas okazałoby się, że obecne reżymy komunistyczne oparte są na identycznym totalnym kłamstwie jak stalinizm. Owym totalnym kłamstwem jest oficjalna teza, że przyznanie ludziom wolności byłoby równoznaczne z otwarciem bram dla kontrrewolucji. Nie można obywatelom przyznać wolności — bo z owej wolności skorzystaliby wrogowie ludu. Innymi słowy, nie można mieć prawdziwego socjalizmu bo wróg klasowy wykorzystałby wolności demokratyczne dla swoich niecnych celów. Kto jest wrogiem klasowym w pół stulecia po rewolucji? Wrogiem klasowym w systemie dyktatury komunistycznej jest całe społeczeństwo. Wszystkie reżymy komunistyczne w wschodniej Europie są *de facto* stalinowskie — ponieważ, podobnie jak Stalin — przeciwników dyktatury identyfikują z wrogiem ludu. W takiej sytuacji „wróg ludu" i lud to są synonimy.

Czytałem wielokrotnie w prasie krajowej, że jedyną wolnością, którą Zachód ma do zaoferowania Polsce — jest wolność od socjalizmu. Lecz czy w Polsce Ludowej ludzie, którzy są za socjalizmem korzystają z wolności?

Byłoby zgodne z logiką gdyby w państwie budującym socjalizm ludziom, którzy są za socjalizmem — przysługiwał przynajmniej tak szeroki margines wolności jak ten, który przysługuje opozycji. Jednak w praktyce jest wręcz odwrotnie. W Polsce Ludowej socjalistom przysługuje mniejszy margines wolności niż opozycjonistom. Wystarczy porównać sytuację dwóch wybitnych ludzi: Leszka Kołakowskiego i kardynała Wyszyńskiego. Kołakowskiego usunięto z partii, nakłady jego książek są ograniczone, a on sam odcięty jest od szerszych kontaktów z młodzieżą. Natomiast kard. Wyszyński przemawia do wielotysięcznych tłumów i margines jego osobistej wolności jest na szczęście nienaruszony. A przecież marksista Kołakowski a nie kardynał Wyszyński jest zaangażowany w sprawie socjalizmu.

W rzeczywistości ludzie socjalistycznie zaangażowani nie tylko nie są u siebie w domu w „państwie budującym socjalizm" — lecz przeciwnie, należą do kategorii osób najbardziej podejrzanych. Każdy członek partii jest potencjalnym rewizjonistą. Nie politycznie bezpostaciowa opozycja lecz rewizjonizm stanowi zagrożenie dla dyktatury.

PRZECIW-WAGA

Ho-Chi-minh w języku wietnamskim oznacza „ten co oświeca". Ho-Chi-minh jest dokładnie w wieku gen. de Gaulle'a. Pracował kiedyś w hotelu Carlton w Londynie. Wówczas nie istniała jeszcze „srebrna brygada" w stolicy Anglii więc Ho nie miał sposobności zetknięcia się z Polakami. („Srebrną brygadą" określa się polskich oficerów czyszczących srebra w londyńskich hotelach).

Życiorys Ho nawet w encyklopediach amerykańskich przedstawia się imponująco. W najnowszym, piątym wydaniu „Dictionary of Politics" (Penguin) Ho poświęcono 29 wierszy, a Gomułce 2 wiersze.

Ojciec Ho był urzędnikiem w służbie francuskiej, lecz za swoje niepodległościowe przekonania został usunięty ze stanowiska. Ho podobnie jak Gomułka jest samoukiem. Lecz na tym analogie pomiędzy obu przywódcami się kończą. Ho jest poliglotą. Mówi biegle po francusku, angielsku, rosyjsku i chińsku — nie licząc języków i dialektów południowo-wschodnio-azjatyckich. Przywódca północnowietnamski, w przeciwieństwie do Gomułki bardzo wiele podróżował. Spędził po kilka lat w Londynie, w Paryżu w Moskwie i w Kantonie.

Podróże wprawdzie kształcą lecz nie decydują o popularności. Gdy w roku 1941 francuski rząd w Vichy podjął współpracę z Japończykami — Ho zorganizował ruch oporu, który jednoczył komunistów i nacjonalistów. Armia podziemna Ho-Chi-Minh'a walczyła przez 4 lata z Japończykami i w końcu zmusiła japońskich najeźdźców do kapitulacji w Tonkinie i Annamie. I tu napotykamy na zasadniczą różnicę pomiędzy Ho a wschodnioeuropejskimi, satelickimi przywódcami komunistycznymi. Karta niepodległościowa Ho-Chi-minha jest bez skazy.

W chwili gdy piszę tę notatkę w południowym Wietnamie organizuje się wielkie demokratyczne wybory. Z jednej strony Wietkong — z drugiej strony półmilionowa armia amerykańska. Nie wydaje mi się, by nawet Brytyjczycy w takich warunkach potrafili olśnić świat cnotami demokratycznymi. Demokracja — choćby najprawdziwsza — nie produkuje przywódców. Dramat południowego Wietnamu w chwili obecnej nie polega na braku instytucji demokratycznych. Dramat polega na tym, że politycy i przywódcy południowego Wietnamu w porównaniu z Ho-Chi-minh'em są trzeciorzędnymi figurami. Komunizmowi można przeciwstawić demokrację, lecz wybitnemu przywódcy trzeba przeciwstawić wybitnego przywódcę. Sytuacja w południowym Wietnamie kształtowałaby się całkowicie odmiennie, gdyby na czele anty-komunistycznego ruchu stał przywódca kalibru Ho-Chi-minh.

Wietnam jest fatalnie „wybranym przykładem" słusznej polityki. Połową sił zbrojnych zaangażowanych w Wietnamie można było w końcowej fazie drugiej wojny światowej — w znacznej mierze udaremnić imperialistyczne plany sowieckie w Europie. Oczywiście prezydentem Stanów Zjednoczonych musiałby być wówczas nie Roosevelt — tylko Amerykanin stanowiący pełną przeciw-wagę Stalina.

CO SIĘ ZMIENIŁO?

W poprzednim numerze „Kultury" w notatce pod powyższym tytułem

wymieniłem główne przemiany, które dokonały się ostatnio w życiu międzynarodowym. Felieton radiowy Christopher'a Serpela nasunął mi refleksje, że przeoczyłem bardzo istotną przemianę a mianowcie zmierzch tzw. „trzeciego świata".

W polityce życie wyprzedza nomenklaturę. Dziś na ogół terminem „trzeci świat" określa się niedorozwinięte kraje afro-azjatyckie. Jednak nie zawsze tak było. W kwietniu 1955 r. w Bandung w Indonezji odbyła się pierwsza międzykontynentalna konferencja krajów afro-azjatyckich. W konferencji wzięło udział 29 krajów z komunistycznymi Chinami włącznie. Uchwalono szereg rezolucji i przyjęto Deklarację Praw Człowieka ONZ pomimo protestów chińskich. Potępiono imperializm sowiecki i amerykański, kolonializm itp.

W roku 1956 w letniej rezydencji prezydenta Jugosławii odbyła się konferencja w której wzięli udział Tito, Nehru i Nasser. Wydaje mi się, że wówczas po raz pierwszy użyto terminu „kraje niezaangażowane" w odniesieniu do „trzeciego świata". Szczytową fazą w której historii „niezaangażowania" była konferencja belgradzka, w której wzięło udział 24 państwa. Chiny w Belgradzie nie były reprezentowane. Oczywiście „niezaangażowany" trzeci świat nie miał już wówczas charakteru afro-azjatyckiego, ponieważ należały do niego Kuba i Jugosławia.

„Niezaangażowanie" *(non-alignment)* nie było w gruncie rzeczy ani ideologią ani koncepcją polityczną tylko naiwną wiarą. Gdy dziś czyta się deklaracje o prawie do samostanowienia i niezależności, które uchwalały wszystkie „niezaangażowane" konferencje — trudno oprzeć się wrażeniu, że przywódcy „trzeciego świata" łudzili się, że można być biednym, niedorozwiniętym gospodarczo i niepodległym. Wyobrażali sobie, że upadek kolonializmu oznacza możliwość korzystania z pomocy bogatych i potężnych bez popadania w satelictwo czy zależność. Prez. Nasser — jeden z czołowych „niezaangażowanych" przywódców — przekonał się ostatnio, że biedni za pomoc płacą zawsze zależnością.

Można rozdzierać szaty nad cynizmem super-mocarstw lecz to w niczym nie zmienia faktu, że choć (w teorii) tak biedni jak i zamożni mają prawo do samostanowienia i niezależności — w praktyce z owego przywileju korzystają tylko zamożni. Niezależności nie można kupić ani za dolary ani za ruble tylko trzeba ją wypracować. Dotyczy to w równej mierze państw jak i klas społecznych. Robotnicy zdobyli niezależny status socjalny tylko w tych krajach w których klasa robotnicza osiągnęła wysoki stopień zamożności. Biedni są zawsze małoletni. Dotyczy to zarówno jednostek jak warstw społecznych i narodów.

CUD NAD WISŁĄ NR 4

Do tej pory istniały trzy warianty owego wydarzenia: a) zwycięstwo odniósł Józef Piłsudski, b) decydującą rolę odegrał gen. Weygand, c) zwycięstwo zawdzięczamy interwencji sił nadprzyrodzonych.

Wydawałoby się, że nie jest rzeczą możliwą wymyślenie czwartego wariantu. Bo jeżeli nie Piłsudski, nie Weygand i nie siły nadprzyrodzone — to kto?

W artykule pt. „Revolutionary Ukraine and Western Pacifists" (ABN Correspondence, July 1967) Dr D. Doncow pisze co następuje:

„Nikt inny tylko generał Weygand stwierdził otwarcie i wielokrotnie, że w czasie polsko-ukraińskiej wojny przeciwko komunistycznej Rosji w roku 1920 — Ukraińcy a mianowicie armia ukraińskiego generała Bezruczko odegrała decydującą rolę w krytycznym momencie".

Jak gen. Bezruczko tego dokonał? Okazuje się, że niezmiernie zwyczajnie i bez interwencji sił nadprzyrodzonych. Dr Doncow pisze bowiem, że Bezruczko „najpierw zatrzymał Czerwoną Armię maszerującą ku Zachodowi a następnie zmusił ją do ucieczki".

Proste, prawda?

DOWÓDCA DACHU

W czasie drugiej wojny światowej miałem tylko jedno stanowisko dowódcze. W czasie rozruchów arabsko-nacjonalistycznych w Kairze w roku 1945 — zostałem mianowany (na piśmie) „Officer Commanding Roof Watchers". Moje stanowisko dowódcze mieściło się na dachu Brytyjskiego Ministerstwa Informacji. Na rzeczonym dachu panował wręcz piekielny upał a imperium brytyjskie — mimo moich wysiłków — odchodziło w siną dal. Bliższe szczegóły związane z tą arabską awanturą odnajdą Czytelnicy w trzecim odcinku „Z zapisków Oficera Czasu Wojny", który ukaże się w jednym z najbliższych numerów „Kultury".

LONDYŃCZYK

Pamflety

Fryzury Mieczysława Rakowskiego

„... Nie wierzę już w rewolucję jako w sąd nad światem. Wierzę tylko w rewolucję, która przeobraża nas samych..."

Henrik de Man: „Zur Psychologie des Sozialismus".

1

Bardzo słusznie. Niemniej posłużę się oświadczeniem de Man'a w sensie różnym od przezeń zamierzonego. Czasownik „przeobraża" pojmuje on jednokierunkowo i pozytywnie, de Man jakby mówi: „Nie róbmy rewolucji, przeobrażajmy się sami w stronę dobra..." Ślicznie, lecz czy nie bardziej interesuje jak rewolucja dokonana przeobraża nas samych, wszystkich, różnych? I to wielokierunkowo. Szukając miałkich typowości moglibyśmy zabrnąć w truizmy, lecz gdy olśniewająca wielokierunkowość metamorfoz, ich bogactwo i rozmaitość, rozprzestrzenią się zaskakująco przed nami jak obraz Op-Art'u — unikniemy bez trudu spospoliceń.

Mieczysława Rakowskiego wprowadzam do moich tegorocznych rozważań nad światem na zasadzie uczuciowej obojętności. Jest to człowiek, o którego nigdy mnie życie nie zazębiło. Witał się ze mną zawsze uprzejmie i bez zainteresowania, jak ja z nim. To, co wiedzieliśmy i sądziliśmy o sobie nie podlegało zmianom w ciągu lat. Byliśmy ideowymi wrogami, lecz nie łączyła nas nienawiść. Nawet przyglądałem mu się — mimo programowej odrazy i negacji — z przyjemnością: było w nim także coś zabawnego co potwierdzało moje ogólniejsze przypuszczenia, a

zawsze jest miło mieć rację. W 1958 roku Klub Międzynarodowej Prasy zaprosił mnie na publiczną dyskusję na temat artykułu w „Tygodniku Powszechny", w którym domagałem się, po raz pierwszy w Kraju od końca wojny, rewizji pojęć o powojennych Niemczech. Wywołał on falę sloganowego oburzenia w prasie komunistycznej, uwłaczające epitety ze strony Emigracji, zaś „Tygodnik" zręcznie odciął się ode mnie. Przyjąłem zaproszenie z masochizmem samobójcy, który przepada za publicznym rozszarpywaniem na strzępy. Tymczasem nie było tak źle. Pastwiła się, co prawda, nade mną endecko-komunistyczna koalicja w imię Stalingradu i wozu Drzymały, ale liczna na sali młodzież uniwersytecka, i ta nieco dalej w latach, wypowiadała się z zastanawiającym pragmatyzmem i ostentacyjnie oklaskiwała moje co bardziej prowokacyjne zagrania. Dyskusji przewodniczył redaktor Rakowski i fungował, przyznać trzeba, z wymuszoną, lecz oczywistą bezstronnością sędziego, który marzy o zwycięstwie swojej jedenastki ani na chwilę nie zapominając o godności arbitra. W kilka lat później zaproponowałem Rakowskiemu druk I części niewydanej powieści. Było to pociągnięcie taktyczne: druk *mojej* powieści w *jego* „Polityce" był ewentualnością surrealistyczną i wręczając mu maszynopis nikt z nas obojga nie traktował tej sytuacji na serio. Mnie, w moich wojnach o paszport i wydanie książki, potrzebne było zdanie: „Właśnie 'Polityka' rozważa druk mojej powieści...", które rzucane umiejętnie w różnych gabinetach podczas różnych rozmów czyniło pewne wrażenie. Po czym Rakowski zatelefonował, oddał mi maszynopis (którego zapewne nie przeczytał) i rozstaliśmy się w uśmiechach, rewerencjach, grzecznościach, bez uraz i we wzajemnym zrozumieniu o jaki numer chodzi. Albowiem i Rakowski załatwiał przy tym swój numer — cholernie mu wtedy zależało, ażeby uchodzić za liberała, który zastanawia się nad każdym maszynopisem z każdej strony. Zresztą, gdyby uważał, że moja strona jest jednak trochę za daleko nawet na liberalizmy, to przecież nie mógł odmówić rozpatrzenia: obnosiłbym się wtedy po Warszawie z nowym dowodem prześladowań, tym razem ze strony „Polityki".

Rakowski jest również syndromem, jak Kott, tow. Blatmanowa, czy pan Bolo, o którym będzie mowa poniżej. Ktoś może mnie spytać dlaczego — atakując syndromy — traktuję Rakowskiego z obojętnością. Odpowiedź nie będzie łatwa. Nawet reprezentując niebezpiecznie rozprzestrzeniony gatunek Kott, tow. Blatmanowa, czy pan Bolo budzą głównie obrzydzenie. Rakowski jest zjawiskiem trudniejszym. Można go zresztą wygodnie steoretyzować, ale po co? Indywidualizacja i ucieleśnienie uzmysławiają lepiej grozę przeobrażeń, o których de Man nie mógł jeszcze wiedzieć.

2

Historia fryzur Mieczysława Rakowskiego jest historią zwycięskiego i rządzącego komunizmu w Polsce. Rakowski ma tzw. doskonałe pochodzenie społeczne: jest synem chłopskim z Pomorza. Na początku komuniści o niczym tak nie śnili jak o chłopskich synach-autentykach: z góry mieli przygotowane wierszyki o zachodnio-słowiańskich, naprawdę aryjskich rolnikach, co to w biedzie lecz niezłomnie opierali się nawale germańskiego imperializmu. Produkt jest zatem zdrowy, mocno zbudowany, jasnowłosy i ujmujący na oko. Kiedy ujrzałem go po raz pierwszy Rakowski nosił na głowie jak to się mówi szopę — ogromny, blond-kędzierzawy tłumok, dający mu wygląd na pozór tuzinkowy, w gruncie rzeczy zaś pieczołowicie opracowany. Była to pełnia stalinizmu i Rakowski, wraz z niejakim Wysznackim (ostatnio redaktorem „Stolicy"), wprawiał się w zawód komunistycznego oprawcy słowa drukowanego u boku sławnego w owym czasie kata, szefa Wydziału Prasowego K.C., Stefana Staszewskiego, późniejszego buntownika. O Staszewskim powiedział mi przed wiekami (przy stoliku w warszawskiej YMCA, gdzie mieszkaliśmy sobie podówczas u młodzieży chrześcijańskiej) redaktor Immanuel Birnbaum — ostatnio z „Süddeutsche Zeitung", a w ogóle nestor środkowoeuropejskiego dowcipu: — Staszewski? Trzeba uważać. Żyd-blondyn, rzecz przeciwna naturze, nigdy nie wiadomo co zrobi... — co okazało się prorocze w świetle wydarzeń Października. W okresie, o którym mowa, Staszewski nie był jeszcze non-konformista, lecz stupaja, zaś Rakowski nazywał się instruktorem Wydziału Prasowego, czego znaczenie tonęło w odmętach komunistycznego eufemizmu. Aparycja zaś była skrupulatnie dobrana: należało podkreślać niezbyt obciążającą wieśniaczość przy pomocy uczesania i stroju dbając jednocześnie o znamiona rozwoju umysłowego na twarzy, łatwe do zidentyfikowania z rozwojem klasowej i partyjnej świadomości. Od zręczności takiego przypasowania zależało wiele, czasem kariera, i Rakowski umiejętnie rozwiązał zagadnienie. Włos nosił płowy, kręcony, sztywny, wzdęty i budzący natychmiastowe uczucia solidarności u tych wszystkich na nowych posadach i funkcjach partyjno-rządowych, których metryk nie można byłoby się doszukać w metropoliach większych od Konina, Przasnysza, czy Wejherowa. Ubierał się schludnie i bez krawata, w bezkształtne wiatrówy i płaszcze watowane w ramionach, za to do samych kostek. Z daleka nie różnił się niczym od owej młodzieży gromadzko-powiatowej, wyglądającej jednako i w ORMO i w spółdzielni i w świetlicy „Służby Polsce" i na procesji Bożego Ciała i na wieczorku

POM'u, której forma zespala się tak pięknie z wyobrażeniem golonki, kajaków na wiślanych plażach, piwem „Dubeltowe" i melodią „Besame Mucho" pod papierowymi lampionami wokół haseł o współzawodnictwie pracy. Ta właśnie młodzież była podówczas urodą socjalizmu i pieprzykiem etapu, od jej udziału zależało tak wiele. To ona miała spolonizować, a zarazem spopulizować rosyjsko-żydowsko-inteligencką kadrówkę, kładącą właśnie fundamenty w głębinach dialektycznych pułapek. Mniej zdolni szli do wojska i do UB na oficerów, zdolniejszym przyswajano materializm i teorię nadwartości, w pocie czoła, lecz za wszelką cenę. Do póz modnych i szyku chwili należało subtelne podkreślanie parobczańskich treści psychofizycznych w służbie intelektu, kultury i nowej Polski. Z tym, że na ludowo-świeżych wargach instruktora Rakowskiego błąkał się już wtedy uśmieszek, wsparty uważnym spojrzeniem dość żelaznych oczu, z którego wynikało, że uśmiechający się zna na pamięć teorię zaostrzania się walki klasowej wraz z postępami socjalizmu, i że Józef Wissarionowicz może ufać ludowi wiejskiemu polskiego Pomorza, który zrobi wszystko jak należy w myśl dialektycznych przepisów na wznoszenie się w górę.

Na dyskusji w Klubie Międzynarodowej Prasy Rakowski miał włos skrócony, acz ciągle jeszcze blond-barankowy, karakułowaty i na jeża, żeby nie odstręczać nowej administracji przesadnym dandyzmem. Ubrany był w dwurzędówę typu granatowy tenis z CDT'u, schludnie i tym razem przy krawacie. Śmiał się obficie i z całego serca, zwłaszcza z co gwałtowniejszych, anty-oficjalnych akcentów. Był bardzo miły i starał się nie wprawiać mnie w zakłopotanie. Mimo powierzchownego kontaktu wyczuwało się jakąś zasadniczą inność. Była to inność osiwiała w troskach niepowodzeń, nowa giętkość tych, którzy już wiedzą, że trzeba inaczej. Jeszcze ubierają się statecznie i skromnie, lecz już z socjalistycznego waszecia, co pozwala nie bać się ironii i śmiać się z tego przeciw czemu 5 lat temu wyciągało się nagan. Tow. Rakowski, w ramach powikłań etapu, demonstrował z wdziękiem i jak umiał najlepiej to, co było nie łatwe do zrozumienia, lecz nieodzowne dla dalszego istnienia. Zresztą robił to zręczniej i taktowniej od wielu innych. Tym razem miałem do czynienia z redaktorem naczelnym „Polityki" i — już wkrótce — prezesem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

3

Rys historyczny (z pamięci): kiedy Gomułka doszedł faktycznie do władzy, natychmiast zatrąbił na odwrót. Ale zatrąbił tak,

że tylko najcwańsi usłyszeli. Mniej cwani, którym jeszcze różne surmy i synkopy z festiwali jazzowych w uszach grały, nie usłyszeli tego trąbienia i dziś dogorywają w SPATIF'ie z Januszem Minkiewiczem przy jednym stoliku, bądź cieszą się szacunkiem całej Łomży w zamian za piastowane funkcje w miejskiej bibliotece. Rakowski usłyszał *message* niezwykle chwytliwym uchem, zaś niewykluczone jest, że sam Gomułka mu je z bliska przegwizdał, albowiem mówiono podówczas, że stosunki między nimi są więcej niż rodzinne. Nie znam poszczególnych szczebli kariery Rakowskiego, lecz gdy stanął w ogólnonarodowych reflektorach po Październiku, wszyscy wskazywali na zażyłość nowego Szefa z bierutowskim instruktorem prasowym. Jak, co, dlaczego — tego nie wiem, ale wiem, że posada się natychmiast wykroiła na medal.

Potrzebne było pismo. Nie byle jakie. Takie, co to znalazłoby formułę usprawiedliwiającą matactwa ideowo-polityczne odzierające Polaków z tego, co wydawało się im, że wywalczyli. Należało to uczynić cienko, delikatnie, w oparciu o najnowsze osiągnięcia, w stylu nie przypominającym przed-historyczny prymitywizm Jakuba Bermana. To pismo miało trafić *w* i *do,* miało stać się kuźnią nowych koncepcji i super-pralnią starych kombinacji i łotrostw, które tyle razy już zawiodły w rewolucyjnym „stawaniu się" i w socjalistycznym budownictwie, a które ciągle jeszcze trzeba było czyścić, nicować, farbować i używać na nowo. Kto wymyśli nową wersję starych przecherstw? Takie było zlecenie i za to leciała wielka premia. Już działała „Trybuna Literacka", dodatek tygodniowy do „Trybuny Ludu", w której Putrament, Żukrowski i paru innych starali się ocalić Nieprzemijające i Wartościowe z ubiegłego okresu, jakby cokolwiek warte było ocalania poza wysokością honorariów. Właśnie likwidowano autentyk, „Po prostu", prawdziwy czynnik przemian i jedyny ośrodek prawdziwej walki o prawdziwe *coś* jaki marksiści polscy poczęli i powili z własnego łona po raz pierwszy w tym stuleciu od czasów Róży Luksemburg. Pozostawała masa upadłościowa pod postacią metody, potrzebny był egzekutor. Dlaczego właśnie Rakowski? Jakie miał kwalifikacje, czym się zapisał w skorowidzu zasług i umiejętności? Tego znów nie wiem, znam go tylko po wynikach. Na rozruch otrzymał piękne przedsiębiorstwo: „Trybunę Literacką" sfuzjowano z „Trybuną Wolności" — teoretycznym organem KC PZPR, wydawanym w 6-ciocyfrowym nakładzie na użytek inicjatywy prywatnej, której sklepiki uważały jej papier za nadający się najlepiej (?) do pakowania śledzi; nikt zresztą w ciągu 20 lat nie dostrzegł innego zastosowania tego periodyku — oraz z czasopismem o megalomańskim tytule „Świat i Polska", poświęconym jakoby polskiej (?) polityce zagranicznej (?) i czy-

tywanym wyłącznie przez redaktora, korektora i ich rodziny. Amalgamat ten umiejscowił się w stylowym budynku w Alejach Jerozolimskich, przy murze którego Niemcy rozstrzeliwali Polaków (dzięki czemu uniknął ciosów odbudowy) i gdzie jeszcze w 47-ym widniała fotografia Antka-Rozpylacza na nagrobkowej emalii. I przybrał nazwę „Polityka".

Nie piszę rozbioru krytycznego, ani studium o „Polityce". Nie mam po temu kwalifikacji, czasu, ani zainteresowań. Ale wiem, naskórkowo i na potoczny użytek, czym to pismo jest. Przede wszystkim jest nieudaną próbą kradzieży: miało ukraść „Po prostu" jego znaczenie i to się nie udało. Niemniej, nie stało się imitacją. Wypracowało własne, dość wyraźne oblicze, wraz z wszelkimi śladami szpetoty. Jego początkowa koncepcja sprowadzała się do odwoływania Października i był to program przerażający w swej prostocie. Polacy, w myśl tego programu, osiągnęli *politycznie* wszystko co było do osiągnięcia, dalszy rozwój przemian prowadziłby do anulacji socjalizmu, zaś anulować go nie wolno nie tylko ze względu na Ruskich, którzy mogliby się poczuć dotknięci, lecz ze względu na niewzruszalny fakt, że socjalizm jest dobry. Co nie znaczy doskonały. Będziemy więc go ulepszać. Ale teoria jest O.K., nie podlega rewizjom, nie wymaga ulepszeń. Zaś z praktyką różnie bywa i główną zdobyczą Października — który *był* Ogromnym, Wspaniałym Osiągnięciem! — jest to, że będziemy mogli ją sobie przedyskutować. Co nie znaczy zmieniać. Model społeczny jest O.K., tu o żadnych zmianach nie może być mowy, ale gdzieniegdzie wykonanie szwankuje i nasi reporterzy pisać będą obszerne sprawozdania na ten temat. System ekonomiczny jest prawidłowy, lecz tu i ówdzie występują nieprawidłowości, które będziemy oświetlać i analizować. W polityce zagranicznej stoimy po właściwej stronie, zaś wśród naszych sojuszników będziemy rozglądać się za braćmi, którzy myślą i czują jak my, choćby to był i Togliatti, bo to co mówi jest słuszne i piękne, nawet jeśli niepraktyczne z naszego punktu widzenia. Interesuje nas także krzywda społeczna i nie uchylamy się od jej tropienia, jak również od piętnowania korupcji, dogmatyzmu, nepotyzmu, kacykostwa, głupoty, prywaty, kumoterstwa, które w ubiegłym okresie przykrywane były błędnie pojętą racją stanu. Socjalizm to jawność, otwartość, umysł, racjonalizm, nauka, socjologia, ankiety, nowoczesność i nienaruszalnie *słuszna zasada* społecznego istnienia. Od czasu do czasu i to tu to tam naruszają ją ludzie ułomni, słabi, ograniczeni, czasem ze złej woli, czasem z nieświadomości, czasem na skutek skomplikowanej gry społecznych współzależności, czy klasowych uwarunkowań, których mroki i pseudo-zagadkowa nieprzenikalność *muszą* w końcu ustąpić promieniom jedynego, współczesnego, naukowego

i postępowego światopoglądu. W ten sposób, poprzez Październikowe oświecenie i światły absolutyzm „Polityka" wróciła do obskuranckiego, poznawczego misz-maszu, w którym — jak wykazało doświadczenie — niesposób żyć, a tym bardziej budować. Albowiem każdy kto żył 20 lat *tam, od* Janka-Muzykanta do profesora Infelda, ma raz na zawsze wmurowane w świadomości, że:

— to SYSTEM jest zły, zgniły i deprawuje ludzi, którzy w NIM stają się źli, że zaraża złem każdego kto go dotknie, zaś dobrzy muszą zginąć w jego trybach —

— komunizm to ludzkość oszukana i to, co głosiły o nim pokolenia marzycieli, ideologów i pisarzy, zanim oblókł się w kształt, jest nadużyciem dobrej wiary publiczności, a mianowicie:

1. że będzie prawdą (przyniósł uświęcenie kłamstwa w niespotykanym dotąd wymiarze);

2. że będzie sprawiedliwością (stał się gigantycznym inkubatorem wielkich i małych krzywd);

3. że przyniesie prawdziwą wolność (przyniósł najlepiej skonstruowaną niewolę każdego przejawu życia i każdej komórki społecznej w stopniu nieznanym najstarszym tyraniom);

4. że uszlachetni wyzwolonego z więzów eksploatacji człowieka (upodlił go i uwikłał we władztwo głupoty, niskich instynktów, płaskości, przyziemności i we wzajemne wyniszczanie o nieznanych przedtem cechach wyrafinowania).

Są to jednak problemy, którymi „Polityka" nie zajmuje się nawet w drodze najodleglejszych aluzji. Socjalizm jest świętą krową, jeść jej nie wolno, ale że odżywiać się trzeba, przeto — jak wszystko co żyje pod czerwoną gwiazdą — musi żyć na numer. Numer „Polityki" jest dość prosty i polega na zręcznym podstawieniu *ersatz'u* w miejsce autentycznego problemu, czy autentycznej odkrywczości. Orwellowskie prawo równych i równiejszych przeobraża się tym razem w prawo troski i tzw. obiektywnej troski. „Polityka" troszczy się o Polskę i socjalizm i los człowieka i dystrybucję i chuligaństwo i prawa ruchu ulicznego i felczerów i teorię kwantów na uczelniach i jakość smarów i służbę zdrowia i nieznany aspekt piłsudczyzny *obiektywnie,* to znaczy: nie chodzi jej o *Ding an sich* (co byłoby zgubnym subiektywizmem w tym wypadku), lecz o jego funkcję w gomułkowskim komunizmie. W perspektywie 50 lat lenino-stalino-komunizmu jest to pewne osiągnięcie, kult jednostki i dogmatyzm zakazywały wszelkich trosk *en bloc,* wychodząc z założenia, że wszystko jest w niebywałym porządku. Najprostszy empiryzm poucza nas jednak, że *taka troska* jest z moralnego i społecznego punktu widzenia Jednym Wielkim Opasłym Niczym — jak rzekł-

by Kubuś-Puchatek. Te słowa ludzie „Polityki" czytają nabrzmiali krzywym rozgoryczeniem: wszak oni jedni wiedzą, ile ich wysiłków zostaje zastopowanych, jak muszą walczyć i użerać się o każde śmielsze słowo, jak ciężko jest zrobić to nawet, co tak łatwo mnie (sukinsyn!) przychodzi pomniejszać, tarzać w błocie i szyderstwach. Rzecz w tym, że ich zmagania i gorycz są bez znaczenia w moralno-społecznym systemie odniesienia nie liczą się, w ogóle ich nie ma. Komunizm polega właśnie na tym, że każdy w nim walczy, dysząc ciężko, z kimś głupszym i gorszym od siebie, powszechność tej walki sprawia jednak, że sama w sobie nie jest ona żadnym walorem; dopiero jej kierunek i jakość ustawia ją w jakiejś hierarchii wartości i znaczenia. „Polityka" pracuje na pozytywne zafrasowanie losem szarego człowieka, szarej spółdzielczości, szarej, szeregowej obrabiarki i post-październikowej, wyemancypowanej z soc-realizmu prządki, która używa makijażu firmy „Lechia" i wody kolońskiej „Przemysławka" i „ma" zagadnienie czy czasem aby jest właściwie spożytkowywana seksualnie i technologicznie. Ta pseudo-rzeczowa, pseudo-społeczna, pseudo-odpowiedzialna namiastka zaangażowania w rzeczywistość sprawiła, że „Polityka", której marzeniem jest być rzecznikiem, a zarazem krynicą mądrości gomułkowo-postępowej inteligencji, technicystycznej nowej klasy, petrochemicznego neo-pozytywizmu i stoczniowej pracy organicznej — w istocie stała się uwielbieniem i mini-Biblią pana Bola.

Pan Bolo jest postacią opierającą się syntetycznym portretom, dlatego choćby, że pochodzi z oszałamiająco różnorodnych regionów społecznych. W latach ludowej demokracji spacerował w płaszczach z kamelharu, pachniał lawendą i przynależał głównie do śląsko-krakowskiej inicjatywy prywatnej. Inicjatywa prywatna jest najbardziej heroiczną grupą społeczną w Polsce: jej nadludzkie i bohaterskie zmagania z komunizmem, biurokracją i aparatem fiskalnej eksterminacji usuwają w cień klechdy greckie, walkę żeglarzy z żywiołem, czy osadników z morderczą bezdusznością natury w pustyniach i puszczach. Tak dumna i wspaniała postawa w wojnie z wrogiem publicznym Nr 1 powinna zapewnić inicjatywie prywatnej miłość i poważanie reszty społeczeństwa, jednak jakoś tak nie jest i kiedyś przyjdzie mi się tym szerzej zająć. Pana Bola nie należy zresztą identyfikować z inicjatywą prywatną, pełno go wśród lekarzy, adwokatów, inżynierów, gęsto go od zarania na państwowych posadach, przeważnie w handlu zagranicznym. Pan Bolo zaludniał niegdyś Jastarnię i Zakopane, teraz spędza wakacje w demoludach, bądź na „Transylvanii", bądź po prostu w Paryżu, bowiem pan Bolo nie ma trudności z paszportem, z dewizami i w ogóle z tym co trzeba. Od Października pan Bolo ma Wartburga, potem Skodę, potem Fiata i tak dalej,

nie obowiązują go koszmary kolektywnej lokomocji. Po Październiku pan Bolo zmienił także styl noszenia się, czerpiąc inspiracje z wzmożonego obrotu filmów zachodnich przebrał się w nylony, orlony, laminaty, zamszowe kurtki. Rodzinnie i społecznie pan Bolo jest synem Augusta Bęc-Walskiego z „Przekrojowego" *cartoonu* z lat 40-tych, stereotypu reakcjonisty, byłego posiadacza i religianta; jest Bęc-Walskim zgniecionym przez walec drogowy stalinizmu, a zatem *kompletnie* przystosowanym, który po Październiku stał się rdzeniem tzw. małej stabilizacji. Ideowo i towarzysko pochodzi przeważnie ze sfer endecko-oenerowskich, jest więc tradycyjnym antysemitą, ale i na tyle nowoczesnym snobem aby o niczym tak czule nie śnić jak o przechadzce pod rękę z Adolfem Rudnickim przez zatłoczone Krupówki. Jednym słowem — pan Bolo to pozytywny kombinator, jeden z tych, którym nie zależy, którzy nic nie wiedzą bo wiedzieć nie chcą. Bo ich *to* nie obchodzi. Powodziłoby się im identycznie dobrze w sanacyjnej Polsce i w faszystowskiej Polsce i w komunistycznej Australii. Przycichli na chwilę podczas wojny, bo gry toczyły się ostre i za każdą rzecz można było beknąć za wysoką cenę, ale odżyli czerstwo i rumianie w komunizmie, w całej okazałości, we w zbogaconej niepomiernie florze gatunków. Gdy im powiedzieć, czy ukazać jacy są, oburzają się bezgranicznie, bo oni przecież nic złego i w porządku, a także krytykują i opowiadają dowcipy i są dobrze ze wszystkimi. Dlaczego zaraz potępiać, że ktoś jest dobrze z Jaszczukiem, czy Tokarskim, co w tym złego? Bo i co tu się bić? Tak zawsze było, jest i będzie, że silniejszy górą, a mądrzejszy z nim. Opowiadano mi o reakcji pewnego pana Bola na „Porachunki Osobiste": podobno wyzywał mnie od ostatnich za to, że opisując otwarcie moje starania u dygnitarzy Bezpieczeństwa „psuję innym". Pan Bolo rozumuje: „starał się", „załatwił sobie", „dali mu" i „prysnął". Jakże nieetycznie! Zepsuł innym, bo teraz nie dadzą się starać. Humanizm, wolność i zasady to dla pana Bola chała, ale w końcu pan Bolo jest idiotą i nie rozumie, że załatwianie i dawanie jest w totalizmie ponadczasową funkcją systemu i nic tu się nie da zepsuć. Pod koniec tygodnia pan Bolo kupuje „Politykę" i „Przekrój", kładzie oba pisma zgodnie do kieszeni drzwiowej swego teraz już Volkswagena czy BMW i zasuwa nad Zalew. „Przekrój" daje mu błogość *to-be-in*, „Polityka" rozgrzesza go. Dzięki niej pan Bolo odczuwa społeczne zaangażowanie, społeczny frasunek i społeczną troskę. Dzięki niemu nakład rośnie.

Cichą tragedią „Polityki" jest, że ma się ona za pismo gomułkowatych Judymów i Siłaczek, zbrojnych w telewizor i motocykl marki „Junak". W rzeczywistości jest pismem pana Bola.

4

Przypuszczalnie, zasadniczy przełom w życiu Mieczysława Rakowskiego nastąpił w początkach lat 60-tych. Harmonizował, jak zawsze, z podskórnymi tendencjami w polskim komunizmie. Kończył się okres uwarunkowań i instrumentalizmu, nadchodził czas osobowości. Już nie żelazne prawa scjentyzmu, litera leninowskiej ewangelii, czy podręczniki politycznej gramoty określały historię na codzień, lecz wolna gra sił między osobowościami. Dominowała ciągle jeszcze *personality* Szefa, lecz już rosły inne. Kliszko, spowiednik i Arlekin, Moczar, konfederat powiatowy, któremu powiodło się na szczeblu wojewódzkim i wyżej, Cyrankiewicz, stary bilardzista, duży kozak w tasowaniu znaczonych kart tak, żeby wszyscy myśleli, że talia jest w porządku, Gierek, zarządca gigantycznego parkingu strzeżonego, zwanego także Katangą. Były różne wzloty i upadki, błyski Zambrowskiego i Strzeleckiego, szybko gasnące w podmuchu silniejszych wiatrów, lecz prawidłowość zyskiwała na wzięciu i jeśli ktoś chciał brać udział, musiał być kimś. Zaś najlepiej jest być kimś z własnego pastwiska, skreowanym przez własne, niepowtarzalne soki na tzw. wyjątkową indywidualność. Rzecz w tym, by trafić we właściwą charakteryzację.

Wtedy też ujrzałem ponownie Rakowskiego, tym razem na premierze warszawskiego STS'u. Już sama sceneria była sygnałem: tu oto, w płyciutkim, lecz zawsze jeszcze dołku stołecznego rewizjonizmu, przez który, jak się go w porę nie zauważy, i nogę można złamać — faworyt Gomułki w arcy-nowej stylizacji, którą — co tu ukrywać — zafrapował mnie. Cały w zachodnioeuropejskich beżach, zamszach, skórach, oliwkach, butach koloru butelki brylował, dzielił uśmiechy, łaski, *bon-mot'y* szybciutkie riposty kwalifikujące go do równouprawnień w tym środowisku ozdobnych rozgoryczeń i żyletkowych konwersacji. Nie miał w sobie zresztą nic z pana Bola, przeciwnie, reprezentował jego śmiertelnego wroga — swingowca, beatnika, be-bopowca, sfrustrowanego egzystencjalistę z ciągotami do elegancji i odpowiednią siłą nabywczą w dewizach, wymodelowanego na Saint-Germain-de-Prés i bohaterach filmów nowej fali. No i włosy, fryzura, uczesanie, determinanta całości, akcent naczelny i najmodniejszy: tym razem były krótkie, płaskie, proste, sczesane do przodu, lecz nie na Tytusa, zaś krojem francuskim lansowanym ostatnio przez Maurice Ronet'a. To było imponujące! Pojąłem z mety jakiej siły charakteru wymagało prostowanie owych krzepkich blond kędziorów, zwiniętych ongiś w stalowe spirale, jakiej determinacji i woli trzeba było, by je położyć na płask! — O, Boże... — jęknąłem z podziwem — ... skąd te ciuchy? — To proste — odparła stojąca przy mnie dziewczyna. — Wiłkomirska.

Nie wiem kiedy Rakowski ożenił się z Wandą Wiłkomirską, słynną skrzypaczką, ale wiem kiedy małżeństwo to zaczęło przynosić owoce. Mianowicie w epoce narastającego znaczenia osobowości. W mglistą przeszłość odpłynęły surowość kurtek i zgrzebny purytanizm aparycji na wieśniaka, dostatek i jego manifestacje stały się walorem na giełdzie dokonań. Już wolno było mieć i domek jednorodzinny i willę urządzoną antykami i mały jacht na jeziorach i tapety z Hamburga — to podkreślało prawidłowość rozwoju. W tych warunkach Wiłkomirska była na wagę złota. Jest to podobno bardzo dobra skrzypaczka, ceniona w świecie muzycznym po obu stronach rowu; być może, nie znam się na tym, wiem tylko, że nikt z polskich muzyków tak często, obficie i lukratywnie nie wyjeżdżał, zwłaszcza za Stalina. Nie ma w tym zresztą nierozwiązalnej tajemnicy, po prostu Wiłkomirska pochodzi z zasłużonej, partyjnej rodziny i sama od dziecka jest chlubą różnych Komsomołów i ZMP. W komunizmie są też dobrzy i lepsi, i dobra skrzypaczka, jeśli jest córką starych komunistów i zaczęła wcześnie koncertować w czerwonym, pionierskim krawacie, jest *lepszą* skrzypaczką na tej samej zasadzie, na jakiej hrabia-poeta był *lepszym* poetą od łyka-poety w feudalizmie. Partia ją wychowała, dzięki partii wszystko i zawsze, partia jest z niej dumna, nic więc dziwnego, że łatwiej jest znaleźć się na liście artystów propagujących polską muzykę zagranicą, łatwiej wyjechać, łatwiej kupić samochód w adenauerowskich Niemczech, łatwiej uzyskać nań zwolnienie z cła, łatwiej kupić nowy gdy stary już niemodny i tak dalej. Małżeństwo Rakowski-Wiłkomirska jest cennym, nieodpartym przyczynkiem do obyczajów epoki i w moich oczach stanowi balzakowską wręcz próbę finansowego uniezależnienia się komunistycznego działacza politycznego w komunizmie. Albowiem, i to wymaga podkreślenia, zarówno w Paryżu pana de Rastignac, jak i w Warszawie tow. Rakowskiego o niezależności polityka, o jego zdolności do politycznego manewru, do szerokości myślenia, do pozornych, lub mniej pozornych aktów non-konformizmu decyduje niezależność finansowa i wyzwolenie się z obaw o doraźny zarobek. A jakże to pomaga w budowaniu osobowości! Boję się, że bez inwestycji Wiłkomirskiej Rakowski nie dałby rady przedzierzgnąć się w „przekrojowego" *playboy'a*, mimo, że radykalna zmiana fryzury ujawniła w nim całkiem atrakcyjną przystojność — kawał chłopa, uśmiech otwarty, rysy mocne i męskie, trochę taki pomorski Steve McQueen — bowiem wyemancypowani rolnicy w średnim wieku i odpowiednio na głowie przycięci mieli i mają swój urok i wzięcie w salonach stolic. Pewne koła w Polsce uwielbiają jak

ktoś recytuje im pisma Gramsci'ego w takim właśnie „przekrojowym" moderunku i tu Rakowski utrafił w dziesiątkę, choć na marginesie przyjdzie nam zauważyć, że tak instruktor KC, jak redaktor i prezes SDP Rakowscy śmiertelnie „Przekroju" nienawidzili i domagali się palenia na stosie pierwszych co takie fryzury nosili. Cóż więc tak go odmieniło? Czy przemiana jest bebechowa, czy tak sobie z wierzchu i po fryzurze?

5

W połowie lat 60-tych zarysował się (w potężnym skrócie) układ następujący: Gomułka i Kliszko wyizolowani, Cyrankiewicz w dyspozycji, Ochab-emeryt, zaś wokół nich skotłowana magma, z której dochodzą różne krzyki: „Moczar!", „Gierek!", „Młodzi sekretarze!". To ostatnie zawołanie łączone kilka lat temu z nazwiskiem Rakowskiego, zwłaszcza wśród Amerykanów, którzy z dziecięcą łatwowiernością notują wszystko co się im w Warszawie podsuwa. Amerykanie doszli do następującego wniosku: ponieważ sekretarze sekretarzy KC i Politbiura dobierani są w drodze skrupulatnego stażu i załatwić przez nich można mnóstwo, należy więc przypuszczać, że stanowią skrystalizowaną siłę polityczną i należy ich brać pod uwagę jako ewentualnego partnera. Byli młodoturcy, są młodzi sekretarze, zaproszono więc Rakowskiego do Ameryki, gdzie spędził parę miesięcy, rozmawiał z Kennedy'm i otrzymał tzw. *red carpet treatment* jako ewentualny partner i siła. Naiwnościom Amerykanów nie ma końca, żyją oni ciągle jeszcze pod czarami Szeherezady, nie wiadomo więc co sobie po tej wizycie obiecywali; w każdym razie, na początku, zachwyceni swingowym wyglądem i fryzurą Nr 3, łykali grzecznie tępawe slogany o koegzystencji, lekko zniuansowane w zależności od rozmówców (Departament Stanu, czy amerykańska lewica). Wpadli we wściekłość dopiero, gdy po powrocie do Warszawy, Rakowski opublikował książkę o podróży pn. „Amerika Wielopiętrowa", w której napisał wszystko inaczej, niż mówił. Był to w istocie stek kłamstw, symplactw i kpin z inteligencji czytelnika, ale trudno jest mieć pretensje do Rakowskiego, że pisze źle i głupio: nie jest on pisarzem ani dziennikarzem, a tylko instruktorem prasowym, redaktorem i prezesem SDP. Zaś Amerykanie i tak nigdy się nie nauczą, że nie jest ważne co polityczny pieczeniarz mówi u nich, ale to co mówi u siebie w domu — i chyba dlatego przegrają walkę o świat, co nie daj Boże! Jedynym więc beneficjantem podróży był Rakowski: amerykańskie stypendium i globtrotterstwo przydało mu trochę aury

tolerancyjnej przystępności dla różnych porozumień. I o to mu głównie chodziło.

Pozycja społeczna, przyczółek polityczny (Rakowski jest członkiem, czy zastępcą członka KC), niezależność finansowa, aparycja i egzotyczny *sex-appeal* swingującego intelektualnie i towarzysko marksisty są to potężne atuty w formowaniu indywidualności na użytek wielkiej kariery. Ale jakiejś ingrediencji ciągle jeszcze brak, ciągle czegoś nie dostaje, ciągle jeszcze nie jest się formatem ani kalibrem. Z pomocą przyszła wypróbowana w historii technika: skoro trudno jest samemu być osobowością na miarę, trzeba złączyć wysiłki z innymi, którzy są w tym samym położeniu. W ten sposób powstał triumwirat: Starewicz — Żółkiewski — Rakowski. Zeszli się, porozumieli i wywiesili firmę: liberalizm.

Co znaczy ten „liberalizm"? Nic i bardzo wiele. Każdy z triumwirów aż do chwili, gdy ujawnił się jako neo-liberał ma za sobą piękne i bogate *dossier* totalniaka, dzierżymordy, stalinowskiego stupaji, cynicznego hipokryty, służalczego lokaja. Starewicz i Żółkiewski nie wymagają prezentacji, nazwiska ich mówią same za siebie, pola kultury i administracji partyjnej, które uprawiali przez 20 lat z bezwzględnością hitlerowskich gauleiterów, usiane są znakami ich wyrafinowanych okrucieństw na rozkaz. Liberalizm idej, obyczajów czy zasad jest przedmiotem ich całożyciowej pogardy, od młodości ukorzyli się przed gwałtem dokonywanym na prawdzie i moralności, weszło im to w krew, uwielbili przemoc, którą nazwali rozumem, lub koniecznością i uznali za wartość zabsolutyzowaną i najwyższą. Ponadto, w komunistycznym dekalogu liberalizm jest grzechem śmiertelnym, słowo to cuchnie, kojarzy się z chorobą ciała i umysłu, gniciem komórek i rozkładem psychicznym. Cóż zatem skłoniło triumwirów do tak hazardowego pociągnięcia? Co sprawiało, że ich sztandarowy *agent provocateur,* Alicja Lisiecka, nie wahała się przed używaniem terminu „liberałowie" nawet w tak niebezpiecznie plotkarskich tawernach jak stołówka ZLP, który — powtórzony Gomułce i Kliszce — niósł niebezpieczeństwo krwawych rozliczeń w rozmowach za wypolsterowanymi drzwiami. Podejmowali to ryzyko otwarcie i świadomie, Lisiecka, stara polityczna *demi-mondaine'*a, wyrządzająca przez lata całe krzywdy w imię słabo sprecyzowanych rozróżnień dobra i zła, działała tym razem ostrożnie, po zegarmistrzowsku wyregulowana, i wypowiadała słowa uważnie zażyrowane przez triumwirów. Cóż zatem słowo to znaczyło dla nich, że mimo odrazy i strachu brali je w ręce jak płaza i wznosili wysoko w górę tak, aby wszyscy wokoło widzieli, że trzymają.

Walka o schedę po Gomułce jest w toku. *Challenger'*ów jest kilku. Małomiasteczkowa postać Moczara rośnie na Rakowieckiej

jak skomputeryzowana potęga wszystkich polskich Krotoszynów, Kłajów i Mław do kupy wziętych — dzika siła, bezbrzeżna dynamika spółdzielń masarskich i owocarskich, kółek ogródków działkowych, bufetowych z Zamojszczyzny, gdzie każdy miał kogoś w partyzantce, teraz już nie bardzo wiadomo w jakiej. Moczar rżnie patriotyzmem, inni wojują maczugami ekonomiki, stopy życiowej, lodówki dla każdego, jeszcze inni biją na feudalne przywileje aparatu. Wcisnąć się ciężko, do kogo, czego i jak odwoływać się ma kolejna alternatywa? Do czego, jak nie do wolności, do swobód, do haseł, które zawsze w Polsce mają zbyt wśród zdezorientowanych, a w najgorszym wypadku wśród inteligenckich pragmatyków, którzy w swym gruźliczo-chronicznym dążeniu do rwania permanentnych więzów ciągle jeszcze wierzą w zasadę politycznego sprzedać-kupić, tu poprzeć tam wyszarpać. Najgorzej jest z własną przeszłością triumwirów. Żółkiewski, po tysiącach akcji represyjnych, na czele których stał, budzi wymioty gdy mówi o wolności. W wewnętrznym kodzie posłów bezpartyjnych w Sejmie Starewicz nazywany jest Fagasem: wiadomo, że dokona każdej egzekucji na zlecenie Pana. Rakowski... Co tu robić i po co sięgnąć? Za co więc chwycić się jak nie za wypróbowaną wśród Polaków wizję wallenrodyzmu.

Polacy uwielbiają wallenrodyzm. Nikt nie napisał o tym zjawisku piękniej od pana Adama i chyba wyrostki żadnego narodu tak tkliwie nie wzdychają za życiorysem szlachetnego przeniewiercy. Może dlatego Polacy tak uwielbiają i wzdychają, bo nigdy nie mieli pojęcia o tym jak to robić, nie ma w ich historii Talleyrand'ów, którzy tak imponują ich elicie umysłowej, znudzonej własną wersją politycznej spekulatywności w wykonaniu ociężałych Druckich-Lubeckich i Wielopolskich. Komunizm wraz z odmętem swych moralnych pułapek wzmógł niezwykle tęsknoty za wallenrodyzmem, a także jego prestiż społeczny: na dobrą sprawę każdy partyjniak chrzczący dziecko w kościele uważa się dziś nie bez racji za Wallenrodka. Komunizm, zwłaszcza polski, cudownie się do talleyrandowskich praktyk nadaje. Dlaczego, na przykład, o partyjnych ludziach, którzy są *zupełnie* jednakowi, mówi się różnie, czasem aż do śmiesznych polaryzacji opinii? W demokracji odczynnik polityczno-moralny funkcjonuje od święta, przy specjalnych okazjach, lecz w komunizmie ten sam lakmus tyra na codzień, codziennie ujawnia nowy wybór, nową konieczność wartościowania, w każdej sprawie i okoliczności inaczej, zawsze i nieuchronnie w perspektywie obyczajowej etyki i w odniesieniu do interesów innych ludzi. Stąd ogrom ambiwalencji i całkowita nieprzydatność zbiorczych etykietek. Ten jest dobry, kto jest dobry dziś, tu, teraz i w konkretnej sprawie. Polityk w komunizmie nie odpowiada za swój program, tylko za swoją

przyzwoitość na codzień, jest ona jego jedynym atutem i tytułem w oczach społeczeństwa, co — przyznać trzeba — jest raczej dziwacznym paradoksem. Wybory w komunizmie to rzecz przezabawna, nie dlatego, że szopka i fałsz, lecz dlatego, że wyborca najpoważniej kieruje się w swym akcie wyborczym nadzieją, iż wybrany poseł *nie będzie* realizował tego co głosi w swym programie, że jest dostatecznie „porządny" aby tego nie wcielać w życie. Perspektywy wallenrodyzmu są więc bezkresne, ale triumwirowie, bazując na nim, poszli dalej i wymyślili coś jeszcze lepszego.

Aczkolwiek — nic nowego. Magiczna formuła i zaklęcie 50 lat urzeczywistniania komunizmu zawierające się w słowach: „on chciał dobrze" nie jest niczym nowym. Po raz pierwszy zastosowano ją do Marksa i Engelsa kiedy okazało się jaka przepaść otwiera się pomiędzy tym czego chcieli, a tym co w imię ich chęci zmajstrowano. „Oni chcą dobrze" mówiono o Leninie i Dzierżyńskim gdy można było myć ręce we krwi w rynsztokach wokół Butyrek i Łubianki. To samo powtarzali kretyni zbierający na MOPR przed wojną gdy ktoś przypadkiem bez taktu wspomniał o Stalinie dorzynającym swych najdroższych giermków. Po wojnie długo korzystał z tego dialektycznego *gadget*'u Hilary Minc: pół Polski powtarzało: „on chce dobrze", podczas gdy ekonomiczny cudotwórca parł z entuzjazmem ku ostatniemu etapowi kolektywizacji, czyli zrównaniu chłopa z ziemią. Totumfaccy Cyrankiewicza od dwóch dekad zapewniają o tym jak on chce dobrze, a tu lata mijają i co? Dodają więc, że bez niego byłoby tysiąc razy okropniej, ale my tego nie wiemy jak byłoby bez niego bośmy jakoś nigdy nie byli, natomiast aż za dobrze wiemy jak jest z nim. Gomułka długo jeszcze prolongował swą karierę na „on chce dobrze", szeptanym przez zaprawionych zauszników podczas po-październikowych bankietów, kiedy już każdy nad Wisłą kto miał oczy widział, że on chce jak najgorzej. Melodia jest zatem wypróbowana i liczne Lisieckie ruszyły na Warszawę z idiotycznym uniesieniem w oku i gromkim zawołaniem: „Oni chcą dobrze, jeszcze teraz nie mogą robić dobrze, ale jak im pomożecie i poprzecie ich w walce z tym ciemnym rzeźnikiem z łódzkiego UB, gburem i analfabetą, wtedy oni dojdą do naczelnych znaczeń i zrobią wam dobrze...".

Przedziwna jest fizjologia kłamstwa i funkcja przeinaczeń w komunizmie: totalniackie kłamstwo jest bezwysiłkowe, sprężyste i żywotne jak toksyna, której zawsze przeciwstawiać trzeba nową, z trudem zsyntetyzowaną surowicę. Jakże łatwo przychodzi kłamać SS-Mann'om na procesach w Niemczech: rozkaz, musieli, nie wiedzieli. My wiemy, że jest to żrąco-palącym odwróceniem prawdy, ale jak dezynfekować, filtrować, odkłamywać, rozpląty-

wać? Żółkiewski rozpędził w swoim czasie bestialsko rewizjonistyczną „Nową Kulturę" na rozkaz Gomułki — czy wtedy też chciał dobrze, nie mógł inaczej, musiał? Dlaczego nie pojechał do Krynicy tłumacząc, że otyli żyją krócej? Dlaczego przyjął zlecenie, a dziś mruga, że on *tego* nie chciał, zaś chciał dobrze? Po proteście 34-ech Rakowski ogłosił wstrętny artykuł w „Polityce", pełen topornych oskarżeń, bezsensownych, lecz nienaruszalnych w swej prostackości leninowskiego kwestionariusza. Dziś, kokietując różnych 34-ech swą jakoby alternatywną postawą, daje do zrozumienia, że musiał, że konieczność, że wyższa, on tak nie myślał i nie chciał, on chciał dobrze a reszta to taktyka i gra. Mit gry jest jednym z najzręczniej ukutych: cała maszyneria wyobrażeń i przemyślnie rozsiewanych pogłosek służy w komunizmie stwarzaniu legend, że toczy się jakaś gra gdzie nic się nie toczy, że jacyś o coś grają gdy nie ma żadnych stawek, przegranych, wygranych, programowych różnic i utraty posad, a ciągle wszystko po dawnemu. Nie znaczy, że nie istnieją walki frakcyjne, istnieją, ale to właśnie jest zupełnie coś innego: autentyczne frakcje zwalczające się o faktyczną władzę i różnice zdań wbijają sobie autentyczne noże w autentyczne plecy — ale frontem, do narodu, na pokaz, na fotografiach prasowych toną w czułościach, uściskach, objęciach, karesach. Im bardziej i ciszej ktoś szepce na ucho, że on jest przeciw, tym rozsądniej jest wierzyć, że on jest za; im bardziej daje do zrozumienia jak on chce dobrze, tym ufniej należy sądzić, że on chce bardzo źle. A zresztą: gdzie są gwarancje? Żółkiewskiego, Starewicza, Rakowskiego znamy od 20 lat: czy cokolwiek w ich przeszłości skłania nas do przypuszczeń, że chcą *naprawdę* dobrze? Dlaczego wcześniej nie chcieli? Dlaczego przez 20 lat chcieli bardzo źle? Dlaczego nic nigdy nie uczynili, co wskazywałoby na pozytywny kierunek ich chcenia? Gdzie w końcu naród szukać ma rozróżnień między taktyką a zdrowym rozsądkiem?

Polsko-stalinowska szkoła psychologiczna ma na swym koncie poważne osiągnięcia, całkiem nieznane na Zachodzie. Między innymi, bardzo drobiazgowo zbadała korelację pomiędzy czynem, słowem, a myślą u tzw. prawdziwego człowieka. Okazało się, że prawda o człowieku nie pozostaje w żadnym spoistym i logicznym związku z jego czynami, słowami i myślami, a te ponadto nie pozostają w odpowiedzialnej zależności względem siebie wzajemnie. Że prawdy o człowieku nie mówią jego czyny udowodnił już całkiem sumiennie Dostojewski. Także prawdy tej nie ujawniają słowa, albowiem wiadomo, że działacz przemawia z otulonej czerwonym sztandarem trybuny nie wierząc ani w ćwierć słowa tego co mówi. Natomiast okoliczność, że można wykonać serię daleko posuniętych łajdactw, lecz jeśli się przy tym myślało,

że może to niezbyt przyzwoite, albo komunikowało swe wątpliwości przy kawiarnianym stoliku znajomym, choćby szeptem na ucho — to TO się nie liczy. Odkrycie niniejsze stanowi prawdziwą rewelację i triumf polskiej psycho-moralistycznej szkoły, także na gruncie tradycyjnej moralności chrześcijańskiej, która skłonna była rozgrzeszać nieświadomość (... on nie wiedział co robi...), ale która w osłupieniu przyjęłaby tezę, że ktoś jest niewinny ponieważ miał pełną świadomość i dobrze wiedział co robi, a nawet w przypływie nadświadomości rozprawiał o swych sceptycyzmach ze znajomymi przy wódce. Te zdobycze poznawcze moralistyki polskiej przeniknęły na nieszczęście głęboko do społeczeństwa i Starewicze, Żółkiewscy, Rakowscy wznoszą na nich gmachy nadziei, a także różne konstrukcje destylacyjne do dyfuzji własnych nikczemności.

6

W Polsce mówi się: „On ma teraz trudności..." Znaczy to, że człowiek, który był naszym śmiertelnym wrogiem, egzekwował nasze fizyczne bądź duchowe unicestwienie z bezduszną siłą mechanizmu, planował je chłodno nazywając je służbą sprawie, bądź postępem społecznym, bądź historyczną koniecznością — patrzy nam ostatnio psio i przymilnie w oczy szukając utajonych porozumień i fałszywego, zażenowanego koleżeństwa. Iluśmy takich widzieli... Potrafili się wkradać w nasze współczucie, czasem wręcz w nasz podziw. Nie potrafili nas tylko nigdy przekonać, że gdy się skończą ich trudności — rezultat tego, rzecz jasna, że chcieli dobrze — zmienią się, będą inni, lepsi. Albowiem widzieliśmy i takich, którzy przezwyciężali trudności, wracali do łask i władzy, potencjału wpływów i możliwości. I pozostawali tacy sami — zakłamani czciciele ohydnych przemocy.

Właśnie mówi się ostatnio, że Rakowski ma trudności. Trudno mi coś o tym powiedzieć. Musiałbym go zobaczyć. Wszystko zależy od tego jak się czesze.

Leopold TYRMAND

Izrael

Konsekwencje Palestyny

15 czerwca 1933 roku „Bunt Młodych" zamieścił artykuł Ksawerego Pruszyńskiego, reasumujący jego wrażenia z podróży do Palestyny. Był to pierwszy artykuł z cyklu reportaży „Palestyna po raz trzeci", który w tymże 1933 roku ukazał się w wydaniu książkowym w Wilnie.

Ksawery Pruszyński wyjechał na Środkowy Wschód z ramienia redakcji „Buntu Młodych" — była to jego pierwsza wielka podróż.

Wspomniany artykuł zamieszczamy poniżej bez zmian gdyż zachował on zdumiewającą aktualność.

W ubiegłym roku ukazał się w Polsce dwutomowy „Wybór pism publicystycznych" Ksawerego Pruszyńskiego. Wybór ten — jeśli idzie o okres przedwojenny — jest niezmiernie tendencyjny. Instytut Literacki zamierza wydać tom publicystyki Pruszyńskiego z „Buntu Młodych" i „Polityki", z którymi to pismami Pruszyński współpracował od ich założenia aż do jesieni 1939 roku.

I

W Polsce o Palestynie żydowskiej mówi się zwykle na dowcipno. Każdy z nas przypomni sobie z największą łatwością szereg krotochwil na ten temat. W Palestynę się nie wierzy. Nie wierzy nie tylko w to, by Żydzi tam wyjechali, ale w ogóle w to, by Żydzi tam jechali. Nie wierzy się, by naprawdę pracowali na roli. Mają ziemię, na której pracują Arabowie. Nie wierzy się w Tel Aviv. Jest to miasto sztucznie powstałe, by znęcić kapitał amerykański. I w ogóle wszystko jest sztuczne. Neguje się Palestynę. Rozumowanie to jest najzupełniej słuszne gdy chodzi o pewne racje, na które się powołuje. Jest więc słuszne gdy mówi, że Palestyna to piaski pustynne lub malaryczne bagna. Jest dalej trafne gdy mówi że Żydostwo jako naród musi mieć własny język, że nie może nim być *yiddish* ani spaniolizm, że są to swego rodzaju czasowe, terytorialne narzecza. Że dalej, wskrzeszenie hebrajszczyzny na język mówiony potocznie byłoby takim samym

cudem, co wskrzeszenie łaciny albo greki. Rozumowanie to jest najzupełniej słuszne gdy dowodzi, że Żydzi nie mają inklinacji do pracy na roli, najzupełniej słuszne, gdy mówi że Żydzi są narodem myślącym *par excellence* kategoriami handlowymi, są społecznością interesu nie sentymentu. I nie ma absolutnie ani na moment racji, gdy te wszystkie uwagi, mniej lub więcej nawet odpowiadające prawdzie, montuje w wywód o nierealności żydowskich snów o Palestynie. W Palestynie są rzeczywiście piaski — na tych piaskach stanęło już jedno miasto, zaś inne piaski niezdatne do uprawy zbóż, ale zdatne pod pomarańcze, sprzedaje się za cenę parcel budowlanych w Polsce. W Palestynie są błota — ale na takich samych błotach, w tej samej Palestynie, wyrosły już dziesiątki osad. Jedną czwartą elementu żydowskiego Palestyny stanowi element robotniczy: stwierdzenie ile prawdy mieści się w frazesie o pracowaniu siłami arabskimi na roli żydowskiej wymaga po prostu przejścia się po kraju i przyjrzenia jak rzecz ma się naprawdę. Hebrajszczyzna jest istotnie językiem zamarłym, jest współczesna łaciny i greki, tylko że greka żyje dziś jedynie w alfabecie i kulturze, a łacina ponadto w kościele. Hebrajszczyzna zaś jest dzisiaj językiem mówionym w całej Palestynie żydowskiej, jest językiem, który emigranci przyswajają sobie niezmiernie szybko.

Na tych paru przykładach pragnąłbym uzmysłowić jedną rzecz: że dzieło palestyńskie jest *un fait accompli*, nie zaś mitem. Ale jeszcze jedno. Bardziej niż nowoczesne asfaltowe szosy, przecinające bezdroża, bardziej niż wieś żydowska, która stwierdza, że przecież ten naród ma powołanie ziemi, bardziej niż nowoczesność, europejskość kulturalną tego kraju, który z jednej z najbardziej zaniedbanych i głuchych prowincji rozpadającego się bezwładnie mocarstwa przedzierzgnął się w złote jabłko nie znające dziś kryzysu, przemawia rzecz inna: ogrom uczynionego tu wkładu. Zmienienie narodu handlowego na rolniczy, ściągnięcie go z krańców świata do ziemi, skąd jego ojcowie wyszli przed tysiącami lat, wskrzeszenie zamarłego w liturgię języka — oto kilka momentów które chyba dowodzą jak ogromnie dużo trzeba tu było zrobić, jak ogromny był wkład umysłowy i czynny Żydostwa w Palestynę. Żydostwo — mówi się powszechnie — inwestowało przez całe lata w rewolucje światowe. Ale obok nich inwestycje w Palestynie są omal jeszcze większe.

II

Żydowskie inwestowanie w Palestynę odbywa się przy ciągłym sprzeciwie tubylców arabskich, mimo że z podniesienia rolniczego i przemysłowego kraju ciągną oni wielkie korzyści. Jest to bodaj los wszystkich kolonizacji. W Poznańskim nasz stosunek do Niemców (nawet odrzucając przymusowość tej sytuacji) nie był inny. Dzięki temu, że faktycznymi panami kraju są Anglicy, Arabowie mają duży wpływ na to czy rzeczywiście Anglia popie-

ra czy nie kolonizację żydowską. Anglia w Palestynie jest nieco między młotem a kowadłem: z jednej strony zbyt rozumnie liczy się z międzynarodowymi wpływami Żydostwa, by nie popierać ich w Palestynie, z drugiej jednak zbyt sobie ceni swoje arabskie, islamskie imperium, by je sobie narażać popieraniem Żydów. Stąd, mimo wszystkich utrudnień jakich bez wątpienia doznaje ze strony władz mandatowych kolonizacja żydowska (wpuszczanie do kraju jest połączone z bardzo trudnymi przepisami), Arabowie nie uważają Anglii za swoją sojuszniczkę czy opiekunkę, lecz za wroga. Przykład Egiptu sąsiedniego, gdzie zwalczanie Anglii przez miejscowych nacjonalistów jest bardzo silne, działa na inne kraje islamskie. W tej walce Arabowie oglądają się na naturalnego wroga Anglii na Wschodzie: Rosję.

III

W Jerozolimie, w sklepie z prawosławnymi dewocjonaliami, można spotkać przedwojenne oleodruki przedstawiające Mikołaja II z rodziną. Ten anachronizm nie jest tam może takim wielkim anachronizmem. Rosja sowiecka, oglądana z tamtej strony, ma inne oblicze niż oglądana od nas. Przekonanie bardzo rozpowszechnione w Polsce, na Zachodzie, jest, że dawna Rosja przestała istnieć, że opanowana została przez międzynarodową rewolucyjną organizację. Tak każe patrzeć nie tylko biała emigracja rosyjska. Tymczasem od tej strony widziana Rosja jest dalej Rosją, jest Rosją antagonizmu angielsko-rosyjskiego.

„Antagonizm angielsko-rosyjski — powie ktoś — niekoniecznie nie pokrywa się z antagonizmem świata kapitalistycznego i świata komunistycznego" — tak, odpowiemy, jest jednak jeden odcinek, na którym nie pokrywa się. Odcinkiem tym jest właśnie Palestyna.

W Palestynie wojska angielskie strzegą żydowskich kolektywów przed napaścią Arabów, których wspomaga w ten czy inny sposób Rosja Sowiecka. Na czele arabskiego obozu antysemickiego stoi kler i arystokracja, burżuazja arabska. Na czele żydowskiego obozu antyarabskiego, zwróconego swym ostrzem przeciw tamtym sferom, stoją socjaliści żydowscy. W tej walce, w której jeden obóz idzie pod sztandarem prawicowym, a drugi lewicowym, Rosja Sowiecka uszeregowała się od lat po stronie arabskiej, stronie muftich i effendich o wielkich latyfundiach.

IV

To uszeregowanie się jest rzeczą, która już dziś waży ogromnie, a w przyszłości jeszcze bardziej zaważyć musi na polityce międzynarodowej Żydostwa. W Palestynę włożyło ono zbyt wielki wkład, by móc z lekkim sercem przekreślić go jako daremny. Palestyna jest tą pozycją, gdzie działa akcji rosyjskiej, ostrzeliwującej Anglię, podrywającej ją u Arabów, biją i trafiają w Żydostwo. To nie są rzeczy obojętne. W chwili obecnej istnieje praktycznie jedna tylko możliwość zupełnego zniszczenia dzieła kolonizacji żydowskiej. Tą możliwością jest zwycięstwo Rosji nad Anglią, wyzwolenie Arabii od tej ostatniej. To zwycięstwo oznaczałoby automatycznie starcie z powierzchni ziemi wszystkich osad żydowskich w Palestynie, osad na które zbiera się grosz do grosza w każdym domu żydowskim. Na to zwycięstwo liczy tak czy owak świat arabski, tego zwycięstwa obawia się tak czy owak świat żydowski. To zwycięstwo, w oficjalnej mowie Kremla, określa się dzisiaj jako „wszechświatowa rewolucja proletariatu".

V

To właśnie uważam za, najważniejszy politycznie, międzynarodowy wynik i skutek zaangażowania się Żydostwa w Palestynie. Palestyna jest to wskazanie Żydostwu nowych, własnych ideałów, odwrócenie jego myśli i energii od rewolucyjnych, prokomunistycznych aspiracji. Palestyna to wprowadzenie Żydostwa z powrotem w orbitę narodów niewydziedziczonych. Żeby posiadać tradycję trzeba posiadać ziemię.

Palestyna nie będzie, nie jest nawet na to zakrojona, by stać się miejscem zamieszkania wszystkich Żydów. Ale jak Polska ma jedną trzecią swego narodu poza granicami swego państwa, tak samo Diaspora stanie się terenem, na który promieniować będzie to, co się w Palestynie tworzy. Wrogowie Palestyny stawać się muszą automatycznie wrogami Żydostwa. Choćby byli jego tradycyjnymi sojusznikami.

Ksawery PRUSZYŃSKI

Z wizytą u agresora (2)

Ramat Aviv, przedmieście Tel Avivu nazywało się jeszcze niedawno Gomułkowem. Mieszkała tam w większości tzw. alija Gomułki, imigranci swobodnych lat miodowego okresu popaździernikowego. Dziś nikt już tak nie mówi. A dlaczego, to chyba jasne. Dziś polscy Żydzi licznie zamieszkali zwłaszcza w Tel Avivie mówią o sobie „piąta kolumna". O sobie z uśmiechem, a o swych rodzinach pozostałych w Polsce, z troską w głosie.

W bazarze Starej Jerozolimy łamanym hebrajskim, używając

było Polaków mających po raz pierwszy po dziewiętnastu latach okazję zwiedzenia Świętego Grobu i stacji od Bramy Świętego Stefana po Golgotę. Polonia nie-żydowska jest i pozostaje marginesem, a polskie żony żydowskich mężów nie zawsze miały życie lekkie w środowisku, które słusznie czy niesłusznie uważało się za pokrzywdzone. Uczęszczające na hebrajski *ulpan* żony bywały pytane z koślawą sympatią: no i jak się pani czuje jako mniejszość narodowa?

Inni, a takich jest bardzo dużo, mówią: Bóg mnie rękami Polaków przeniósł przez całą hitlerowską okupację, bym mógł wrócić na swoją ziemię. Pewien lekarz co roku, w rocznicę śmierci swego dobroczyńcy księdza, który w czasie okupacji wyrobił mu fałszywą metrykę chrztu, daje na mszę świętą na intencję swego przyjaciela. Są tacy, którzy wcale się tym nie chwaląc publicznie, wysyłają co miesiąc skrzynkę owoców, cytryn, pomarańcz, grapefruitów, ludziom w Polsce, którzy bezinteresownie, z narażeniem życia swego i swych bliskich, ukrywali ich w swym domu. Niejedno drzewo rośnie w alei *Plant a Tree,* posadzone rękami Polaka ratującego Żydów w czasie hitlerowskiej nocy i mgły. Człowiek, który z getta oprócz własnej wyniesionej na rękach żony-Żydówki uratował kilkudziesięciu innych Żydów, doczekał się od ubowskiego Żyda, Fejgina, odpowiedniej do stalinowskich czasów wdzięczności. Kiedy szukając argumentów przemawiających za jego niewątpliwą i tak niewinnością, powiedział: uratowałem wielu Żydów — Fejgin powiedział: kto was o to prosił? Inaczej ocenił to Izrael, w którym ów Polak jest człowiekiem wysoko cenionym.

Sabra w Jerozolimie, mówiący już tylko po hebrajsku i po angielsku powiedział mi: mam przyjaciół, którzy pochodząc z Polski, nie mówią o twoim kraju inaczej jak z wdzięcznością. Ratowaliście Żydów z narażeniem własnego życia; wiem, że was zginęło wcale nie mniej. — A tymczasem z okazji anty-izraelskości Gomułki, czy też jego wiernopoddańczej pro-arabskości, niektóre pisma pozwoliły sobie na wystąpienia antypolskie stawiając znak równania między Polakami a szmalcownikami. Nie będę się sprzeczał o ilości szmalcowników, strzelanych bez sądu przez Kedyw AK, ale proponuję dla wyrównania rachunków oddanie jednego szmalcownika za jednego żydowskiego ubeka czy stalinowskiego publicystę — a resztę z rachunku zapisać na żydowskim koncie za niebyłe.

W czasach świętej inkwizycji, w czasach nadreńskich rzezi, Polska przyjęła Żydów, nadała im przywileje (nie zasłaniajcie się legendarną Esterką — to było przed nią), nie stworzyła gett, nie znała dyskryminacji. Nie, stop, mamy niepodejrzane świadectwo samego Bolesława Prusa, który powstanie antysemityzmu w Polsce umiejscawia raczej dokładnie na okres po Powstaniu Styczniowym, kiedy to żydowscy arendarze i karczmarze byli z reguły konfidentami carskiej Ochrany, sypiąc i Polaków i polskich Żydów po równi. Nie o to chodzi. Antysemityzm w Polsce był rezultatem i wypadkową konkurencji stwarzanej przez Żydów polskim odpowiednikom w rzemiośle, zawodach wolnych, w drobnym handlu, głównie prowincjonalnym. Ale znów nie o to chodzi. Żydzi dziś mają swoje państwo, potrafili je obronić — jakże skutecznie, chwała Cahalowi — w trzech wojnach, zyskali uznanie świata, rozprostowali plecy milionom Żydów rozsypanych po całym świecie, którzy jeszcze drogi na Syjon nie odnaleźli — są pełnoprawnymi obywatelami świata, członkami międzynarodowych organizacji — a niektórzy z nich zachowują się tak — właśnie w Izraelu — jakby ich umysłowe getto mieściło się w Riazaniu, a nie we własnym państwie, rządzonym demokratycznym rządem, parlamentem. Cuda zakompleksienia. I właściwie na takich ludzi nie ma innego sposobu, innego dla nich wyzwolenia, niż spokojne wymarcie. A nie ma żadnych obaw, co do ewentualnego przeniesienia swych, mało w tamtych warunkach zaraźliwych, poglądów na pokolenie młodsze. Młode pokolenie jest bezkompleksowe, nie obawia się krytyki swego kraju, zna doskonale jego jasne i ciemne strony, i ono samo będzie tworzyć dalszy byt państwowy Izraela.

Na izraelskich liniach okrętowych, w samolotach *El Al,* obowiązuje kuchnia wyłącznie koszerna — rezultat wpływów środowisk ortodoksyjnych w rządzie i parlamencie. W piątek wieczorem aż do sobotniego zachodu słońca zatrzymuje się miejska i państwowa komunikacja autobusowa — wynik wpływów kół ortodoksyjnych. Ale wbrew wszelkim pozorom stan ten nie jest niemal w żadnym stopniu odbiciem stosunku sił w samym Izraelu. Potęga *hassidim,* sekty utworzonej w osiemnastowiecznej Polsce (też mamy być wam za co wdzięczni — mówią młodzi Izraelczycy) nie sięga daleko poza dzielnicę Stu Bram, jerozolimską Mea She'arim. Potęga ich opiera się na wpływach finansowych ekspozytury tej sekty w Stanach Zjednoczonych, co pozwala na przewiezienie nowojorskiego rabina zarezerwowanym dla niego wyłącznie pociągiem z emblematami nie uznawanego przez nich państwa Izrael, zdjętymi na czas podróży, za odpowiednią opłatą do kas tegoż nieuznawanego państwa. *Hassidim* (po hebrajsku — zwolennicy) ograniczają się do obrzucania kamieniami palących w sobotę papierosy w pobliżu ich getta, do zatrzymywania jeżdżących samochodami (przy mnie poraniono lekarza jadącego własnym wozem do chorego w sabath), do malowanych na ścianach domów protestów przeciwko sekcjom zwłok na jerozolimskiej medycynie, do nienaklejania znaczków na listy, co ma tylko

jeden skutek: ich nie doręczanie. A jednak owi członkowie *Neturey Cartha* (po aramejsku: obrońcy grodu), którzy w czasie walk z Jordanią w roku 1948 szli do swych arabskich wrogów z białymi płachtami w ręku — tym razem, jeszcze nie uznając samego istnienia państwa, które ma wskrzesić tylko Mesjasz, brali przynajmniej bierny udział po stronie jednak izraelskiej i tłumem chałaciastym i pejsatym czekali na otwarcie Bramy Gnojnej (Ashpoth — Dung Gate) wiodącej ku Ścianie Płaczu. Robotnicy z kibuców, robotnicy fabryczni, izraelska inteligencja, wolne zawody, kupcy — twierdzą, że dni owego getta są tak samo policzone jak i dni intelektualno-plotkarskich gett polskich, rumuńskich, węgierskich, niemieckich. Powstaje co dzień i co chwilę naród izraelski.

Był rok 1932, byłem — co to dużo ukrywać — małym chłopcem w krótkich majtkach, zafascynowanym rowerem marki „Łucznik" na superbalonach słoninowych Engleberta. Było lato, podwarszawskie, podpiaseczyńskie Chyliczki, XIV-wieczny kościół, fryzjersko-Ryx'owska dziedzina, nieruchomiejąca w piątek po południu aż do katolickiego poniedziałku. Przez sobotę i niedzielę nie można było nic kupić, nic załatwić w miasteczku kiwającym się w soboty i rozśpiewanym kościelnie w niedziele. W budzie ze słomianych mat warowali po ogrodach podstarzali chłopi na wycugu, pilnujący żydowsko-dzierżawionych owocowych sadów, których produkty miały trafić do chrześcijańskich i żydowskich sklepów stolicy, odległej o głupią godzinę jazdy dychawicznym samowarkiem Grójeckiej Kolejki. Monopolistą, dzierżawcą na skalę powiatową był stary Żyd-patriarcha, ojciec sześciu synów, chałatowych, jarmułkowych, jak on sam. Był rok 1932, późne lato, zmierzch wakacyjnych swobód, ledwie dni dzielące od algebry leciały niepokojąco szybko. Na ławce w brzezinowym lasku siedział Żyd-patriarcha z moim ojcem. Czerwoną chustką ocierał łzy — słuchał o Palestynie, której nie znał, która miała za kilka miesięcy stać się jego i jego synów staro-nową ojczyzną. Płakał za brzozami, których już nigdy nie miał zobaczyć. Byłem małym chłopcem, w krótkich majtkach, ale nigdy tej sceny i tych łez nie zapomniałem, chodziły za mną po Izraelu, obliczałem ile lat mogą mieć strasznie dla mnie ówcześnie dorośli synowie patriarchy — i wyszło mi na to, że wnuki jego dziś, sabry, pilotują *Mirage,* dowodzą spadochronowymi oddziałami, może zasiadają w parlamencie. Szukałem śladów patriarchy, i — nie znalazłem. Może to i dobrze: został dla mnie symbolem tworzenia się państwa, wyrastania kraju, tworzenia nowego, z obrazem chyliczkowskich brzóz pod powiekami.

Dla mnie, poza trudnością wymiany pogiętych rowerowych szprych w sobotę, problem żydowski nie istniał przez lat wiele.

Nie stykałem się z nim, nie miewałem kolegów z Nalewek, a jedyni Żydzi w szkole byli katolikami. Żyd małomiasteczkowy był takim samym fragmentem krajobrazu polskiego dnia jak chłop, jak mieszczanin — chałat takim samym folklorystycznym wydarzeniem jak cyfrowane góralskie portki. Mezuzy na framugach drzwi były rzeczą zwykłą, nie zwracającą mojej uwagi, tak samo naturalną jak litery K+M+B wypisane kredą w Trzykrólowe święto. Palestyna była Ziemią Świętą zbliżoną przez Kossak-Szczucką. Meczet Omara zajmował dla mnie Tankred — istniała Golgota wyniosła jak znajomy Giewont, radiowa transmisja Pasterki z Betlejem.

Bardzo się wstydzę, że nie odczułem żadnych prawowiernych emocji na widok otworu w skale, w który wbito Krzyż. Nie czułem prawie nic na widok okopconej oliwną lampką groty Narodzenia obwieszonej szklanymi bombkami jak ze Spółdzielni im. Młodej Gwardii. Usiłowałem wywołać w sobie wzruszenia w ciasnej kaplicy Grobu Świętego. Patrzyłem bez wstrząsu na odbicie stopy Mahometa na skale w Kubbet es Sachra, do której pielgrzymują miliony muzułmanów. Poczułem się niedowiarkiem, który nie potrafił wymienić francuskich franków w Kanie Galilejskiej (nawet po kursie), który w Betlejem zamiast doznawać wzruszeń prowadzi rozmowy całkiem świeckie z czeskim franciszkaninem, a podnieca się naprawdę tylko społeczno-narodowymi problemami dziewiętnastoletniego państwa Żydów.

W roku 1940 zginął zastrzelony na ulicy przez niemiecki patrol mój przyjaciel, który swą bezbłędną semicką urodę odziedziczył wyłącznie po matce. U nalewkowskiej bramy do getta warszawskiego stróżował żydowski policjant, mój szkolny kolega-prymus łaciński Karol, żołnierz Żydowskiej Organizacji Bojowej, z którym wymieniłem tylko kilka bezosobowych spojrzeń konwojując parę rkm'ów dla jego oddziału. Do domu przychodzili przez lat parę żydowscy chłopcy wykradający się przez mur z getta, po chleb, po kaszę, po trefną słoninę od mojej matki. U moich krewnych, bliższej i dalszej rodziny, mieszkali Żydzi przez całą okupację.

Był rok 1944 — wieziono nas transportem kolejowym, przepisowych sześćdziesięciu ludzi na bydlęcy wagon. W Lehrte wysadzono nas, ustawiono w długi ogon po pierwsze od trzech dni pół-menażki wodnistej, gorącej zupy. Na peronie wyludnionej stacji pozostały zwłoki Żyda. Przeżył całą okupację podawany z rąk do rąk — zażył kedywowską kapsułkę cyjankali w obawie przed lekarską obozową komisją.

Był rok 1947, kiedy znów znalazłem się w Polsce. W ministerstwach, w redakcjach — od góry do dołu Polskiego Radia, MSZ, KC, spotykało się Żydów. Byli jacyś inni, odmienieni ba-

rierą telefonów, sekretarek — nie przypominali w niczym ani mechanika rowerowego z Piaseczna, ani Sury, która przynosiła nam do Chyliczek kurczęta. Znali, a przynajmniej cytowali obficie Marksa, Stalina — topnieli w Odwilży, zniknęli po Październiku, odjeżdżając z Dworca Głównego przez Wiedeń i Neapol do Tel Avivu i Haify. Z MDM na bulwar Dizengoff, do kawiarni z widokiem na Morze Śródziemne. Na szczęście nie oni reprezentują polskość w kraju pod gwiazdą Dawida. Na szczęście dla polskich Żydów i dla Polski, a nie PRL.

W zbliżonym środowisku nieoględnie wspomniałem, że nie bardzo podoba mi się, iż w Świątyni Narodzenia wycieczki szkolne łażą w kapeluszach i czapkach na głowach. Nie przesądzałem umyślnego znieważenia kościoła chrześcijańskiego — uważałem, że może to być i nieświadomość i chęć uczczenia świątyni na sposób żydowski, czyli przez nakrycie głowy. Zostałem antysemitą. Reputację moją dość skutecznie ratował mój przyjaciel, który bez mojej zresztą wiedzy rozpuścił szybko rozpełzłą pogłoskę, że naprawdę to ja jestem synem rabina z Kielc, tylko się z tym ukrywam. Pretensje zaczęły więc dotyczyć teraz raczej mojej niechęci do przyznania się do semickości, a dowodem jej był mój obszerny nos. Nie wiem, czym skończyły się kontrowersje, bo do sprawdzania, nazwijmy to, personaliów, nie doszło.

Od YMCA'i, szosą wzdłuż niedawnej granicy jordańskiej, szedłem w skwarze, kryjąc się w cień drzew dźwigających przysmak młodości — strąki chleba świętojańskiego, oliwek jakby przykurzonych, wąską ścieżką wśród starych ruin schodziłem ku widokowej platformie koło wiatraka Montefiore, by kamiennymi schodkami wśród wyglądających zza murków arabskich dzieci zejść w dół ku dolinie Kedron. Piąłem się żmudnie w rosnącym południowym upale ku Górze Syjon zwieńczonej Grobem Dawida, Wieczernikiem, Pomnikiem ofiar hitlerowskiego *Endlosung* kwestii żydowskiej — wzdłuż murów wznoszonych przez Rzymian, Krzyżowców, Arabów, Turków, płynąłem w potoku wiernych ku bramie Ashpoth. Na obszernym placu wykoszonym przez izraelskie buldozery, wokół kilku rachitycznych palm rozkładały się rodziny na południową siestę. U muru świątyni wzniesionej na fundamentach salomonowej — z głową wspartą o głaz — stała stara kobieta. Jedną rękę zarzuciła na głowę, drugą gładziła kamień. Płakała. Ile razy w ciągu swego długiego życia powtórzyła niemal magiczne słowa: *Leshana habaa be Jerushalaim* — za rok w Jerozolimie — w myśli, przed oczami mając właśnie ten jeden jedyny w świecie mur z grubociosanych głazów. Nie wiem, nie pytałem jej — nie śmiałbym — kto, za jaką cenę wywalczył dla niej prawo obejmowania rękoma tysięcy lat dziejów Żydów. Po kim płakała? Czy po kimś bardzo bliskim? Ominąłem ją obiektywem swego aparatu fotograficznego. Nie uwieczniłem jej na kliszy. Nie potrzebuję. Będę ją widział zawsze.

Nikt nie wie, jak, którędy, jakim sposobem wydostają przepustki na okupowane tereny chasydzi stłoczeni na *pick-up*'ach, wiewający w pędzie chałatami, zwiedzający niedostępne od lat miejsca święte w Jerycho, Hebronie, Górę Synaj. Przy Grobie Racheli, prawie u wrót Jerozolimy, ogon zawinięty na co najmniej pół dnia. U grobów proroków w Hebronie, setki autobusów i gęsta aleja handlujących Arabów, miejscowych i przyjezdnych. Pobożni dotykają krat osłaniających groby Abrahama, Izaaka, Sary, całują palce; mniej pobożni błyskają fleszami. Zamknięto już dostęp do Salomonowych cystern zbierających wodę z topniejących górskich śniegów dla starej Jerozolimy. Powód: za dużo zwiedzających i korki wycieczkowych autobusów na wąskiej drodze.

W uliczce pamiątkarskich sklepów i warsztatów za Świątynią Narodzenia w Betlejem, stojący w drzwiach Arab odzywa się po polsku: państwo zajdą, mam kamień z Morza Martwego, wyroby z drzewa, srebra. Skąd zna polski? no, jakto, przecież było tu kiedyś wojsko polskie, nauczył się i tak zostało. Przewodnik nie wiele mówi po polsku, ale z kaplicy do kaplicy zaprasza: proszę państwa, idziemy dalej. W Nazarecie spotyka się znających trochę polskiego szewców i sklepikarzy, a w Tel Avivie, na ulicy Allenby w gablocie reklamującej grawera — wieko od srebrnej papierośnicy z nabitym emaliowanym Nałęczem i Ślepowronem. Pamiątka po polskim snobizmie.

Język polski jest językiem niejednego pisarza izraelskiego, i tak jeszcze chyba przez jakiś czas pozostanie. Po polsku pisze wydawany przez *Instytut Literacki* i tłumaczony coraz gęściej, Leo Lipski, widzący dalej i głębiej, niż by się niektórym jego znajomym mogło zdawać, za mało chyba doceniany w samym Izraelu. Po polsku, w wyświechtanym brulionie, pisze swoje coraz liczniejsze wiersze, nie drukowane z neurastenicznego lenistwa autora — Jerzy Herman, przedwcześnie uśmiercony przez Hłaskę w jego izraelskich opowiadaniach. I tylko polsko-językowa gazeta nie odróżnia torpedowca od kutra torpedowego w gromkim tytule o starciu wojennych jednostek Izraela i Zjednoczonej Republiki Arabskiej.

Mieszkają w Izraelu Żydzi z całego świata, emigranci najnowsi, sabry w drugim albo i czwartym pokoleniu, ale kiedy wśród kilkudziesięciu osób przeprowadziłem ankietę na temat drzewa, które na tle budynku jerozolimskiej YMCA'i odbija tysiącem ciemno-fioletowych kwiatów — nikt nie umiał podać jego nazwy. — To tylko dekoracyjne — było najbardziej rzeczową odpowiedzią. Dopiero dziennikarz południowo-afrykański powiedział: a to

jacaranda. I wyjechałem z Izraela nie wiedząc czy *jacaranda* jest nazwą także miejscową, czy też to drzewo nosi inne imię, na przykład arabskie, albo hebrajskie. Zastanawiałem się ze znajomymi w Izraelu, a potem we Francji, czego taka nieświadomość może dowodzić, i doszliśmy do dosyć dowolnego wniosku — że to co nie daje owoców jadalnych, albo użytecznych, nie musi się liczyć w pierwszym dwudziestoleciu wyrąbywanego bytu narodu. Jeśli wniosek jest poprawny — *jacaranda* może stać się symbolem stosunku izraelskich Żydów do rzeczywistości ekonomiczno-politycznej.

Wszystkie zainteresowania mieszkańców Izraela koncentrują się wokół zagadnień politycznych bieżącego okresu, sytuacji bez precedensu w dziejach, kiedy zwycięzca niemal błaga pokonanych o zawarcie pokoju. Nie ulega wątpliwości, że to tym razem Izrael ma czas i może czekać, bo po pierwsze ma o niebo lepsze położenie strategiczno-militarne, a po drugie nie on traci na zamknięciu Kanału Suezkiego i na braku turystyki. Przeciwnie — turystów w Izraelu jest coraz więcej. Przyjeżdżają nie tylko Żydzi z całego świata, lecz i każdy, kto chce zobaczyć jak wygląda kraj dwuipółmilionowy, który w ciągu sześciu dni pokonał studziesięciomilionową koalicję. A Izrael spodziewa się po trosze, że spośród dziesiątków tysięcy Żydów, znajdzie się trochę takich, którzy nareszcie zechcą osiedlić się na miejscu, powiększyć ilość mieszkańców i zasilić swymi funduszami gospodarkę krajową. Izrael nie ma żadnych oporów przeciwko nawiązaniu stosunków dyplomatycznych zerwanych przez Związek Sowiecki i kraje demokracji ludowej — nie dlatego, żeby mu z jakichkolwiek przyczyn ekonomicznych zależało na tym, lecz chodzi o bliżej nieznaną liczbę Żydów zamieszkujących Sowiety. Ocenia się, że w Związku Sowieckim mieszka od dwóch i pół do trzech milionów Żydów, których Izrael chętnie by przyjął, tak jak to zrobił z Żydami z Polski i Rumunii. Izrael po latach dwudziestu swego państwowego bytu, jest nadal krajem pionierów i dla zagospodarowania pustynnych obszarów potrzeba mu ludzi nierozpieszczonych dobrobytem i *dolce vita*. Takich ludzi może dostarczyć przede wszystkim wschód. Nie znaczy to żeby lekceważono korzyści z napływu zamożnych Żydów zachodnioeuropejskich i amerykańskich; nie lekceważy się również ewentualnego przywiezienia zachodnich obyczajów i kultury, ponieważ istnieją — słuszne czy niesłuszne — obawy przed zorientalizowaniem Izraela przez przewagę elementu żydowskiego wschodniego. Istnieją również obawy przed powiększeniem się procentu Arabów w państwie izraelskim, co mogłoby doprowadzić do wyrównania się proporcji przedstawicieli obu narodów w parlamencie. Stąd wniosek, że obawy sowieckie i natrętna propaganda prasowa w Europie środkowo-wschodniej na temat zaborczych planów Izraela — są raczej pozbawione podstaw. Jeśli dyskutuje się jakiekolwiek plany rozładowania problemu arabskiego na terenach okupowanych, to przede wszystkim mówi się o ewentualności federacji jordańsko-izraelskiej. Ale wszelkie tego rodzaju plany wydają się, jak dotąd, wyłącznie spekulacjami teoretycznymi z winy braku wyobraźni i dobrej woli ze strony arabskiej. W końcu, jeśli ktokolwiek ponosi straty z przyczyny istniejącego zbrojnego pokoju, to tylko Arabowie. Sama Zjednoczona Republika Arabska traci 5 milionów dolarów miesięcznie z powodu zamknięcia Kanału Suezkiego i półtora miliona dolarów z braku turystów. Inne kraje, naftowe, po cichu zniosły obowiązujące embargo na paliwa płynne, i mało solidarnie handlują z kim się da, żeby nie pójść z torbami. Nawet Liban, który nie brał udziału w wojnie w sposób aktywny, odczuwa, i to bardzo mocno, skutki wojny, w formie braku turystyki. Izrael tymczasem zaczyna wydobywać naftę z synajskich kopalń, a nawet podejmuje badania archeologiczne na zajętych przejściowo terenach. A Arabowie jordańscy nie krzywdują sobie zbytnio, bo napływ ciekawych Izraelczyków na Zachodni Brzeg Jordanu jest ogromny. Jadąc ku Jerycho, Nablus, do Hebronu, starej Jerozolimy — wydaje się, że całe sto tysięcy samochodów izraelskich znalazło się nagle tylko na tych drogach — i że wszyscy Arabowie przywędrowali tu, by robić mniejsze i większe interesy. W starej Jerozolimie nie brak już po cichu i głośno zawieranych spółek handlowych izraelsko-arabskich, na razie w *business*'ie głównie turystycznym, w słusznym spodziewaniu napływu większych niż zwykle mas turystów do połączonych pod jedną administracją miejsc świętych. Administratorzy tymczasem, czyli zarząd miejski Jerozolimy, zarząd mieszany arabsko-izraelski, uczą się na specjalnie zorganizowanych kursach, nowych dla siebie języków. Warunki życia unormowały się szybko — i nie ma żadnych braków żywnościowych na żadnym okupowanym terenie. Izrael nie ma najmniejszego zamiaru zatrzymywania ziem zamieszkałych przez Arabów, ale jeszcze w mniejszym stopniu chytrzy się na pustynny Synaj, z którym niewiele dałoby się zrobić. Ale Izrael ma prawo do istnienia i spokojnego życia — i trzeba, żeby zrozumiały to nie tylko ościenne państwa arabskie, ale i kraje bloku sowieckiego. Polska i Polacy doskonale rozumieją korzyści płynące z dobrych i bezpiecznych granic, nie ma więc żadnych powodów, dlaczego mieliby odmawiać tego samego prawa Izraelowi, który geo-politycznie znajduje się w położeniu chyba jeszcze gorszym, niż klasyczny wzór Polski.

Zamiast PRL i Gomułki posłusznie wykonującego polecenia Kremla, polska emigracja polityczna wypowiedziała się w imieniu Polaków na świecie i Polaków w Polsce pozbawionych prawa

wypowiadania się otwarcie. Prasa polonijna w Wielkiej Brytanii, Francji, Stanach Zjednoczonych, w tygodniach po wojnie bliskowschodniej wyglądała co najmniej izraelsko. Nie było najmniejszego pisma, które by nie wyrażało solidarności z zagrożonym państwem Żydów. Nie było chyba organizacji politycznej, która by nie ogłaszała oświadczeń w obronie Izraela i przeciwko stanowisku PRL w sprawie blisko-wschodniej. Polscy Żydzi z Izraela zasypali redakcje polskie na świecie setkami listów otwartych do władz PRL, a polskie apele wywoływały lawinę listów od Polaków, żądających podpisania ich nazwisk pod takim czy innym oświadczeniem. Niechęć emigracji do stanowiska PRL i Sowietów w tej sprawie grała na pewno jakąś rolę, ale przede wszystkim był to odruch naturalny, wynik poczucia sprawiedliwości wobec małego kraju zagrożonego zduszeniem przez liczniejszych, silniejszych i bogatszych sąsiadów — historia chyba aż zbyt dobrze znana Polakom.

Bez względu na kontrakcję emigracji, Gomułka i towarzysze wyrządzili sprawie polskiej w Izraelu krzywdę, którą nie łatwo będzie naprawić. Bojkot polskiej prasy i książek nie przybrał wprawdzie takich rozmiarów jak bojkot prasy i książek rosyjskich, ale jednak jest on faktem. Na pewno zmaleje ogromna popularność polskich zespołów teatralnych, polskich artystów — którzy licznie odwiedzali Izrael. Straci także Polska i zamieszkałe tam rodziny żydowskie, nie jeden dolar czy izraelski funt wpłacony za pośrednictwem Banku PeKaO. Troskają się Izraelczycy polskiego pochodzenia o swych krewnych w Polsce, o ich los i przyszłość. Rozumieją, że nie każdy może pozwolić sobie na przyjazd do kraju pionierów, z przyczyny wieku, niezdolności do pracy, lub klimatu. Ale wśród Żydów w Polsce nie brak i takich, których Izrael pewnie nie chciałby przyjąć: byłych i aktualnych członków KC, urzędników MSW, MSZ — najbardziej antysemickich wśród antysemitów, przeprowadzających czystki w dołach urzędniczych i partyjnych, by dla siebie zachować jeszcze na czas jakiś wygodne fotele. Z jak najbardziej oportunistycznych przyczyn Żydzi w Polsce zgłaszali swą solidarność ze stanowiskiem bloku sowieckiego wobec Izraela. Z przyczyn oportunistycznych pisali publicystyczne artykuły dziennikarze-Żydzi z *Trybuny Ludu,* z Polskiego Radia, z *Życia Warszawy*. I właśnie to jest chyba najlepszym sprawdzianem, czy stosunek do Izraela w Polsce jest sprawą Polaków, czy przygniatającego ich ustroju.

◆

W Izraelu znalazłem się w kilka dni po zakończeniu sześciodniowej wojny. Wyjechałem w cztery tygodnie później, a przez

ten czas nie tylko zwiedziłem prawie cały kraj, ale i byłem świadkiem niejednego wydarzenia historycznego: widziałem połączenie Jerozolimy, stałem przy moście Allenby. Patrzyłem jak rządzi sobą i swą przyszłością naród otoczony zewsząd nieprzyjaciółmi. A jednak żyje wolny, swoim własnym bytem, przez siebie wybranym ustrojem politycznym.

Od mojego wyjazdu z Izraela minęły już długie tygodnie, i właściwie sprawdziło się to, o czym mówili mi tam znajomi: czy ci się tu podoba, czy nie, będziesz chciał tu jeszcze kiedyś wrócić. Sprawdziło się: chcę jeszcze kiedyś, może za lat kilka, pojechać do Izraela. A na razie, tu z Europy, będę patrzył na daleki i bliski kraj, tak skutecznie pracujący na swą niepodległość. Będę o nim myślał. Nie będę samotny w najlepszych dla Izraela życzeniach.

George J. FLEMMING

"Sprzymierzeniec" Gomułki

„National und Soldaten-Zeitung" (główny organ neo-hitlerowców), ogłosiła w numerze z *1 maja 1964,* na pierwszej stronie, wywiad, jaki prez. Nasser udzielił wydawcy tego neo-hitlerowskiego organu Gerhardowi Freyowi. Wywiad ten ilustrowany jest wielkim portretem Nassera. Tytuł: *Wojna z Izraelem nieunikniona.*

NASSER: Muszę przede wszystkim zauważyć, że zawsze byłem zwolennikiem rozwiązania sprawy niemieckiej w sensie sprawiedliwości, wolności i zjednoczenia narodu niemieckiego. (...) Główna trudność polega na tym, że wielkie mocarstwa stoją za Bonn i za *wschodnim Berlinem.* (...) Czy wierzy pan, że Amerykanie, Rosjanie, Anglicy i Francuzi życzą sobie zjednoczenia Niemiec?
FREY: Nie.
NASSER: Naturalnie. W ich interesie jest, by dzisiejszy podział utrwalić (...)
FREY: *Widzi pan zatem tutaj paralelę między naszym i waszym problemem życiowym?*
NASSER: Gdyby państwa zachodnie nie stały za Izraelem, problem ten byłby od dawna *zlikwidowany.*
FREY: Gdyby mocarstwa zachodnie i Związek Sowiecki nie stały za podziałem Niemiec, bylibyśmy od dawna połączeni.

NASSER: Na pewno. Oto dlaczego powinniśmy się więcej zająć naszymi zapleczami i stawać się coraz silniejsi. W waszym wypadku do trudności dochodzi jeszcze fakt, że *terytoria wschodnich Niemiec zostały na mapie przyłączone do Polski...*
FREY: Panie prezydencie! *Wygnania Niemców i okupacji wschodnich Niemiec my nigdy, nigdy nie uznamy! Powrót wschodnich Niemiec dokona się pewnego dnia w zgodzie z zasadami prawa narodów. Małe to ma zatem znaczenie, że na mapach wschodnie Niemcy oznaczone są jako polskie à propos: czy uznaje pan istnienie Izraela który przecież także figuruje na licznych mapach? (...)*
NASSER: Arabowie zostali stamtąd wygnani.
FREY: Podobnie jak Niemcy ze wschodu. (...) Sądzi pan, że pokojowe rozwiązanie problemu Izraela jest możliwe?
NASSER: *Absolutnie nie.* (...)
FREY: Excellencjo! Pozwól mi pan postawić pytanie brutalne: *zniszczycie Izrael?*
NASSER: *Spodziewam się tego.* (...)

I, z tego samego wywiadu, w tej samej neo-hitlerowskiej „National und Soldaten-Zeitung", o stosunku Nassera do hitlerowskich zbrodniarzy oraz do wytaczanych im procesów:

NASSER: Tutaj nikt nie bierze na serio owego kłamstwa na temat 6 milionów zamordowanych Żydów. Nawet najprostszy człowiek tutaj w to nie wierzy (...)
FREY: W dziesięciu najbliższych latach będzie wszczętych 500 procesów o zbrodnie wojenne przeciw tysiącom niemieckich obywateli.
NASSER: Jakżeż to możliwe?
FREY: Ponieśliśmy totalną klęskę. Pytam pana, jako oficer: Czy sądzi pan, że tylko zwyciężeni winni być ścigani za zbrodnie wojenne?
NASSER: Na pewno nie. To nie leży w interesie narodu niemieckiego, pokoju i wzajemnego zrozumienia. (...) Jako państwo neutralne i niepodległe, *my nie mamy absolutnie żadnego zrozumienia dla procesów przeciw zbrodniarzom niemieckim.*

Nadesłał *Michał BORWICZ*

Kraj

List do przyjaciela

„O świecie niewidzialny — widzimy cię
o świecie nieosiągalny — dotykamy cię
o świecie niepoznawalny — poznajemy cię
Nieuchwytności — chwytamy cię".

Francis Thompson

O świecie — próbujemy cię. Próby, próby, próby. W naukach przyrodniczych próby są to ściśle określone operacje, prowadzące do zbadania składu lub właściwości danego materiału. Próby metali szlachetnych w stopie z innymi metalami. Ordalia — próby wody, żelaza. Próby teatralne, próby medyczne... próby, próby, próby.

Próby o których chcę pisać są to, a raczej były, próby małej grupki warszawskiej młodzieży. Próby lat 1961-1966. Próby czego, zapytasz? Były to próby zobaczenia, dotykania, poznania, schwytania nieuchwytności świata w którym żyliśmy. W Polsce, wolnej i ludowej. Czy aby?

Czy próby te powiodły się nam? Nie sugeruję Ci odpowiedzi, znajdź ją sam. To takie proste.

Próby numer jeden, lata 1961-62.

Nowowiejska, Marszałkowska, Mokotowska, Aleja Wyzwolenia, tworzą plac zwany placem Zbawiciela. Tenże to plac był miejscem naszych spotkań z okresu prób numer jeden. Tam, między księgarnią na rogu Mokotowskiej i sklepem mięsnym, mieszczą się Metodyści — kaplica i szkoła angielskiego.

Spotykali się tam: Mały, Pipek, Chmiel, Stryj, Nojmar i Gruby czyli ja. Często gęsto dołączali do nas inni. Niemniej my stanowiliśmy trzon tzw. grupki spod Metodego. Mieliśmy po piętnaście, szesnaście lat — niby mało, ale to przecież zawsze było coś. Chodziliśmy do różnych szkół. Nasi rodzice nie znali się. Pochodziliśmy z domów ani bogatych ani biednych, zwanych domami inteligencji pracującej. Były to domy dziennikarza, lekarza, urzęd-

nika, dyrektorów i inżyniera. Przyczyną dla której spotykaliśmy się właśnie tam był fakt, że połowa z nas chodziła na angielski do Metodystów. Trzy razy w tygodniu, od piątej do szóstej po południu.

Od ósmej do drugiej byliśmy w szkole, następnie meldowaliśmy się pod Żmichowską na Klonowej — najlepsze dziewczyny chodziły do Żmichowskiej — by wreszcie między trzecią a piątą pobyć we własnym domu. Bardzo często nasi rodzice zarzucali nam że traktujemy własny dom jak hotel. Było w tym na pewno wiele prawdy. Z drugiej strony nie było to wesołe gdyż domowe rozmowy dotyczyły braku pieniędzy, rozróbek w biurze itd.

Poniedziałki, środy, piątki między piątą i szóstą — angielski. Po angielskim w poniedziałek, był to nasz „kinowy" dzień, lecieliśmy do kina. Jeśli były trudności z biletami, Nojmar, którego ojciec jest dyrektorem gabinetu ministra Kultury, dzwonił z automatu w imieniu swego ojca do dyrektora kina i z miejsca otrzymywaliśmy pierwszy rząd na balkonie (bilety z puli rządowej). Środy po angielskim spędzaliśmy w domu. Przyczyną tego był *Święty* lub *Dr Kildare* w TV. Piątki — bridge u Małego. Pozostały zatem wtorki — zamknięte pokazy w Stowarzyszeniu Dziennikarzy na Foksal. Za trzy złote od głowy na papierosy dla pana Wacława. Tu przecież widzieliśmy *West Side Story*, *Lolitę* i szereg westernów które, jak to się mówi, nigdy nie weszły do eksploatacji. Czwartki — telewizyjna *Kobra*. I wreszcie dwa popołudnia o których mówiliśmy, a nawet wręcz marzyliśmy w ciągu tygodnia — sobotnie i niedzielne. Zaczynały się one o pierwszej na *cocktail*'u pod Żmichowską. To była nasza giełda prywatek, tam też Jurek Zelnik prezentował nam ostatnie wiadomości Radia Luxemburg (robił to znacznie lepiej niż Ramzesa w kawalerowiczowskim *Faraonie*).

Tam też ustalało się kto z kim chodzi, lub kto z kim będzie chodził. Ci którzy zafiksowali sobie prywatki mieli sobotnie i niedzielne „z głowy".

Prywatki... Od sześciu do ośmiu par (metraż na więcej nie pozwalał) bez rodziców. Trwały one przeciętnie od szóstej do jedenastej. Zdarzały się (choć bardzo rzadko) całonocne. Najczęściej jeden pokój był przeznaczony na tańce, picie i jedzenie. Drugi był pokojem „pogaduszek", czyli pocałunków i pieszczot (zaręczam, nic więcej). Do tego drugiego pokoju kolejka była ustalona już wcześnie, na *cocktail*'u pod Żmichowską. Piło się „jabłcokisikacze" czyli najtańsze wina (od dwudziestu do trzydziestu złotych za butelkę). Zdarzało się, że fundator stawiał Rislinga lub „Byczą Krew". Ale to były wyjątki. Jadło się mało, jakieś kanapki, słodycze. Tańce przy adapterze, a więc płyty. To było, co z przykrością piszę, źródło naszych dochodów. Po prostu kradliśmy płyty, by je następnie sprzedać u Dziada na Lwowskiej. W tym czasie w cenie były Presleye, Darriny, Avalony — za LP w dobrym stanie Dziad dawał dwie trzy setki, za 45-tki — sto, sto dwadzieścia. Dlaczego nie mogliśmy ich kupić oficjalnie w sklepach Polskich Nagrań? Czy aby przypadkiem ustrój nie

przygotowywał nas do późniejszych afer lub do przymykania na nie oczu? Jedno jest pewne „czym skorupka za młodu nasiąknie...". Rzadkością były protesty okradzionych. Przyczyna jest bardzo prosta. W ogromnej większości płyty te były skradzione przez nich samych o tydzień wcześniej.

Najsłynniejsze prywatki tego okresu to u Jędrka na Dąbrowskiego — trwała trzy miesiące (rodzice Jędrka byli za granicą). W pierwszych tygodniach wstępem na nią był jeden „jabłcok", pod koniec cukier, chleb lub coś innego do jedzenia dla gospodarza. Koniec jędrkowych prywatek wiąże się ze śmiercią Jacka Jaworskiego. Ale o tym później jako że to był koniec naszych prób numer jeden.

Prywatki na Murawie przerodziły się w regularne bójki między nami ze Śródmieścia a chłopcami z Muranowa. Kres położyła im milicja. Prywatki u Joanny na Mokotowskiej — najbardziej seksualne tego okresu.

W te soboty i niedziele, w których nie zafiksowaliśmy prywatek chodziliśmy do „Sezamu" w Al. Niepodległości. Była to piwnica należąca do Hufca ZHP. Harcerze organizowali tam tzw. wieczorki taneczne — sobota i niedziela — od szóstej do dziesiątej. Za piątaka i złotego za niepilnowaną, nota bene, szatnię. Tańczyło się rock'n'rolle i twisty. Schodzili się tam chłopcy i dziewczęta z całej Warszawy. Dla kurażu wypijaliśmy po „jabłcoku" kupionym w pobliskich „Delikatesach", by go później utrwalić sezamowym piwem. „Wodzami" „Sezamu" byli Buśka, Andrzej i Bartek. Żyliśmy z nimi w zgodzie okupionej dwoma „jabłcokami". Taka procedura odbywała się każdej soboty i niedzieli. Toteż o dziesiątej czuliśmy się bezpieczni. Bezpieczni przed opłacaniem haraczu w/w wodzom, bezpieczni przed pobiciem, utratą płaszcza (w cenie były tzw. włochy) lub czapki (specjalną uwagą cieszyły się futrzane). Z tych to haraczów żyli w/w wodzowie. Nigdy nie zdarzyło się nam spotkać tam harcerza. Po prostu bali się przychodzić. Paradoksalne, nieprawdaż? My przychodziliśmy, żeby poderwać nowe dziewczyny no i żeby się pokazać w „Sezamie" (swego rodzaju snobizm). A dziewczęta? Wytańczyć się, niech który postawi kino i ewentualnie lody w Zielonej Budce. Wycałować się, wypieścić się i cześć — następny. Ideałem tych dni była ilość wypitych „jabłcoków", ukradzionych płyt, „włochów" i czapek, wymacanych (to bardzo brzydkie słowo, ale w tym czasie było przez nas używane) dziewczyn.

Romantyzm — kwiatki (nawet fiołki za trójkę), uczucie, trzymanie się za ręce, spacery — to wszystko było nam znane, lecz w tym okresie nie było praktykowane. Ponoć to nie było modne. Obok ideałów wyżej wspomnianych, naszymi ideałami byli również Chełmicki-Cybulski i tyrmandowski Filip. Mieliśmy w tym czasie swojego pół-boga. Marek „Pulpet" czy, jak później nazywaliśmy go, Marek „Wariatka". Był skrzyżowaniem tyrmandowskiego Filipa z jego Złym. Świetny w bójce (zawsze *fair play*), sprytny, miał posłuch wśród wszystkich chłopców Warszawy.

Zawsze można go było spotkać w „Gwiazdeczce" na Starym Mieście. Letni król basenu Legii.

Książki (owszem, kryminały) teatr, intelektualne dyskusje, polityka, nie, na to nie mieliśmy czasu.

Wspomniałem że koniec naszych prób 61-62 wiąże się ze śmiercią Jacka. A więc parę słów o Jacku. Chodził do Rejtana. Był na rok przed maturą. Od czasu do czasu bywał na naszej prywatkowej giełdzie. Jego najbliższym przyjacielem był Dynia. Mieszkali na tej samej ulicy, znali się od piaskownicy. Zawsze i wszędzie razem. Ostatni raz spotkałem go na giełdzie, na dzień przed jego śmiercią. Późnym wieczorem pewnej niedzieli Jacek opuszczał prywatkę. Na schodach Dynia pokazywał mu ukradziony przed chwilą nóż sprężynowy. Dla hecy przystawił go Jackowi do brzucha. Ktoś inny z prywatkowiczów popchnął nie umyślnie Jacka. To wystarczyło. Próbowali go uratować. Pech (a może coś bardziej groźnego: aspołeczność) chciał, że trzech kolejnych taksówkarzy odmówiło przewiezienia Jacka do pogotowia. Wreszcie udało mi się złapać prywatny samochód. Cóż z tego, Jacek umarł na dosłownie kilka metrów przed pogotowiem na Hożej. Ten wypadek podziałał na nas jak bardzo, bardzo zimny prysznic. Zresztą nie tylko na nas. Zamknięto „Sezam", nie mieliśmy wstępu do *cocktail'*e na Klonowej itd. A my, my sami? To był dla nas wielki szok. Pogrzeb Jacka przerodził się w swego rodzaju manifestację. Manifestację naszej nicości, niewiedzy, żalu do starszych którzy swoją pomoc dla nas widzieli przez pryzmat zakazów, nakazów czy rozkazów. Tak zakończył się nasz okres prób 61-62.

Zapewne nie zdając sobie w pełni z tego sprawy zaczęliśmy po tym wypadku okres prób 63-64. Czy były to próby na lepsze? Spróbujmy się im przypatrzyć.

Początek prób 63-64 był mało obiecujący. Zaczęliśmy ten nowy okres serią ucieczek (od jednego dnia do dwóch tygodni) z domu. Uciekało się do piwnic kolegów, do Zakopanego. Uciekali nie tylko chłopcy ale i dziewczęta. Dlaczego? Składało się na to wiele przyczyn. Kłopoty szkolne i swego rodzaju nihilizm. Kłopoty szkolne to zrozumiałe. Co zaś rozumieliśmy przez nihilizm? Był to po prostu brak poszanowania dla wszelkich zasad i wartości. Krócej, mieliśmy za nic zarówno naszych nauczycieli jak i naszych rodziców.

Przyczyną ich nicości (w naszych oczach, oczywiście) był fakt, że potrafili tylko i wyłącznie krytykować lub użalać się. Nie potrafili i chyba do dzisiaj nie potrafią walczyć (a tylko walką można coś wskórać). Wolą siedzieć cicho jak mysz pod miotłą aby tylko nie wleźć w oczy panu Gomułce. Zresztą sami go posadzili na tym stołku. Ale zdjąć go z niego już nie potrafią. Są po prostu za słabi; bardziej duchowo niż fizycznie.

Nasze zainteresowania diamentralnie się zmieniły. Zaczęliśmy dyskutować o polityce (to był wpływ Klubu Michnika), coraz częściej odwiedzaliśmy teatry. Horyzont naszych lektur raptownie

się rozszerzył. Toteż ideały się i nasze zmieniły. Proszę bardzo, oto one. Tonio Kröger, Nonkonformista Moravii i Józef K.

Dyskusje polityczne były przyczyną, że nasza grupka spod Metodego rozpadła się. Na prawo poszli Mały (raz próbował mi dowodzić że jeśli partia da mu mieszkanie, to się do niej zapisze — ale to było tylko ten jeden raz), Chmiel, Pipek (najbardziej z nas lewicowy — tłumaczył mi to tradycją rodzinną, wierzyłem mu) i ja. Zmieniliśmy nasz plan tygodnia, choć poniedziałki i wtorki pozostały bez zmian. Środy i piątki spędzaliśmy u Małego na dyskusyjnym bridge'u (więcej żeśmy dyskutowali niż grali). Czwartki były dniem czytania książek. W sobotnie popołudnia teatr lub „Hybrydy". Klub studentów „Hybrydy" mieścił się na Mokotowskiej *vis-à-vis* Metalexportu. Był klubem studenckim li-tylko z nazwy. Większość jego stałych bywalców należała do grona wujka Rzeszotarskiego (o nim parę słów nieco później) lub do tzw. złotej młodzieży z Saskiej Kępy. Wolny wstęp do klubu miały praktycznie tylko dziewczęta. Toteż klub z czasem zwał się nieoficjalnie „wylęgarnią talentów". Chłopcom było znacznie trudniej dostać się do klubu. Pan Stefan, który stał nas „bramce", czyli sprawdzał legitymacje i bilety (nota bene dosyć drogie jak na studenckie kieszenie — 10, 15 i 20 zł.), był bardzo wymagający. Serce mu miękło przy dwudziestu złotych — po prostu nie sprawdzał legitymacji. Pomagało mu w tym sprawdzaniu dwóch studentów z SGPiS'u. Jeden z nich tłumaczył mi, że kupił sobie Lambrette z wpuszczania „łebków" czyli nie posiadających legitymacji. Wierzę mu na słowo. Nasza czwórka przezornie zaopatrzyła się w studenckie legitymacje — można je kupić w Bolerze na MDM'ie, po sto złotych za sztukę. We czwartki, soboty i niedziele w „Hybrydach" są tłumy. Specjalnie od czasu jak usunięto z niego ostatnich mohikanów polskiego jazzu — Namysłowskiego i Matuszkiewicza, by w zamian za to wpuścić *big-beat*. W te trzy dni odbywają się tam wieczorki taneczne. Można kupić tam wtedy każdą dziewczynę. Ułatwione zadanie mają ci, którzy przyjeżdżają własnymi samochodami (ale iluż polskich prawdziwych studentów może sobie pozwolić na samochód?) lub nazywają się Nalewajko (niekoronowany król „Hybryd") czy Badeński. Jeśli my mieliśmy własną giełdę prywatek, to „Hybrydy" były giełdą ciał. Tu się ustalało jakie dziewczyny weźmie się do Kazimierza, do Zakopanego lub na chatę. Tu Henio-Meloman (chyba najpopularniejsza postać wśród warszawskiej młodzieży) szukał swoich „męskich" przyjaciół. Tu rozpoczęły swoje kariery „Lolita", Agnieszka, Dalka, Majka-„Wyłupiatka", lub ostatnia gwiazda „Hybryd", Iza-„Łapka". Tutaj miała swe korzenie słynna przed kilku laty afera „baletowa", w którą m.in. był zamieszany syn Wiktorczyka. Jedna z najmniej rozumnych rzeczy jaką zrobiono — to wpuszczenie do „Hybryd" cudzoziemców. Jest więcej niż zrozumiałe, że jeśli ich opinia o polskiej młodzieży ukształtowała się na młodzieży hybrydowej, to jest ona z gruntu fałszywa. Pomijam już fakt, że 75% hybrydowców nie jest i nie będzie nigdy na studiach. Te pozostałe 25% są to

studenci, których rodzice są na bardzo wysokich stanowiskach. Rozmawiałem w „Hybrydach" z pewnym dziennikarzem ze Stanów. Jego przewodniczką była Ania, jedna z dziewczyn Iredyńskiego. Nic też dziwnego, że wypytywał mnie gdzie może znaleźć tę młodzież, która protestuje, lub powątpiewał w to że polscy studenci (ci prawdziwi) są naprawdę biedni. Polecałem mu obejrzenie baraków na Jelonkach — ale tych w których mieszkają biali studenci, tj. Polacy a nie Murzyni (nota bene w większości nie mówiący ani słowa po polsku, ale robiący polskie dyplomy). Spotkałem tam również studenta z NRF. Przyjechał do Polski, by znaleźć odpowiedź na pytanie, jak to jest naprawdę z polską młodzieżą, jakie ma ona poglądy na wyrównanie stosunków polsko-niemieckich. Wcale mu się nie dziwiłem, że nie mógł tej odpowiedzi znaleźć w „Hybrydach". Przyjechał do kraju nastawiony bardzo pozytywnie, wyjechał z niego bardzo rozgoryczony. Jego ostatnim słowem było: „My chcemy zmazać winy naszych ojców, chcemy żyć w przyjaźni tak z polskim studentem jak z francuskim. W końcu to nie my jesteśmy winni ale nasi rodzice. Dlaczego w dwadzieścia dwa lata po wojnie nasi rówieśnicy (nawet jeśli nasi rodzice byli wrogami) nie chcą nam wybaczyć. W końcu to my będziemy stanowić o przyszłości naszego kraju, a nie nasi rodzice.

Dlaczego polska młodzież jest tak bierna, dlaczego da się tak łatwo prowadzić za rękę ludziom, którzy żyją tylko i wyłącznie z tego że przez dwadzieścia dwa lata nie chcą zapomnieć wojny. Tyle Klaus. Nie zgadzam się z jego opinią w stu procentach. Niemniej jedno zdanie zabolało mnie bardzo: „polska młodzież jest tak bierna, da się prowadzić za rękę". Tak, tak, to niestety prawda. Bo jeden Klub Michnika czy kilka listów nie czynią wiosny!

Wracam jeszcze na chwilę do „Hybryd". Tu właśnie rodziły się wszelkiego rodzaju mody młodzieżowe. Jedną z najdłużej trwających jest moda na amerykański styl bycia. Czyli: papierosy tylko z filtrem, jak największe sygnety na palcach, marynarki w pasy, guma do żucia, itd. Ojcami tej mody byli Leszek z Saskiej Kępy i Staszek (syn byłego ambasadora w Moskwie). Hybrydowe dziewczyny miały również swoje „mody", ale mody te nie miały żadnego politycznego aspektu. Były to „mody" na środowiska. I tak za naszych hybrydowych czasów przyglądaliśmy się modom na łóżka telewizyjno-filmowe, sportowe, dziennikarskie, dyrektorskie, ba nawet *big-beat*'owe. Prawie nigdy te mody ze sobą nie kolidowały! Matkami tych mód były Dalka, Lolita, Oleńka i Majka-Wyłupiatka.

Żeby sprawy „Hybryd" uważać za zamknięte czas wspomnieć o dwóch postaciach Warszawy, których legenda ściśle wiąże się z „Hybrydami". Panowie Rzeszotarski i Badeński.

Wersja naszej czwórki na temat casus Rzeszotarski — Wujek Jędrucha: Jeśliś do wiosny 64 spotkał niskiego, grubego z wąsami *gentleman*'a na trasie Europa, Bristol, Grand — to to właśnie był wujek Jędrucha. Dostał spadek (20 tys. dolarów), który

pomnożył w szeregu afer i kombinacji z wpływowymi ludźmi w Warszawie. Słynne „balety" u wujka na rogu Chocimskiej wiążą się z „Hybrydami". To właśnie hybrydowa giełda ciał była dostarczycielką numer jeden.

Tak jak Nalewajko był niekoronowanym królem „Hybryd" tak Rzeszotarski był królem Zakopanego, Sopot i nocnych lokali Warszawy. Pan Zygmunt, barman w Europejskiej, skarżył mi się, że po wyroku Wujek jest bardzo biedny. Daje tylko stówę napiwku. Przed wyrokiem zdarzał się tysiączek, a regularnie pięćset. Do owego wyroku Rzeszotarski był na ustach wszystkich. Skąd ta forsa, skąd ten Mercedes, skąd te stosunki, skąd ten apartament w Europejskim i tak prawie bez końca. Wpadka wujka i koniec jego kariery wiąże się z aferą mięsną, bo on sam był jednym z głównych udziałowców „mięsnego" kasyna. Niemniej legenda o wujku krąży do dzisiaj. Jestem ciekaw czy ktoś z czytelników zna prawdziwą historię pana Rzeszotarskiego?

Postać numer dwa, o której chcę napisać parę słów, to mistrz Europy, mistrz Polski, trzeci na Olimpiadzie w Tokio, 22-letni amator-sportowiec Andrzej Badeński. A więc nasz rówieśnik. Trzy pokojowe mieszkanie, samochód, dwa i pół tysiąca miesięcznie (tzw. dożywienie), Meksyk, Stany, Japonia, cała Europa — bez ukończonej szkoły, bez *żadnego* obcego języka, nie pracujący. Jakiemu procentowi młodzieży nie imponuje taka pozycja? (nie, nie ta sportowa, ta ekonomiczna). Nie ma oczywiście mowy o dyskutowaniu tu problemu amator-zawodowiec jako że sprawa zawodowstwa w polskim sporcie (analogicznie jest ze sztuką) jest całkowicie znana i otwarta. Tu mógłby ktoś powiedzieć: „no tak, ale on jest mistrzem, itd.". Dobrze — odpowiadam, a kim jest Wakowski, Gomuła, młodzi piłkarze i inni? To też są sportowcy-amatorzy, powiedzmy o klasę niżej niż Badeński. A więc tylko 1.500 złotych na dożywienie, motocykle a nie samochody. O wykształcenie nikt się nie pyta, nikt się zresztą tym nie interesuje. To sportowiec, a to działacz sportowy. Są to zawody na równi dochodowe jak badylarstwo, waluciarstwo czy dochody ludzi sztuki (tych pozostających w zgodzie z linią wytyczoną przez partię). I tak właściwie odbiegłem od tematu. Ale tylko pozornie. Tak jak „Hybrydy" wiążą się bardziej z waluciarstwem, dziwkarstwem, żeby nie powiedzieć prostytucją, niż z klubem studenckim czy Alma Mater tak samo właśnie tak przebiegały nasze próby 63-64. Tak się krzyżowały nauki wyniesione z domów (nie kradnij, bądź patriotą, nie oszukuj, itd.) z nagą, ale ludową rzeczywistością. O szkolnych naukach pisałem Ci w poprzednim liście. Zresztą przebiegały po tej samej linii co owa naga rzeczywistość. „Hybrydy" nie są oczywiście jedynym klubem studenckim. Do, powiedziałbym, bardziej wpływowych należą klub Studentów Akademii Medycznej „Medyk" i Studentów Politechniki „Stodoła". Reszta klubów stoi na uboczu lub kopiuje wzory klubów wyżej wymienionych.

Hygiena, czystość tak fizyczna jak psychiczna — nazwy mające bardzo wiele wspólnego z medycyną. Cóż z tego, kiedy nie

można ich znaleźć w klubie studentów medycyny. To zresztą proste. To znowu jest kolejny klub studentów jedynie z nazwy. Tu przecież króluje *society* z Pragi, Targówka i Służewca. I Murzyni! „Medyk" jest również nazywany „mordownią". Nazwa niedaleka od prawdy. To przed nim właśnie w czasie karnawałowych zabaw stoi gazik z milicją, mimo sąsiedztwa MSW. W czasie tzw. Balu Murzynów (tych prawdziwych) stoją dwa gaziki. Przyczyną jest „przyjacielski" (czytaj wrogi) stosunek naszych czarnych przyjaciół do polskiej młodzieży. Jest to bal, na którym żadna z orkiestr czy pop-grup nie ma odwagi grać. Wszyscy pamiętają jelonkowy incydent z 62 roku. Nasi czarni przyjaciele zniszczyli instrumenty, by później porżnąć protestujących muzyków. Przyjaciele, co? Jestem ciekaw czy pan Szyr był kiedykolwiek na takim balu. Jest przecież szefem towarzystwa afrykańskiego. Będąc przy naszych czarnych przyjaciołach, niesposób nie wspomnieć najbardziej drażliwego problemu polskich studentów. Polscy studenci mają dwa, trzy razy niższe stypendia niż czarni obcokrajowcy, mieszkają w dwa razy gorszych pokojach niż nasi czarni przyjaciele, otrzymują bony żywnościowe po normalnych studenckich cenach. Gościnność, powiesz, zapewne. Dobrze, ale z umiarem. A poza tym nasi czarni przyjaciele otrzymują w ogromnej większości dolarowe zasiłki ze swoich ambasad, paradują w złotych zegarkach, złotych sygnetach, mohairowych ubraniach, wakacje spędzają na Lazurowym Wybrzeżu lub w najgorszym razie własnym samochodem (z rejestracją zachodnioniemiecką i CD) w Polsce. Powiesz: kompleks, zazdrość! O nie, po prostu pytanie: z której strony i gdzie oni są biedni? Tak na marginesie zaznaczam, że to była jedna z pierwszych lekcji pt. dyskryminacja. Jeśli w Stanach Murzyni śpiewają białym „burn, baby, burn", to w niedługim czasie polscy studenci będą śpiewać Murzynom studiującym w Polsce te same „burn, baby, burn", tyle że na melodię krakowiaka.

Wreszcie parę słów o „Stodole". Najstarszy klub studencki w Warszawie. Rozpoczął swą działalność na Emilii Plater. A zabił go budujący się Pałac Kultury.

Agonia klubu rozpoczęła się z chwilą przeprowadzki na Trębacką. Do tego jednak czasu była to siedziba polskiego jazzu, a zarazem jego duchowych przywódców (Tyrmand, „Dentox" Sobociński, „Król" Jagiełło czy „Duduś" Matuszkiewicz, nota bene to stara dobra jazzowa gwardia z YMCA'i). Tam grano jazz dla jazzu a nie dla pieniędzy, jak to dzisiaj praktykują panowie Namysłowski, Urbaniak czy Kurylewicz. Tam powstali „Niewinni czarodzieje" Wajdy. Tam do wszystkiego zabierano się z entuzjazmem i amatorstwem (w tym pozytywnym znaczeniu). Tam królował Alfred Jarry ze swoim Królem Ubu. Tam śpiewano „a ja jestem córka taty, bo mój tata ma posadę dyplomaty". Tam się oglądało prawdziwy aktualny teatr studencki, który wytrzymywał w tym czasie konkurencję STS'u No a teraz? Teraz „Stodoła" po pożarze na Wspólnej dogorywa na Nowowiejskiej w dawnym kinie „Oka". Trzymając się chronologii to po prze-

prowadzce z Emilii Plater na Trębacką zamieniono „Stodołę" w wylęgarnię *big-beat*'owych talentów. Szkoda tylko, że to talenty na miarę Godlewskiego czy Tajfunów. Jazz miał prawo bycia we czwartki. A i tak grał tam drugi rzut polskich jazzmenów. Ale to zrozumiałe, jako że pierwszy, w pogoni za forsą, para się tzw. polskim *modern-jazz*'em. Kiedy wrócą czasy Melomanów? Stodolarski teatr produkuje, a właściwie produkował ubogie składanki. Już od Wspólnej (nomen-omen, z gołą rzeczywistością) o teatrze się nie słyszy. „Głucho wszędzie, ciemno wszędzie". Równolegle ze zmianami lokalowymi (i nie tylko) zmieniali się bywalcy. I tak jak na Emilii Plater była to zdecydowanie awangardowa — „Po Prostowa" młodzież, tak na Trębackiej była to młodzież w rodzaju Ewka-„Kurewka", Gienia-„Frajera", Marka-„Wariatka" czy Stasia-„Wiecznego Studenta Amen". Tu same pseudonimy są wystarczającą charakterystyką. Na Wspólną praktycznie żaden z szanujących się studentów nie chodził. Utarło się powiedzenie że ta „Stodoła" ze Wspólnej jest rynkiem zbytu, na którym pracują kupcy z „Hybryd". Co to znaczy? To takie przedszkole w stosunku do „Hybryd". Chodzi oczywiście o nowe ciała i to tak dziewczęce jak i męskie. No a teraz, jak wieść niesie, „Stodoła" działa w dawnym kinie „Oka", na tyłach Sądu Wojskowego. Nawet bliskość sądu nie zapowiada poprawy sytuacji.

Choć obraz tych trzech studenckich klubów jest z pewnością czarny, to proszę mi wierzyć, że tak to wygląda w rzeczywistości. Z pewnością postawisz mi pytanie: Skąd wy, tam, w studenckich klubach, przecież byliście uczniami? Odpowiem ci, że ponieważ w naszym środowisku, młodzieży szkolnej, nie znaleźliśmy żadnych zainteresowań, żadnego głębszego oddechu, żadnych ideałów, niczego, staraliśmy się to coś (brak mi tu wiedzy i talentu Gombrowicza, żeby to coś bliżej wyjaśnić) znaleźć wśród studentów. No, a nie będąc studentami, mogliśmy szukać z nimi kontaktu tylko w ich klubach. A jak te kluby i ci studenci wyglądali — opisałem Ci powyżej. Teraz chyba już zrozumiesz że i tam nie znaleźliśmy naszego „ja".

Tak powoli dobrnęliśmy do naszych matur. O szczegółach matur 1964 już Ci pisałem. Dodam, że właściwe przygotowania nasza czwórka zaczęła na trzy miesiące przed egzaminami. W niedziele rano spotykaliśmy się u mnie na powtórki z historii i polaka. Matmę powtarzaliśmy u Małego w środy. Resztę przygotowywaliśmy w bibliotece na Koszykowej. Z tymi przygotowaniami na Koszykowej wiąże się jedna z najbardziej smutnych historii, jakie wyszły z Ministerstwa Oświaty. Biblioteka na Koszykowej może pomieścić jednorazowo do 80 uczniów (mam na myśli część szkolną tejże biblioteki) i jest otwarta do 10-tej wieczór. Zawsze zbierały się tam tłumy w oczekiwaniu na wolne miejsce. Proszę policz sobie ilu młodych było i jest w naszej sytuacji. Po prostu nie mają miejsca na naukę we własnych domach — metraż, normy, uprzywilejowane pozycje itp. Chcą

zdobyć te parę godzin w bibliotece. Ale oto do akcji wkracza wspomniane ministerstwo. Po prostu zabrania młodzieży szkolnej przebywania na ulicy po godzinie ósmej wieczorem. Co mieliśmy więc robić czy fruwać z Koszykowej do domów po ósmej? Nie, nic takiego. Jeszcze jedna lekcja łamania zarządzeń. Nie raz i nie dwa w drodze powrotnej mieliśmy dłuższą „konwersację" z milicją. A z biegiem czasu o tym zarządzeniu zapomniano. Po prostu było nieżyciowe, jak większość polskich zarządzeń. Ale to było już po naszych maturach. Cała nasza czwórka zdała i wszyscy próbowaliśmy dostać się na wyższe studia. Zakończyło się to remisem — dwóch się dostało (obaj z dobrym poparciem) a dwaj zaczęli rozglądać się za pracą. Nasz rocznik miał pobór w następnym roku. Tak to właściwie dojechaliśmy do końca naszych prób 63-64. Spróbujmy je ocenić.

Plusy — zmiana lektur, zmiana zainteresowań, pierwsze otwarcie oczu (na świat, na paryską „Kulturę", na Gombrowicza, na Robbe-Grilleta, na komunizm, na kapitalizm, na Gomułkę, na Wajdę...).

Minusy — nie znaleźliśmy tego, czegośmy szukali.

Musisz mi uwierzyć że starałem się sprecyzować po części dla siebie samego to czegośmy szukali. Niestety przekraczało to moje siły. Szukałem w literaturze. Przeszedłem ją od Sienkiewicza (te, „ku pokrzepieniu serc"), Norwida, Strindberga i Przybyszewskiego, przez Hemingwaya i Steinbecka, przez Konwickiego i Odyńskiego do Sartre'a i Musila, by zatrzymać się na Joyce, Mannie i Gombrowiczu. Niestety nie znalazłem i tu czego szukałem a właściwie czego szukała nasza czwórka. Szukałem w kinach. Od „Przed potopem", „Portiera z Lazurowego Wybrzeża" przez „Niewinnych czarodziei" i „Bazę ludzi umarłych", „Popiół i diament" i „Walkonie" do mistycyzmu Bergmana, by zatrzymać się na „Elvirze Madigan" i „One man and one woman". Czy znalazłem? Nie, niestety nie znalazłem. Dalej szukaliśmy w teatrze. Od „Powstania Listopadowego" i „Wesela" przez „Śluby panieńskie" (tak, to prawda) do „Lekcji", „Szklanej menażerii" i „Tramwaju zwanego Pożądaniem", do „Kariery Arturo Ui" i „Zamku", by zatrzymać się na „Matce Courage" i „Tangu". Znaleźliśmy? Nie znaleźliśmy. *Hippies, psychodelic, flower power* — nie szukam. Nie wierzę. Rezygnacja, frustracja, brak ideałów — BYĆ MOŻE. Ciągle jednak ciekawi mnie znalezienie tego, czego nie mogliśmy znaleźć w naszych próbach 63-64. Powiesz pewnie że to nie ma sensu oglądać się wstecz. Otóż nie. Tu warto, bo tam, w tych próbach 63-64, zgubiliśmy coś co mogło pomóc naszej przyszłości. Być może mylę się, ale błądzenie jest ponoć rzeczą ludzką. Kto pomoże? Może Gombrowicz — przecież tyle razy zapewniał o swojej więzi z młodzieżą, może Hłasko — tyle doświadczeń i to na własnej skórze. Może inni? A może pomyślą, że nie warto. A ja mimo wszystko wierzę, że warto i wierzę, że pomogą.

I ci co zaczęli studia w 64, i ci co zaczęli pracować, i ci co pozostali na „garnuszku" u rodziców rozpoczęli próby 65-66. Rozpoczęli a właściwie nie rozpoczęli. Bo tak jak w poprzednich okresach szukaliśmy tego czegoś — do czegoś się zawsze dążyło (obojętne czy to będzie matura czy dwa „jabłcoki" — zawsze się do czegoś parło, szło, dążyło...), tak próby 65-66 przeszły właściwie bez bólu. Odbywały się one pomiędzy barem u pana Józefa w Kameralnej (to było tylko zabijanie czasu), wyścigami na Służewcu i, od wielkiego dzwonu, barem u panów Zygmunta i Wacka w Europejskiej. Prywatki, bale, kina, teatry — to wszystko zeszło na drugi plan. Jeszcze staraliśmy się to coś odnaleźć w książkach. Powtarzam, bez rezultatu. Może szukaliśmy w złym kierunku? nie te lektury, nie te filmy, nie te ideały. Dobrze, a zatem pytam JAKIE???

Powiesz, po co to komu, i tak nie zmienisz układów spraw, a sobie i tak niewiele pomożesz. Dobrze, zgadzam się. Nie zmienię układów, nie pomogę sobie, ale mogę pomóc tym, którzy błądzą tam w kraju. Tym wszystkim — nasto i nie nasto-latkom. żeby nie powtórzył się casus Jacek Jaworski, żeby nie powtórzyły się giełdy, żeby... żeby nie byli tacy jak my — nie wiedzący czego chcą, ale chcący czegoś!

Powiesz, mierz siły na zamiary. Dobrze, zgoda. Właśnie dlatego proszę POMÓŻCIE!

I nie wierzcie że narkotyki, Beatles'i, Carnaby Street czy *power flower* pomogą. Nie tędy droga. Ale którędy? — na to pytanie dajcie mi odpowiedź!

To właściwie tyle. I mało i dużo, zrozumiale i niezrozumiale. Ogólne i zbyt osobiste. Wnikliwe i powierzchowne. Smaczne i niesmaczne. Myśl co chcesz o moich listach, ale o jednym nie zapominaj: taka była nasza droga do dojrzałości, takie były piętnasto, siedemnasto, dziewiętnasto, dwudziestoletnie lata naszych prób. Lata, które ponoć decydują o przyszłości. Jaka ona będzie dla nas? Smutne perspektywy — tu się zgodzisz zapewne ze mną. Mimo to wierzę w *„Non si male nunc et olim sic erit"!*

Toteż dlatego nie zaufałem ostatnim słowom Sokratesa: Ale oto już i czas odejść, mnie na śmierć, wam do życia. Kto z nas idzie do tego co lepsze, tego nie wie jasno nikt — chyba tylko Bóg". Wyjechałem z kraju.

Twój
GRUBY

Sierpień 1967.

"Krytyk" G. J. Flemminga

P. Wiesław Nowakowski w „Panoramie Północy" z 9 lipca br. zamieścił artykuł poświęcony autorowi „Polski mało znanej"

G. J. Flemmingowi. Artykuł ten został podchwycony przez prasę specjalnego autoramentu w kraju i na zachodzie. Nie widząc potrzeby dyskutowania z oszczerstwami, ograniczamy się jedynie do przedruku Orzeczenia Naczelnego Sądu Dziennikarskiego, który został zamieszczony w lipcowym numerze „Prasy Polskiej", pisma Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Warszawie.

ORZECZENIE NACZELNEGO SĄDU DZIENNIKARSKIEGO

Naczelny Sąd Dziennikarski w składzie: Przewodniczący kompletu orzekającego — kol. kol. *Tadeusz Gutkowski*, Członkowie: *Zygmunt Brykalski, Jan Urbaniak*, Protokolantka — *Halina Sicińska*

w obecności Z-cy Rzecznika Dyscyplinarnego przy ZG SDP, kol. *Radosława Ostrowicza*, rozpatrzył w dniu 12 maja 1967 roku odwołania: Rzecznika Dyscyplinarnego przy Zarządzie Oddziału Warszawskiego SDP, kol. *Olgi Andrzejowskiej*, kol. *Lucjana Wolanowskiego* oraz kol. *Wiesława Nowakowskiego* od orzeczenia Sądu Dziennikarskiego przy Oddziale Warszawskim SDP z dnia 14 stycznia 1967 roku, uchylił orzeczenie Sądu Dziennikarskiego I instancji i uznając kol. Wiesława *Nowakowskiego* winnym naruszenia art. art.: 17 i 25 § 1 Dziennikarskiego Kodeksu Obyczajowego orzekł łączną karę

zawieszenia kol. Wiesława *Nowakowskiego* w prawach członka SDP na okres 2 lat

z opublikowaniem niniejszego orzeczenia wraz z uzasadnieniem na łamach „Prasy Polskiej". Orzeczenie niniejsze jest ostateczne.

UZASADNIENIE

Kol. Wiesław Nowakowski w dniu 14 grudnia 1965 roku, w sekretariacie redakcji „ŚWIAT", w obecności kilku osób — co zostało potwierdzone przez świadków w toku rozpraw przed Sądem Dziennikarskim I i II instancji — pomówił kol. L. Wolanowskiego o działalność dziennikarską sprzeczną z ideowo-moralnymi wymogami stawianymi dziennikarzowi Polski Ludowej (art. 25), zachowując się wobec kol. L. Wolanowskiego w sposób uwłaczający jego godności (art. 17).

Sąd uznał zachowanie się kol. W. Nowakowskiego za niedopuszczalne i wysoce naganne, wyrządziło ono dotkliwą krzywdę kol. L. Wolanowskiemu oraz przyniosło ujmę całemu środowisku dziennikarskiemu.

Sąd zmienił kwalifikację wykroczenia kol. W. Nowakowskiego przeciwko art. 25 DKO, nie znajdując przekonujących dowodów naruszenia § 2 tegoż artykułu i biorąc pod uwagę, jako okoliczność łagodzącą, uznanie przez kol. W. Nowakowskiego swego sposobu zachowania się za karygodny, orzekł jak wyżej.

Warszawa, dnia 13. V. 1967 r.

PRZEWODNICZĄCY KOMPLETU ORZEKAJĄCEGO
(—) *Tadeusz Gutkowski*

CZŁONKOWIE:
(—) *Zygmunt Brykalski*
(—) *Jan Urbaniak*

(*Prasa Polska*, Rok XXI, Nr 7, lipiec 1967, str. 43).

Najnowsza historia Polski

"Polski Antykomitern"

Rok 1944 rozpoczynał się pod znakiem zbliżającej się klęski „1000-letniej" Rzeszy Hitlera. Na zachodnim teatrze wojny, wojska alianckie napierały na front niemiecki we Włoszech, od zachodu, pod Monte Cassino oraz na południu, od strony Anzio. Organizacja inwazji alianckiej z Anglii, przygotowywana przez sztab gen. Eisenhowera, głównodowodzącego armiami alianckimi w Europie, nie była już dla sztabu generalnego niemieckiego, ani też dla Hitlera i jego bliskich wspólników, tajemnicą. Niemcy zaczęły przygotowywać wzmocnioną linię obronną zachodnią. Poczęte zostały przygotowania do zalewu znacznej części Holandii przez zerwanie nadbrzeżnych tam morskich. Przygnębienie wśród ludności w Niemczech zwiększało się z tygodnia na tydzień, zwłaszcza słynna mowa Churchilla, wygłoszona w londyńskiej Izbie Gmin dn. 22 lutego 1944 roku, mowa silna, wywarła w Niemczech wrażenie potężne. Zapowiedź Churchilla, że zwycięstwo aliantów jest niewątpliwe, chociaż wojna może przeciągnąć się do 1945 roku, pogłębiła upadek ducha wśród mas ludności Niemiec, wywołując jednocześnie ostre zaniepokojenie wśród kierowniczych kół hitlerowskich, tym więcej, że alianci systematycznie niszczyli swymi nalotami centra produkcyjne lotnictwa niemieckiego, przyśpieszając zupełne rozbicie sił powietrznych hitlerowskich. Od strony wschodniej, na froncie bojowym na sowieckim teatrze wojny, położenie kształtowało się jednocześnie coraz groźniej. W miesiącu lutym 1944 roku, armia niemiecka, operująca w Rosji sowieckiej, była już w pełnym odwrocie. Naciskane bez przerwy przez wojska sowieckie, wojska niemieckie cofały się w kierunku granic Białorusi i Łotwy, wywołując silne zaniepokojenie wyższych władz okupacyjnych w Polsce, przede wszystkim generalnego gubernatora Franka. Obawy Franka wiązały się przy tym z kształtowaniem się sytuacji wewnątrz „generalnej gubernii". Był Frank bowiem na ogół dosyć dokładnie informowany o nastrojach ludności polskiej,

coraz mocniej przekonanej, że klęska Hitlera jest nie tylko pewna, ale już bliska. Wiedział on o rozrastaniu się Armii Krajowej, miał na swym biurku raporty o działaniach bojowych i represyjnych tego zbrojnego ramienia polskiego Podziemia, w różnych częściach okupowanej Polski. Zaczął więc Frank szerzyć za pośrednictwem swoich bliskich urzędników okupacyjnych, pogłoski o zmianie nastawienia swego wobec Polaków. W rozmowie, jaką miał Władysław Studnicki z Ohlenbuschem, szefem Wydziału Propagandy w Warszawie, w pierwszych tygodniach 1944 roku, Ohlenbusch starał się przekonać Studnickiego, że Frank jest teraz życzliwie usposobiony wobec Polski i Polaków (*Frank ist jetzt Polen und den Polen sehr freudlich gesonnen*), że „gubernator Frank poznał Polskę i Polaków, porzucając swoje dotychczasowe uprzedzenia, nabierając natomiast pewnych sympatii[1]". Zaznaczyć na tym miejscu trzeba, że Studnicki te zapewnienia Ohlenbuscha odrzucił w sposób stanowczy, nawet ostry, podkreślając, że takie zapewnienia nie znajdą wiary u Polaków, wywołają natomiast wrażenie jak najgorsze.

Czy jasne, niedwuznaczne, słowa Studnickiego, doszły do Franka czy też nie, Frank żywo zaniepokojony kształtowaniem się sytuacji na frontach wojennych, przede wszystkim na najbliższym froncie sowieckim, zamierzał stworzyć w Polsce instrument współdziałania polskiego z okupantami i, w tym celu, chciał uformować antykomunistyczny, antysowiecki blok polski, czy to jako polską partię antysowiecką czy też jako polską grupę Antykominternu, bądź jako Ligę antybolszewicką. Z polecenia tedy Franka Główny Wydział Propagandy urzędu generalnego gubernatora w Krakowie, tajną depeszą, oznaczoną jako bardzo pilna, skierowaną dn. 14 lutego 1944 roku do Wydziału Propagandy w Warszawie, polecał skontaktowanie się z Władysławem Studnickim, Ferdynandem Goetlem i Emilem Skiwskim i wysondowanie opinii tych trzech osób, uważanych za zdecydowanych wrogów Rosji Sowieckiej i przychylnie nastawionych wobec Niemców oraz stwierdzenie ich gotowości do czynnego współdziałania w organizowaniu i kierownictwie zamierzonej formacji polskiej, zgodnie z zamiarami Franka.

W depeszy tej, podpisanej przez Spenglera, szefa Głównego Wydziału Propagandy w urzędzie Franka, wskazano Urzędowi Propagandy w Warszawie, że w razie zgody na współdziałanie, zakomunikować można, iż siedziba prezydium, zależnie od okoliczności, przeniesiona będzie na Górny Śląsk bądź też do obwodu sudeckiego, w Czechosłowacji. Do zakresu działania prezydium — informował Spengler — należy między innymi, wydawanie czasopisma antybolszewickiego oraz serii pism ulotnych. „Zamierzone jest dalej — głosiła depesza — z biegiem czasu,

1. Władysław Studnicki: *Irrwege in Polen. 1951.* str. 105. Praca ta, wydana w Niemczech, w tłumaczeniu niemieckim, na prawach rękopisu, zawiera ciekawe szczegóły działań i zamiarów Studnickiego w okresie okupacji hitlerowskiej.

przekształcenie prezydium na polską reprezentację narodową (*Volksvetretung*)". Ze względu na nagłość sprawy, żądał Spengler, wiadomości możliwie natychmiastowej.

Szczególną uwagę zwracało polecenie Spenglera, aby — ewentualnie — zapewnić w grę wchodzące osoby, iż „zależnie od okoliczności", siedziba prezydium zamierzonej „polskiej" formacji pro-hitlerowskiej, przeniesiona będzie na Górny Śląsk bądź do obwodu sudeckiego, zatem na obszar czechosłowacki. Takie zapewnienie było, w kształtujących się na froncie wschodnim „okolicznościach", właściwie przyznaniem przez dygnitarzy hitlerowskich, że może dojść do opuszczenia całego obszaru ziem polskich, tedy miała taka deklaracja zapewnić współdziałających z hitlerowcami działaczy polskich, że nie zostaną oni pozostawieni na łasce czy to ruchu podziemnego polskiego czy też nowego najazdu sowieckiego. Zapewnienie takie było raczej odstraszające aniżeli krzepiące.

Wybór osób przez Spenglera, to jest przez Główny Urząd Propagandy w Krakowie, nie był przypadkowy.

Władysław Studnicki, od wielu lat, przed najazdem hitlerowskim na Polskę, był w Niemczech, wśród tych hitlerowców którzy mieli sobie przydzielone obrabianie spraw polskich, znany ze swego ostrego nastawienia antyrosyjskiego, specjalnie antysowieckiego oraz ze swej doktryny — tak można to nazwać — oparcia się na Niemczech, jako sile, która zdolna jest rozbić Rosję Sowiecką. Wprawdzie, po okupowaniu ziem polskich przez armię niemiecką, Studnicki często sprawiał dygnitarzom hitlerowskim, zarówno w Warszawie jak i w Berlinie, kłopoty, swoim otwartym postępowaniem, swymi nieraz „nieobwijanymi w bawełnę" memoriałami, ostrymi formułowaniami dezyderatów, rad politycznych, nieproszonych i lekceważonych przez wysokie figury hitlerowskie. Był też Studnicki z tego powodu przez czas dłuższy izolowany w przymusowym miejscu pobytu, wprawdzie w wygodnym sanatorium podberlińskim, ale takie osadzenie Studnickiego w izolacji, nie mogło zmienić charakteru tej izolacji, jako wygodnej formy więzienia. Po dłuższym trzymaniu Studnickiego w „sanatorium", pozwolono mu wrócić do Warszawy, ale miał zabronione występowanie polityczne, mógł tylko pisać, co też czynił intensywnie, nie mogąc jednak niczego publikować. Dopiero na przełomie 1943/44 roku, kiedy sytuacja Niemiec na obu głównych teatrach wojny pogorszyła się groźnie, zapowiadając niechybną całkowitą klęskę Trzeciej Rzeszy, Frank — poprzez swoich najbliższych zaufanych współpracowników: Birkampfa, szefa Gestapo w gubernii generalnej, Ohlenbuscha, kierującego Urzędem Propagandy w Warszawie, Spenglera, stojącego na czele Głównego Urzędu Propagandy w Krakowie — dążył do nawiązania kontaktu ze Studnickim, przekonany, że przez Studnickiego będzie można oddziaływać hamująco na nienawistne nastroje narodu polskiego, przekonanego o zbliżającym się rozbiciu hitlerowskich Niemiec.

Ferdynand Goetel był uważany przez szefów propagandy hit-

lerowskiej w „generalnej gubernii" za usłużnie nastawionego literata, któremu można zaufać, chociażby ze względu na mile dla uszu hitlerowców brzmiące imię i nazwisko. Toteż Goetel był desygnowany przez władze okupacyjne — jako były prezes Polskiego Związku Pisarzy — do kierowania opieką nad literatami; pod jego kontrolą prowadzona była dystrybucja pomocy materialnej potrzebującym pisarzom, których też Goetel pilnował, aby rejestrowali się w Wydziale Propagandy dystryktu warszawskiego i podporządkowywali się zarządzeniom tegoż Wydziału. Ruch podziemny uważał Goetla za utrzymującego bliskie stosunki z okupantami, zwłaszcza po udziale Goetla w delegacji, zorganizowanej przez Niemców i wysłanej samolotem do Katynia, dla stwierdzenia stanu wykrytych w lasku katyńskim masowych grobów pomordowanych oficerów polskich. Z tych też powodów Goetel był osobą podejrzaną w ruchu podziemnym, ale jednocześnie uważany był przez okupantów za człowieka, któremu można ufać i który będzie służyć.

Emil Skiwski, trzecia osoba, wybrana przez Spenglera dla zapoczątkowania rozmów w sprawie formowania „polskiego ruchu antykomunistycznego" według politycznych życzeń okupantów, był figurą nikczemną. Kiedy — na początku 1940 roku, hitlerowska propaganda, po zajęciu lokalu drukarni „Kuriera Warszawskiego" rozpoczęła wydawanie swego pisemka gadzinowego „Nowy Kurier Warszawski", w kołach zawiązującej się wówczas polskiej konspiracji politycznej twierdzono, że Skiwski jest jednym z redaktorów tego organu hitlerowskiej propagandy. Dodać należy, że gadzinówka ta została zaraz należycie oceniona przez warszawiaków, którzy z miejsca dorobili dla tego fałszywego pisemka dosadnie brzmiący skrót, jako właściwy adres telegraficzny, łącząc trzy pierwsze litery „Kuriera" z pierwszymi dwoma literami „Warszawski". Później, Skiwski — wspólnie z Feliksem Burdeckim — pracował w założonym przez propagandę hitlerowską „Wydawnictwie Polskim", formalnie założonym przez żonę szefa propagandy dystryktu warszawskiego, Ohlenbuschową. Skiwski był współredaktorem „Przełomu", tygodnika gadzinowego, publikowanego przez to pseudopolskie „Wydawnictwo Polskie". Znany był w ruchu podziemnym polskim jako jeden z najbardziej usłużnych najmitów, wysługujących się hitlerowskiemu najazdowi.

Urząd propagandy hitlerowskiej w Warszawie, to jest Ohlenbusch, otrzymawszy tajną, ultrapilną, depeszę krakowską, śpiesznie przeprowadził nakazane rozmowy ze Studnickim, Goetlem i Skiwskim. Przebieg, raczej rezultat tych rozmów, przesłał Ohlenbusch — jako trzy zapisy aktowe, datowane dn. 17 lutego 1944 roku, do Głównego Urzędu Propagandy w Krakowie. Studnicki, w istniejących warunkach, odrzucił propozycję wciągnięcia go do akcji formowania polskiego ruchu antykomunistycznego, Goetel wyraził swą zgodę do współpracy skoro tylko niektóre założenia politycznej natury będą przez Niemców spełnione. Skiwski, wybełkotawszy pewne dezyderaty, oświadczył, że gotów

jest współpracować w planowanym przez hitlerowców „Antykominternie" polskim nawet bez spełnienia „żądań" przez niego pokornie wysuniętych.

Zgoda Skiwskiego była jednak dla Głównego Urzędu Propagandy w Krakowie bezwartościowa, wobec wyraźnej odmowy Studnickiego i słabszych, w treści i w tonie, wypowiedzi Goetla. Do uformowania więc polskiego ruchu prohitlerowskiego, czy to jako „Antykomintern polski" czy też jako „Liga Antybolszewicka" nie doszło. Niewątpliwie, sam Frank teraz pojmował, że wobec dotychczasowej terrorystycznej polityki antypolskiej, a także wobec coraz silniejszych wrogich nastrojów narodu polskiego, uformowanie, w jakiejś postaci, polskiego ruchu prohitlerowskiego jest zamiarem zupełnie nierealnym.

Jednakże, swoich planów przyciągnięcia chociażby drobnej części Polaków na teren życzliwszego nastawienia wobec okupantów, Frank nie zarzucił zupełnie. W miesiącach późniejszych, z jego polecenia, urząd gubernatorski w Krakowie, opracował szereg projektów reformy administracji lokalnej, w zamiarze wciągnięcia niektórych kół polskich do współpracy w projektowanym pseudo-samorządzie. Komunikowanie się w tej kwestii Franka z Hitlerem i jego najbliższymi doradcami przeciągało się, wobec początkowego oporu Hitlera. Kiedy z Berlina zaczęły nadchodzić do Franka opinie bardziej dla jego planów przychylne, było już za późno. Pogarszająca się z dnia na dzień sytuacja na frontach wojennych, zwłaszcza na froncie wschodnim, przede wszystkim zaś wybuch powstania w Warszawie, położyły kres tym nieszczerym, podstępnym, zamiarom Franka.

◆

Depesza Głównego Wydziału Propagandy w Krakowie do Wydziału Propagandy Dystryktu warszawskiego

Kraków 14. 2. 44 godz. 22.28 V 164/193 G
Główny wydział propagandy
do prop. warszawa

Wysoce poufne.
Bardzo pilne[2]
Dotyczy: „polski antykomintern"

Tajne

Uprasza się o natychmiastowe *(umgehend)* skontaktowanie się z panami Goetlem i Swiskim[3], w celu stwierdzenia ich gotowości do czynnego współdziałania w prezydium polskiej Ligi antysemicko-antybolszewickiej. W razie wyrażenia zgody, można zakomunikować, że siedziba prezydium, zależnie od okoliczności, przeniesiona będzie na Śląsk Górny bądź też (bzw.) do obwodu sudeckiego.

2. *Sofort auf den Tisch.*
3. Skiwskim.

Do zakresu działania prezydium należy, między innymi, wydawanie czasopisma antybolszewickiego oraz serii pism ulotnych. Zamierzone jest dalej, z biegiem czasu, przekształcenie prezydium na polską reprezentację narodową *(Volksvertretung)*.

Ze względu na nagłość sprawy proszę o możliwie natychmiastową wiadomość. Inni w waszej depeszy z dn. 9. 2. 44 wymienieni panowie brani są pod uwagę jako wolni współpracownicy.

Spengler

Zapisy aktowe
Wydziału Propagandy Dystryktu warszawskiego

Warszawa, dn. 17 lutego 1944 V 166/195 G
Zapis aktowy. *Tajne*
Dotyczy: Anty-Komintern — Rozmowa z prof. Studnickim.

Dłuższa rozmowa z prof. Studnickim o utworzeniu polskiego ruchu anty-kominternowskiego, wykazała całą wstrzemięźliwość, z jaką kierownicze koła polskie przyjmują pomysł utworzenia Ligi anty-bolszewickiej. Prof. Studnicki oświadczył, że w obecnych okolicznościach nie może współpracować w Lidze anty-kominternowskiej, bez liczenia się z najostrzejszymi atakami ze strony wszystkich warstw narodu polskiego. Aczkolwiek on (Studnicki) zasadniczo przychylnie odnosi się do pomysłu utworzenia ruchu anty-bolszewickiego w Polsce i, wskazywał na swe długoletnie anty-bolszewickie i pro-niemieckie nastawienie, uważał teraźniejszy moment za nienadający się ku temu. Przede wszystkim, musi nareszcie zostać wytworzona inna polityczna atmosfera, jak również inny stosunek między Niemcami a Polakami, zanim możliwy się stanie udział miarodajnych Polaków. Wskazywał on przy tym specjalnie na obecne stosunki w szkolnictwie i w sprawach teatralnych, w dziedzinie prasy i ogólnego bezpieczeństwa ludności polskiej, które częściowo jest gorsze od stanu jaki istniał w 1941 w obwodach, zajętych przez Rosję. Wskazywał on także na aresztowanie hrabiego Ronikiera, uważanego za najbardziej pro-niemieckiego polityka. Jego (Ronikiera) zwolnienie może mieć największe znaczenie dla tego ruchu (anty-kominternowskiego). On (Studnicki) musi, w dzisiejszych warunkach, odrzucić propozycję wciągnięcia go do tego ruchu.

Warszawa, dn. 17 lutego 1944 V 166/195 G
Zapis aktowy. *Tajne*
Dotyczy: Anty-Komintern — Rozmowa z panem Goetlem.

Pan Goetel, były prezes Polskiego Związku Pisarzy, znany jako jeden z najbardziej zdecydowanych wrogów Rosji i bolszewizmu,

wykazał jak zwykle przedtem, stanowisko bardzo otwarte i jasne. Zdecydowany Polak, uważa on, że w dzisiejszym momencie nie może brać udziału w ruchu anty-kominternowskim. Jego żądanie, podobnie jak pana Studnickiego, sprowadza się, przede wszystkim, do tego, że wreszcie musi być wytworzona inna atmosfera, jaka umożliwić mogłaby istotnie prawdziwą rozmowę między Niemcami a Polakami. Uważa on nawet, i musi to stwierdzić, iż w obecnym momencie utworzenie (polskiego) Anty-kominternu nie będzie przychylnie przyjęte przez naród polski i, że każdy współpracujący uważany będzie za kupionego za niemieckie pieniądze zdrajcę sprawy polskiej. Wskazywał on na swój udział w wyjeździe do Katynia, co wywołało przeciw niemu liczne ataki, mimo których, ponieważ nie angażował się zbytnio na zewnątrz w interesie propagandy niemieckiej, wywierał na polską opinię publiczną wpływ jak największy. Jego żądanie zmierza ku temu, aby najwyższa instancja (niemiecka) proklamowała jakiś program nowej Europy, w której również Polska mieć musi swoje miejsce. Jako fakt specjalnie bolesny, wskazywał on na to, że na liście wymienionych Polaków[4] najwyżej 2% to komuniści, podczas kiedy pozostałych 98% to najlepsi reprezentanci uczestników walki z bolszewizmem. Fakt, zresztą, na który wskazywano w rozmowach z innymi panami. Przekonany, że wcześniej czy później musi dojść do porozumienia między narodami niemieckim i polskim, wyraził pan Goetel chętnie swą zgodę do współpracy, skoro tylko wyżej wyszczególnione założenia *(Voraussetzungen)* zostaną spełnione.

Warszawa, dn. 17 lutego 1944 V 166/195 G
Zapis aktowy. *Tajne*
Dotyczy: Anty-Komintern — Rozmowa z panem Skiwskim.

Pan Skiwski wykazał największą, jak dotąd, gotowość współdziałania przy zakładaniu Anty-Kominternu, uważa jednak za wskazane, by propozycja utworzenia Anty-Kominternu została uczyniona w formie zaproszenia, przez stronę urzędową, możliwie z Berlina. Lekki nacisk, jego zdaniem, wywierany na wzięte pod uwagę osoby, mógłby im zmniejszyć część odpowiedzialności wobec narodu polskiego. Również, byłoby bardzo pożądane, aby — choćby nawet w formie ogólnej — została wyrażona możliwość spełnienia niektórych polskich życzeń. Myśli on przy tym o żądaniach w dziedzinie kulturalnej, o pewnej amnestii oraz, przede wszystkim, o niemieckim zapewnieniu, przez najwyższą

4. Którzy mieli być deportowani do obozów koncentracyjnych.

instancję, odpowiedniego narodowi polskiemu miejsca w nowej Europie. Skiwski jest jednak gotów współpracować w Anty-Kominternie nawet bez spełnienia tych żądań.

Bardzo skutecznie, jego (Skiwskiego) zdaniem, podziałaby wiadomość, że były polski prezes ministrów, Kozłowski, który obecnie znajduje się w Berlinie, mógł zostać pozyskany na rzecz Anty-Kominternu.

Józef FREJLICH

Kronika kulturalna

Listy Pasternaka

Z opaską *prima edizione mondiale* — „pierwsze wydanie światowe" — ukazały się we Włoszech *Pisma k gruzinskim druzjam* Borysa Pasternaka (*Lettere agli amici georgiani.* Einaudi 1967). Zebrał je tyfliski krytyk literacki Gieorgij Margwelaszwili, można więc mieć pewną nadzieję że ujrzą w końcu światło dzienne także w Rosji. *Awtobiograficzeskij oczerk*, znany od wielu lat na Zachodzie, dopiero niedawno utorował sobie drogę na łamy *Nowogo Mira.*

Korespondencja Pasternaka z przyjaciółmi w Gruzji zaczęła się w grudniu 1931 roku, a skończyła się na krótko przed jego śmiercią: ostatni list w zbiorze nosi datę 17 marca 1959 roku. Czym stała się dla niego Gruzja w ciągu tych lat, dowiadujemy się z kilku stroniczek *Szkicu autobiograficznego* („symbolizm tradycji ludowych, pełen mistycyzmu i mesjanizmu, który pobudza wyobraźnię i jak w katolickiej Polsce każdego przemienia w poetę"), gdzie wymienieni są również czterej najbliżsi przyjaciele gruzińscy, poeci Paweł Jaszwili, Ticjan Tabidze, Gieorgij Leonidze i Simon Czikowani. Zwłaszcza przyjaźń z Jaszwilim i Tabidze zajmowała ważne miejsce w sercu Pasternaka. W *Szkicu autobiograficznym* czytamy. „Czemu życie zesłało mi tych dwóch ludzi? Jak nazwać nasze stosunki? Obaj byli istotną częścią mego świata indywidualnego. Nie przekładałem jednego nad drugiego, tak byli nierozłączni, tak uzupełniali się nawzajem. Los ich obu, wraz z losem Cwietajewoj, miał się stać największym bólem mego życia".

Bezpośrednią przyczyną nawiązania kontaktu była decyzja Pasternaka tłumaczenia na rosyjski poezji gruzińskiej, i kwestie przekładowe są w listach ciągle poruszane i dyskutowane. Ale im bardziej rozwija się korespondencja, im częściej Pasternak odwiedza Tyflis a jego przyjaciele gruzińscy rewizytują go w Moskwie lub Pieredełkinie, tym więcej rodzinnej prawie intymności wyczuwa się w związkach poety z Gruzją. Już w liście do Pawła

Jaszwili z roku 1932 pisze: „Tyflis, ze wszystkimi których tam widziałem i ze wszystkim co wam przywiozłem i co sam stamtąd wywiozłem, będzie w moich uczuciach tym czym są Chopin, Skrjabin, Marburg, Wenecja i Rilke, jednym z rozdziałów *Ochrannoj gramoty* która trwa dla mnie całe życie". A w liście do Ticjana i Niny Tabidze z roku 1933 dodaje, mając wyraźnie na myśli Gruzję i gruzińskich przyjaciół: „Przywiązywać się do miejsc, do ludzi i do historii dusz jest jedyną rzeczą na której się znam i którą umiem robić".

Wkrótce horyzont pokrywa się chmurami. Na początku roku 1936 Tabidze znalazł się widocznie w jakichś bliżej nieokreślonych opałach, bo w liście Pasternaka do Ticjana i Niny z 8 kwietnia tegoż roku czytamy: „Niech pan nie upada na duchu, Ticjan, trzeba mieć wiarę w siebie i stawiać opór mimo chwilowych nieporozumień... Niech pan wierzy w rewolucję jako całość, w los, w nowe skłonności serca, w widowisko życia, a nie w strukturę Związku Pisarzy: zanim zdąży człowiek kichnąć, zmienią ją na nowo". Było zapewne w tych słowach więcej potrzeby pocieszenia przyjaciela, niż rzeczywistego optymizmu. Pasternak nie mógł nie wiedzieć w jakim kierunku idą wypadki, nie mógł nie widzieć nadciągającej burzy. List z 28 sierpnia 1937 roku do Tamary Jaszwili jest potwierdzeniem wiadomości o „zlikwidowaniu" jej męża. Pasternak nie miał prawdopodobnie od pierwszej chwili wątpliwości co do losów Pawła Jaszwili, skoro pisze w nim tak: „Kiedy po raz tysiączny uprzytamniam sobie że nigdy więcej nie zobaczę tej wspaniałej twarzy o wysokim uduchowionym czole, że nie usłyszę tego głosu który zachwycał samym swoim brzmieniem, płaczę i miotam się w rozpaczy". Tabidze został aresztowany w tym samym roku, ale jego żona przez wiele jeszcze lat łudziła się że żyje i że któregoś dnia wróci z łagrów. Dopiero w roku 1955 nadeszło na ręce wdowy oficjalne zawiadomienie o śmierci męża: nastąpiła ona w roku 1937, w dwa miesiące po aresztowaniu. Oto krótki i piękny list Pasternaka do Niny Tabidze, datowany 4 października 1955: „*Dorogaja Ninoczka*, dziękuję że napisała pani do mnie w takiej chwili. Nie myli się pani co do mnie, zasługuję na to zaufanie: dopóki żyję będę dla pani zawsze oparciem moralnym. Po to żyłem przez cały ten czas, w tym tkwi moja misja. Przeczuwałem zawsze tę straszną prawdę. I to ona określiła moje poglądy, moją postawę wobec epoki i jej głównych przedstawicieli, moje przeznaczenie. Biedny, biedny Ticjan, skazany na męczeństwo, serce mi to zawsze mówiło, podejrzewałem to. Odwagi, droga Nino, chcę by pani żyła, musi pani żyć, potrzebuję pani by zachować jasność, by doprowadzić do końca naszą wspólną odpowiedź, by znieść wszystko. Całuję panią, moja droga i biedna przyjaciółko. Borja".

Nie trudno odgadnąć o jaką to „wspólną odpowiedź" chodziło. Już w liście z roku 1947 do Marii Czikowani znajdujemy tekst *Gwiazdy Narodzenia*, wiersza z załącznika poetyckiego do *Doktora Żiwago* (wiadomo dziś że Pasternak zaczął pisanie powieści

od wierszy bohatera). W roku 1950, u szczytu izolacji i w pierwszym stadium pracy nad książką, pojawiają się w listach znamienne choć mgliste niekiedy aluzje. Wywierano przypuszczalnie nacisk na Pasternaka, żeby w audycji radiowej (przeznaczonej dla zagranicy?) zaprzeczył „pozorom swego męczeństwa", bo w liście z 6 kwietnia do Niny Tabidze pisze: „...niech odblokują moje niewydane dzieła, niech mi pozwolą wejść na podium, a te pozory męczeństwa — dla mnie nie istniejące — same upadną. Jeśli zaś idzie o oświadczenie w eterze że nie jestem męczennikiem, to byłoby ono czystym idiotyzmem. Jestem człowiekiem bardzo dumnym, ale musiałbym być małostkowym zawistnikiem, chełpliwym zerem lub młodym komiwojażerem by uwierzyć po dziennikarsku zarówno w sam eter, jak w możliwość że wie on o mnie i egzystuje dla mnie... Poza tym kiedy ktoś podejrzany o męczeństwo oświadcza że nigdy nie czuł się lepiej, powstaje podejrzenie że został zmuszony do takiej deklaracji torturami". Pierwsze rozdziały powieści budziły chyba wśród przyjaciół tak zwane „mieszane uczucia", skoro list z 18 listopada do Raissy Mikadze zawiera następujący passus: „Nie, moja droga, nawet jeśli znają mnie jeszcze trzy czy cztery osoby na świecie, za rok lub dwa i ich zabraknie. Ale dlaczego nad tym boleć? Ten cień i to naturalne zapomnienie nie są jednak wszystkim. Najbliżsi, najdrożsi i najpewniejsi przyjaciele dostrzegają we mnie coraz częściej oznaki schyłku, zabłąkania i ucieczki w przeciętność moich ostatnich zainteresowań i w prostotę która mnie kosztowała tyle trudu. No cóż, nawet to mnie nie rani. Jeśli jest gdzieś na świecie ktoś kto cierpi, czemuż nie mielibyśmy cierpieć i ja i moja sztuka? Może mają rację moi przyjaciele, może nie. Możliwe, bardzo możliwe, że wyprzedziłem ich tylko na drodze którą sami będą musieli przebyć aby nauczyć się szacunku dla ludzkiego cierpienia i gotowości do dzielenia go... Mówię o tym co jest najbardziej artystycznego w artyście; mówię o ofierze bez której sztuka jest bezużyteczna i skandalicznie absurdalna, bez której dzieła są zewnątrz upudrowane powierzchownym talentem, a wewnątrz opierają się na idei dobrze znanej i przezwyciężonej przez ludzkość odkąd wyszła ona ze stanu dzikości". I wreszcie w liście do Niny Tabidze z 5 grudnia tegoż roku: „Jestem bardziej niż kiedykolwiek zadowolony z mego losu i nie pragnę zmian. Od pewnego czasu wiele z tego co mnie otacza wydaje mi się strasznie małoduszne. Moje życie, gdyby ktoś tego chciał, mogłoby się zmienić dzięki wielkoduszności która ogarnęłaby coś więcej niż tylko moje życie, ale wszystko zależy właśnie od tej wielkiej duszy której nie znam; co do mnie, nie potrafię zachowywać się inaczej i ta niezmienność napełnia mnie szczęściem". W roku 1951, w liście do Niny Tabidze, następuje jakby oczyszczenie i uspokojenie tego tonu: „Moja najlepsza przyjaciółko, mój skarbie, jestem przygotowany na wszystko w każdej chwili. Ale gdy umrę i zostanie moje życie, tak szczęśliwe, za które jestem tak wdzięczny niebu, jak księga pełne cichego i stężonego znaczenia, co w nim okaże się naprawdę ważne i głę-

bokie? Przykład aktywności mego ojca, miłość do muzyki i do A. N. Skrjabina, dwie trzy nowe nuty w mojej sztuce, rosyjska noc na wsi, rewolucja i Gruzja". W latach 1952-1953 *Doktor Żiwago* rozwija wszystkie żagle. Z listu do Simona Czikowani: „Posunąłem naprzód, o nową część, prozę nad którą obecnie pracuję; dziesięć dni temu przeczytałem ją w gronie bliskich przyjaciół" (m.in. Achmatowa i córka Skrjabina). Z listu do Niny Tabidze: „Pochłania mnie całkowicie moja proza i jestem przekonany że to jedyna rzecz którą muszę zrobić". W roku 1955, jak widzieliśmy, długotrwała żegluga (a wraz z nią „wspólna odpowiedź") jest już bliska końca. Począwszy od roku 1957, czyli od ukazania się pierwszego na świecie wydania włoskiego powieści, listy do przyjaciół w Gruzji powściąga większa ostrożność. Pasternak nie wątpił jednak o słuszności obranej przez siebie drogi. 24 maja 1958 roku pisze do historyka literatury Garegina Bebutowa. „Jest dość prawdopodobne że w wiele lat po mojej śmierci stanie się jasne jak rozległym, bardzo rozległym zasadom posłuszna była moja działalność pisarska w ostatnich latach, czym się żywiła i karmiła, czemu służyła i jaki przyniosła pożytek".

Ostatni w książce list, z datą 17 marca 1959 roku, skierowany jest do Gieorgija Margwelaszwili. Minęło zaledwie kilka miesięcy od przyznania autorowi *Doktora Żiwago* (i odrzucenia przez niego pod przymusem) Nagrody Nobla, oraz od linczu jaki mu zgotowali „koledzy" ze Związku Pisarzy Sowieckich. List, a zarazem cały tom korespondencji z przyjaciółmi gruzińskimi, zamykają dwa zdania: „Wróciwszy do domu, zastałem zapowiedź niebezpieczeństw i cierpienia. Ale na całym świecie trzeba płacić, jeśli się chce zachować prawo do życia czystymi rezerwami duchowymi".

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Niebezpieczna rewizja prawa autorskiego

Po pięciotygodniowych obradach zakończyła się 14 lipca w Sztokholmie międzynarodowa konferencja w sprawie „własności intelektualnej". Podpisano na niej 7 konwencji, z których jedna dotyczy prawa autorskiego. Zanim dojdzie do jej ratyfikacji, związki literatów, plastyków, muzyków i wydawców w poszczególnych państwach będą miały wszelkie powody do mobilizowania własnych sił i budzenia opinii publicznej, aby nie dopuścić do wydrążenia treści praw autorskich uświęconych długą tradycją.

Międzynarodowe uznanie prawa autorskiego datuje się od roku 1886, czyli od konwencji berneńskiej, na której powstała Unia państw, które przyjęły jej normy. Jest ich dzisiaj około 60, reprezentują one wszystkie kontynenty, ale ciężar gatunkowy Unii był i jest w Europie. Nie przystąpiły do niej Sowiety, które od samego początku swego istnienia stosowały pirackie przedruki i tłumaczenia obcych autorów. Ze względów formalno-prawnych nie podpisały konwencji Stany Zjednoczone. Nie należą do Unii Chiny, z małymi wyjątkami pozostają poza nią kraje Trzeciego Świata, ale pozostały jej członkami komunistyczne państwa europejskie (z wyjątkiem Albanii. Status NRD jest prawnie niewyjaśniony).

Oprócz konwencji berneńskiej istnieje jeszcze prymitywna konwencja UNESCO z 1952, która określa w zasadzie tylko dwie zasady: czas ochrony dzieła i prawo autora do przekładów. Podpisały ją Stany Zjednoczone, oraz prawie wszystkie państwa Unii.

Konwencja berneńska i zbudowana na jej zasadach Unia przechowywały prawo autorskie tak, jak stara omszała beczka chroni dobrego węgrzyna: im starsza, tym lepsza była ich zawartość. Konwencję rewidowano czterokrotnie: w r. 1896 w Paryżu, w r. 1908 w Berlinie, w r. 1928 w Rzymie i w r. 1948 w Brukseli. Wszystkie kolejne zmiany i poprawki zmierzały jednak konsekwentnie w jednym kierunku: pogłębienia i rozszerzenia praw twórcy do dzieła i ewentualnych korzyści ekonomicznych, jakie mogło mu ono przynieść.

Od czasu konferencji brukselskiej z roku 1948 nastąpiły jednak w świecie głębokie zmiany techniczne i polityczne, które z różnych powodów stworzyły zagrożenie, okrążenie praw autorskich.

Technicznie z niewinnych dzieciątek wyrosły dwa smoki o nienasyconym apetycie, którym prawo autorskie stanęło na przeszkodzie w ich planach: radio i telewizja. Sprzymierzyły się z nimi wielkie agencje prasowe, które zdążyły strawić bez większych kłopotów szerokie rzesze niezależnych dziennikarzy; teraz przyszła kolej na literatów, artystów i muzyków.

Politycznie doszły do głosu potężne moce niechętne wolności „gryzmołków" i artystów. Związek Sowiecki, największy potentat pirackich przedruków i tłumaczeń, wyszedł ze swej jaskini, porzucił izolację i daje do zrozumienia, że byłby gotów przystąpić do Unii... gdyby zmieniono jej postanowienia. Prawdopodobnie chodzi tutaj o zabezpieczenie sobie dochodów z tłumaczeń wcale dzisiaj niemałej rosyjskiej literatury technicznej. Tak przynajmniej przypuszcza „The Guardian".

Kraje Trzeciego Świata domagają się prawa bezpłatnego korzystania z dorobku literackiego i naukowego Zachodu.

We wszystkich prawie krajach wzrasta tendencja państwa do

ograniczenia praw autorskich w imię „uzasadnionego interesu publicznego". Specjalną popularnością cieszy się np. wywłaszczenie autora w imię „interesu informowania opinii publicznej i dla celów oświatowych". Przed konferencją sztokholmską broniło tej tezy wielu kongresmanów w Stanach Zjednoczonych.

Równocześnie wzrastał materialny nacisk piratów na stary świat. Ośrodki pirackich przedruków odgrywały coraz większą rolę na międzynarodowym rynku księgarskim. Przykładowo można wspomnieć, że np. Formoza sprzedaje międzynarodowe dzieła naukowe w języku angielskim (między nimi „Encyklopedia Britannica") po połowie ceny, Japonia chroni prawo autora do tłumaczeń tylko przez 10 lat itd.

Nie wszyscy przedstawiciele Zachodu wytrzymali nerwowo nacisk tych czynników. Było sporo zwolenników rewizji konwencji berneńskiej w duchu osłabienia jej postanowień. Tłumaczyło się to przekonaniem, że lepiej będzie mieć gorsze prawo autorskie, ale rozciągające się na większą część kurczącego się świata. Obok tego poważną rolę odgrywał pogląd idealistów, że trzeba złożyć pewne ofiary na ołtarzu postępu i poczynić ustępstwa krajom Trzeciego Świata. Przeciwnicy podkreślali słusznie, że politycy każą płacić cenę tych ustępstw twórcom, którzy z własnej woli sporo już zdziałali dla narodów zacofanych, a z reguły nie należą do bogaczy, których stać na ofiary ekonomiczne.

Po raz pierwszy w dziejach Unii konferencja odbywała się pod znakiem generalnego ataku na prawa twórcy. Wynik był oczywiście z góry przesądzony, bo w obradach uczestniczyli z prawem decydującego głosu delegaci rządów, a nieliczni przedstawiciele organizacji literatów, artystów, czy wydawców mogli najwyżej wypowiadać się w dyskusji. Niemniej, dzięki opozycji państw o starych tradycjach kulturalnych, zwycięstwo to nie było pełne i przejawiło się w formie wstydliwie utajonych upoważnień dla państw członkowskich do wprowadzenia we własnym ustawodawstwie wyjątków od ogólnie przyjętych zasad.

Nie wszystkie postanowienia nowej konwencji oznaczają jednak krok wstecz. Wspomnijmy więc na początek o dwu przyjemnych zmianach: powszechne uznanie moralnych praw twórcy i określenie praw autorskich emigrantów.

Postanowienia art. 3 konwencji przyznają pełną ochronę praw autorskich w obrębie Unii wszystkim osobom bez względu na narodowość, które albo opublikowały po raz pierwszy swe dzieło w kraju członkowskim Unii (ustęp 1 b) albo mają miejsce zamieszkania w takim kraju (ustęp 2). Dla ścisłości warto dodać, że przez „publikację" nie uważa się przedstawienia teatralnego, koncertu, publicznej recytacji, programu radiowego, ani telewizyjnego, wystawy itp. Utwór uchodzi prawnie za „opublikowany" po „udostępnieniu" go publicznie w takiej formie, aby „zaspokoił uzasadnione zapotrzebowanie publiczności". Krajem pierwszego wydania dzieła będzie kraj Unii, o ile opublikowano w nim dzieło co najmniej w ciągu 30 dni od wydania po raz pierwszy w kraju poza-unijnym.

Odmienne postanowienia dotyczą filmu i architektury. Producent filmowy korzysta z ochrony prawa autorskiego bez względu na miejsce zamieszkania, jeśli jego wytwórnia ma siedzibę w jednym z krajów Unii, architekt (względnie inny artysta uczestniczący w dziele architektonicznym) odnośnie budynku na terenie takiego kraju.

Prawo moralne twórcy, to znaczy uznanie autorstwa dzieła, obowiązek powoływania się na nie przy cytatach, zakaz zmian, przeróbek, plagiatu, etc. nie było dotychczas powszechnie uznane przez wszystkie kraje. Tak np. Wielka Brytania uznaje ochronę tego prawa tylko w okresie życia twórcy. Obecnie konwencja wprowadziła zasadę, że prawo to obowiązuje tak długo, jak długo trwa ochrona praw ekonomicznych, a więc przez 50 lat od śmierci autora dzieła literackiego, plastycznego, lub utworu muzycznego, a 25 lat w stosunku do fotografii artystycznej. I tutaj wprowadzono jednak wyjątek: państwa, które poprzednio (jak W. Brytania) uznawały krótszy okres ochrony prawa moralnego, mogą utrzymać go nadal. Postanowienie to uniemożliwia jednak rozszerzanie wyjątków na przyszłość.

Dalsze postanowienia sztokholmskiego tekstu konwencji przypominają, niestety, do złudzenia Orwellowskie: „Wszystkie zwierzęta są równe... ale niektóre są równiejsze". Artykuł po artykule zaczyna się piękną zasadą w rodzaju:

„Twórcy dzieł literackich i artystycznych chronionych niniejszą konwencją będą mieli wyłączne prawo upoważniania kogokolwiek do reprodukcji ich dzieł, w jakiejkolwiek miałaby ona nastąpić formie" (Art. 9 ustęp 1).

I zaraz potem, w następnym ustępie konwencja upoważnia wszystkie członkowskie państwa do wprowadzenia w swoim ustawodawstwie wyjątków od tego „wyłącznego prawa":

„W kompetencji ustawodawstwa poszczególnych państw Unii pozostaje zezwolenie na reprodukcję takich utworów w pewnych specjalnych wypadkach pod warunkiem, że nie będzie ona kolidowała z normalną eksploatacją dzieła ani też nie będzie nadmiernie naruszała godziwych interesów autora" (Art. 9 ustęp 2).

Powstaje oczywiście od razu pytanie, co to jest „normalna eksploatacja dzieła", co oznacza „nadmierne naruszenie godziwych interesów autora" (czyżby istniały też „niegodziwe interesy?") i kto będzie o tym decydował? — Budzi się uzasadnione podejrzenie, że nie twórca, tylko państwo, rząd, minister, albo nawet policja.

Tego rodzaju wyjątki nie wzbudziły poważniejszych obaw u przedstawicieli państw zachodnich z humanitarnymi tradycjami. Kto zna jednak inne ustroje, ten może dostać gęsiej skórki przy czytaniu całego katalogu takich upoważnień do wprowadzania wyjątków.

Art. 10 ust. 2 postanawia, że każde państwo może (obok zwyczajowego prawa cytatów) wprowadzić upoważnienia wykorzystywania dzieła „w rozmiarach uzasadnionych potrzebą" w publikacjach, programach radiowych lub telewizyjnych, lub filmach dla

celów oświatowych. Postanowienie to nie wyklucza, zdaniem uczestników konferencji, wykorzystywania utworu w całości bez grosza honorarium dla autora.

Postanowienie to nie dotyczy utworów dramatycznych i muzycznych, ale znowu art. 13 upoważnia wszystkie państwa do wprowadzenia wyjątków od tej zasady.

Ten sam artykuł (bis) postanawia dalej, że każde państwo może wprowadzić bez zgody autora wyjątkowe upoważnienia przedruku i innego wykorzystania artykułów w prasie i periodykach, radio i telewizji na tematy polityczne, ekonomiczne i religijne, o ile nie zastrzeżono wyraźnie ich *copyright*.

Ust. 2 tegoż artykułu zezwala na publikacje w podobnych warunkach dzieł sztuki w prasie, filmie, telewizji, etc. „dla celów informacyjnych".

Art. 11 postanawia, że autor jest jedynie upoważniony do zezwolenia na wykonanie swego utworu w prasie, radio, telewizji lub filmie, ale znowu każde państwo może pozbawić go tego prawa pod warunkiem, że zapłaci mu honorarium, które będzie określone „przez właściwą władzę".

Już na podstawie tych kilku przykładów można by nazwać sztokholmski tekst „dziurawą konwencją". Wprowadza ona tyle furtek, możliwości odstępstw od pięknych zasad, że gubi się w nich to, co powinno być przewodnią myślą konwencji: zapewnienie autorom pewnego minimum ochrony prawnej we wszystkich państwach członkowskich. Stworzono te dziwaczne wyjątki w nadziei, że skłonią one do przystąpienia do Unii państw, które nie należą do niej, bo nie chciały przyjąć na siebie zobowiązań wynikających z członkostwa. Jaki będzie z tego skutek, trudno przewidzieć; może uda się nawet pozyskać kilku nowych członków. Niebezpieczeństwo jednak grozi, że odbędzie się to za cenę obniżenia ochrony prawa autorskiego w starych bastionach kulturalnych, gdzie zdobyło ono sobie pełne poparcie opinii publicznej i uchodziło za nienaruszalne.

Ciekawe, ale niezbyt chwalebne jest postanowienie art. 6, upoważniającego państwa członkowskie Unii do stosowania represji w stosunku do autorów — obywateli państw nie uznających prawa autorskiego. Tak więc np. każde państwo zachodnie będzie mogło w przyszłości jednostronną ustawą upoważnić własnych wydawców do pirackich wydawnictw autorów sowieckich. Represja uderza oczywiście w pierwszym rzędzie nie w państwo, tylko w rosyjskiego twórcę i przypomina do złudzenia zasadę: „Jeśli ty będziesz bił mojego Żyda, ja będę bił twojego Żyda".

Konwencja ustala czas ochrony utworu na 50 lat od śmierci autora, ale uznaje prawo krajów, które dotychczas stosowały krótszy okres, członków Unii, do zachowania tego okresu. Chodzi tu o Polskę i Bułgarię. Okres ochrony filmu wynosi 50 lat od chwili jego premiery, względnie, jeśli taka się nie odbyła, od chwili ukończenia filmu. Fotografiom artystycznym przyznano okres ochrony przez 25 lat.

Na wniosek krajów niedorozwiniętych wprowadzono ochronę utworów nieznanych autorów lub anonimowych. Chodzi tu przede wszystkim o dzieła sztuki ludowej, muzykę folklorystyczną itp. Prawa autorskie takich utworów będzie chroniła instytucja wyznaczona przez każde poszczególne państwo, która będzie też upoważniona do pobierania honorariów autorskich. Okres ochrony trwa 50 lat i zaczyna się od chwili, kiedy dany utwór stał się dostępny dla publiczności.

Od ustawodawstw poszczególnych państw zależne będzie obecnie, czy otworzą one jedną, czy kilka dziur, przez którą wyciekać będą prawa autorskie, czy też może nawet wykorzystają wszystkie możliwości konwencji i przemienią ją w sito, przez które przeleci wszelka ochrona tych praw. Będzie poważnym zadaniem prasy, organizacji twórczych, związków, wydawców itp. czuwać nad rozwojem w każdym poszczególnym państwie, aby uratować, co się da, z tak podziurawionego prawa autorskiego.

Najbardziej spornym działem konwencji był tak zwany protokół dotyczący krajów Trzeciego Świata (właściwa formuła „rozwijających się"). Na początku konferencji kraje te domagały się przyznania im nieograniczonego prawa wydawania u siebie tłumaczeń motywując to tym, że nie stać ich na opłacanie wysokich honorariów autorom bogatego świata zachodniego. Przeciw temu żądaniu podniesiono zarzut, że trudno wymagać właśnie od twórców, aby z należnych im honorariów finansowali rozwój oświaty Trzeciego Świata. Były wnioski, aby autorom przyznać kompensatę z międzynarodowych funduszów. Ostatecznie stworzono wątpliwy kompromis: kraje Trzeciego Świata będą płaciły autorom honorarium w wysokości i stosownie do norm przyjętych we własnym kraju, ale nie pytając ich o zgodę i ustalając je jednostronnie.

Za „rozwojowe" uważane będą te kraje, które znajdują się na odpowiednim spisie ONZ. Jest ich ponad 80, a między nimi spotykamy np. Wenezuelę, Jugosławię i Argentynę, Meksyk i Urugwaj. (Te trzy ostatnie oświadczyły jednak, że rezygnują z przywilejów protokołu).

Kraje Trzeciego Świata mogą, jeśli zechcą, skrócić okres ochrony dzieła literackiego i artystycznego z lat 50 na 25, fotografii z 25 na 10 lat.

Jeśli w ciągu 10 lat od ukazania się dzieła nie będzie ono przetłumaczone na język kraju Trzeciego Świata, wygasa prawo autora do wyłączności tłumaczenia.

Niezależnie od tego państwo Trzeciego Świata może wydać tłumaczenie dzieła, jeśli autor odmówił na nie zezwolenia (bo nie mógł np. dojść do porozumienia w sprawie honorarium) w przeciągu trzech lat od chwili ukazania się oryginału. Honorarium autorskie za takie tłumaczenie ustalają władze takiego kraju według „własnych norm". Tłumaczenie takie może być eksportowane później do wszystkich innych krajów Trzeciego Świata, które posługują się tym samym językiem. Władze tych państw mają prawo zawiesić prawa autorskie w odniesieniu do utwo-

rów wykonanych w radio, o ile nie jest to program komercjalny. Dla celów oświatowych i naukowobadawczych mogą one zawiesić prawa autorskie bez wszelkich ograniczeń. Wydawnictwa tego rodzaju mogą być eksportowane do innych krajów Trzeciego Świata. Honorarium za tego rodzaju wydawnictwa bez zgody autora ustalają znowu władze danego kraju „według przyjętych u siebie norm". Prawo zawieszania prawa autorskiego przysługuje tym krajom jeszcze przez 6 lat od chwili, gdy zostaną skreślone z odpowiedniej listy ONZ.

Sztokholmski tekst konwencji i protokołu spotkał się z ostrą krytyką przede wszystkim w krajach tradycyjnego eksportu kultury, jak Anglia i Francja. Wydawcy angielscy twierdzą, że nowy tekst spowoduje dla nich roczne straty w wysokości 10 milionów funtów.

W Stanach Zjednoczonych konferencję sztokholmską poprzedziła ożywiona debata. Niektórzy kongresmani bronili zdania, że należy obalić prawa autorskie w stosunku do wszelkich potrzeb natury oświatowo-naukowej, co oczywiście spotkało się z protestem literatów, artystów i wydawców. Konwencja sztokholmska wprowadziła ustępstwo na rzecz Stanów Zjednoczonych, upoważniające państwa członkowskie do wprowadzenia zastrzeżenia, że prawo autorskie dotyczy tylko dzieł, które przybrały „materialną formę". Jest to zastrzeżenie konstytucji amerykańskiej, a wyjątek ten ma umożliwić Stanom podpisanie konwencji.

Na marginesie protokołu w sprawach krajów Trzeciego Świata warto dodać, że nikt nie pomyślał nawet przez chwilę, aby zwolnić lub rozluźnić o wiele dla nich ważniejsze patenty przemysłowe. Zrobiono tym krajom prezent z cudzej kieszeni i to z kieszeni ubogich literatów i artystów, którzy sami w ramach swoich możliwości zdziałali wiele dla obalenia kolonialnego wyzysku. Tak to już jednak bywa, że gdy urządza się bazar dla biednych, nikt nie zwraca się z żądaniem ofiar do przemysłowców, ale wszyscy pukają do drzwi artystów, aby ofiarowali obraz, względnie do głodujących literatów, aby napisali wiersz, czy apel. Na ogół nie spotykają się z odmową, ale byłoby przyzwoiciej, gdyby pozostawione im prawo złożenia własnej ofiary, zamiast dysponować bez upoważnienia ich własnością.

Michał LISIŃSKI

Owen, Douglas i poezja wojny

Określenie „poeta wojenny" jest wynalazkiem naszych czasów. Dawniej, każdy poeta mógł uchodzić za takiego, jeżeli tylko

aspirował do naśladowania niekończących się opisów rękoczynów w *Iliadzie*. Aspiracje te żywiło wielu od Wergiliusza po Victora Hugo. Dziś jest inaczej, przestaliśmy kojarzyć wojnę z heroicznymi turniejami rycerzy. W XX wieku poeci albo na ten temat milczą, albo też wiersze ich są kroniką gwałtu i krzykiem protestu.

Ten nowy anty-bohaterski stosunek do kataklizmów wojny totalnej obserwujemy np. w poezji Polaków i Anglików, którzy zginęli młodo w pierwszej i drugiej wojnie światowej. Rupert Brooke, który umiera od zarazy we wczesnym okresie pierwszej wojny, pisze jeszcze w słynnym sonecie: „Jeśli umrę, pamiętajcie, że jest gdzieś skrawek ziemi, który na zawsze pozostanie cząstką Anglii". Ale jest to dosłownie ostatni utwór utrzymany w tonie egzaltowanego patriotyzmu. Wkrótce każdorazowe przesunięcie frontu zachodniego o kilkaset metrów odbywać się będzie kosztem tysięcy ofiar i Robert Owen, który mając 25 lat zginie na tydzień przed zawieszeniem broni, napisze z nieukrywanym gniewem:

Jakież podzwonne pożegna tych, co jak bydło dziś giną?
... Nie szydzić z nich modlitwami, nie szydzić z nich biciem dzwonów.
Żałobny się nie podniesie po nich ni lament, ni pienie, —
Jedynie tych obłąkanych pocisków chór-zawodzenie
I trąbek granie ich wzywa z posępnych ‚dalekich regionów[1].

W szkicu przedmowy do projektowanego zbioru wierszy, który znaleziono w jego papierach, Owen oznajmia stanowczo: „To nie jest książka o bohaterach... ani też o chwale, honorze, potędze, majestacie, władzy czy sile: dotyczy wojny jako takiej... Dziś poeta może jedynie przestrzegać. Dlatego prawdziwi poeci muszą mówić prawdę"[2]. Nie widzą walki o dobrą sprawę, tylko gigantyczną rzeź. W jednym z najlepiej znanych wierszy Owena dwie postacie spotykają się w podziemiu, które przypomina kretowisko okopów, a w rzeczywistości jest dantejskim piekłem. Są to duchy zabitych właśnie żołnierzy:

„Dziwny przyjacielu",
Rzekłem, „tu nie ma już czego żałować".
„Nie ma" powiedział, „chyba niedożytych
Lat i nadziei, co się nie spełniły..."

Wiersz kończy się słowami:

„Jam wróg, któregoś ty zabił, mój bracie.
Poznałem cię w tej śmierci, bo tak się skrzywiłeś

1. Cytaty z wierszy Owena są w przekładzie Józefa Wittlina („Czas niepokoju", Nowy Jork, 1958).
2. „The Poems of Wilfred Owen" (ed. E. Blunden, Londyn 1952).

Wczoraj... gdyś dźgał, gdyś zabijał.
Jam odparował cios, lecz moje ręce
Były ospałe i zimne".

Nawet ci, którzy później pisują wyłącznie prozę, we wczesnej młodości komponują wiersze. Poezja zdaje się umożliwiać większą spontaniczność uczuć i prawdomówność. W ogniu walki poeci, i oczywiście nie tylko poeci, dojrzewają nagle, zdawałoby się w przeciągu kilku dni. Owen początkowo pisze poezję przesyconą rozmarzonym sensualizmem wierszy Keatsa, lecz doświadczenia na froncie wnet ją oczyszczają, zostawiając ją suchą, gorzką i chłodną w swym świadomie narzuconym obiektywizmie.

Podobną ewolucję możemy prześledzić w twórczości innego młodego Anglika, który zginął podczas inwazji Normandii w 1944 roku w 24-tym roku życia. Keith Douglas przerywa studia w Oksfordzie i zaciąga się do dywizji pancernej walczącej w północnej Afryce, gdzie służy jako dowódca czołgu. Charakterystyczną poezję młodzieńczego sentymentu od razu zastępują wstrząsające w swej prostocie i lakonicznym realizmie obserwacje[3]:

Piotr niestety zabity kulą pepanc:
zabrała mu nogę, umarł w ambulansie.
Widziałem jak sunął po piasku; powiedział
„To nie jest fair; odstrzelili mi nogę".

W wierszu „Umarli" Douglas komentuje:

dziś w nocy
spoczywają być może w higienicznej
ziemi, lub tam, gdzie padli,
gdzie ich nikt nie znalazł,
lub w płytkich grobach, gdzie wywęszył ich
dziki pies, rwąc na posiłek twarz lub nogę.

Podobnie jak Owen, Douglas wie, że śmierć wszystkich wyrównuje, że trudno wówczas pałać miłością do swoich, a unosić się gniewem na nieprzyjaciela. Oto w wieżyczce czołgu leży młody Niemiec, którego kula tak niedawno trafiła w czołg poety.

Patrz — notuje Douglas — *tu leży*
zbeszczeszczona fotografia jego dziewczyny,
na odwrocie kaligraficznym gotyckim skryptem
napis: „Steffi, pamiętaj o mnie".
Dziś zapłakałaby na widok smagłych much
na jego skórze. Tu w jednym ciele,
w jednym sercu, zabójca z kochankiem
złączony.

3. Cytaty poetyckie pochodzą z „Collected Poems" (Londyn, 1951), cytaty prozą z „Alamein to Zem Zem" (Londyn, 1946).

Oprócz wierszy, w dorobku Douglasa znajduje się bardzo żywo napisany dziennik z kampanii afrykańskiej. I ten dziennik właśnie podważa powszechne przekonanie, że poezja daje młodemu pisarzowi pełniejsze możliwości wyrazu artystycznego, ponieważ właśnie w prozie Douglas osiąga równowagę stylistyczną i pełnię ekspresji, którą nie zawsze udało mu się uzyskać w poezji. Czytając dziennik, zapoznajemy się z surowym materiałem, z którego Douglas destylował poezję, ale równocześnie przyznajemy, że dziennik daje nam może pełniejszy, dojrzalszy obraz poety:

„Załoga czołgu była, że tak powiem, rozmieszczona wokół wieżyczki. W pierwszej chwili trudno było zorientować się w układzie członków: leżeli w nieporadnym uścisku, ich białe twarze bielsze jeszcze, tak jak to zwykle bywa z trupami na pustyni, ze względu na lekkie upudrowanie piaskiem. Wokół nich unosiła się ta niespenetrowana cisza, dzięki której umarli wymuszają od nas cześć.

Wzięty do niewoli Niemiec powiedział, że nie wierzy opowiadaniom o bestialstwie rodaków w Polsce i w Rosji, i zapewne mówił prawdę. Dlaczegóżby miał cośkolwiek o tym wiedzieć? System niemiecki zdaje się dążyć do wyodrębnienia zbrodniarzy i przestępców, by posługiwać się nimi zdala od pola działań uczciwych żołnierzy".

Poety? Douglas zwierza się co prawda w jednym miejscu w dzienniku: „nagle uświadomiłem sobie, że jestem pod wrażeniem, że jutro umrę", ale natychmiast wyjaśnia: „tak dawała znać o sobie moja dramatyczna i uczuciowa strona, ale moje poczucie proporcji i humoru wnet przepędziły tragicznego poetę". Więc z lektury dziennika nie odgadlibyśmy, że ten odważny, energiczny, praktycznie myślący młody człowiek miewa chwile introspekcji, w których komponuje wiersze!

I tu dotykamy ciekawych różnic między tymi poetami angielskimi a ich polskimi rówieśnikami, Baczyńskim, Gajcym, Borowskim, Stroińskim. Podczas wojny Owen, a później Douglas mieli opinię dzielnych oficerów, o ich twórczości poetyckiej wiedziało niewielu. Tymczasem ci polscy poeci byli głosem i sumieniem narodu. Ponadto, Anglicy mogli pozwolić sobie na bardziej obiektywną postawę wobec gorzkich prawd wojny, ale to dlatego, że warunki walki dyktowały charakter poetyckiego wyrazu, że na froncie zachodnim czy w pustyni alianci walczyli z Niemcami jak równy z równym. Dlatego Owen i Douglas, gdy eksploatowali w swej poezji grozę wojny, mogli zdobyć się na bezstronną opinię w imię wartości ogólnoludzkich.

A Polacy oczywiście walczyli desperacko z barbarzyńskim, przytłaczająco silniejszym, najeźdźcą. Stąd w poezji Baczyńskiego i Gajcego wizje apokaliptyczne i ton patosu, który tylko czasami pobrzmiewa w wierszach Owena, którego brak zupełnie w poezji Douglasa. Dlatego Stroiński musiał w swej twórczości uwzględnić fakt że:

na wyciągniętych, podartych rękach, gałęziach, korzeniach
bezładnie szczątki zwisają kochanek, matek i żon.

Dlatego w wierszach Borowskiego powraca obsesyjne przekonanie, że należy do pokolenia męczonych bestialsko niewolników, że żyje w epoce, o której, ze względu na jej okrucieństwa, zapomni historia:

przeminie żelazny krok, chorągwie dymu się zetlą,
umilknie kobiet pisk...
pomniki nasze i bronie — i tarcze pójdą na łom,
i ślady zawieje wiatr. Wnuk nasz z kobiety zrodzony,
zwycięzcy i niewolnika imion zapomni na zawsze.

W innym wierszu Borowski pisze, że „nasz wiek„, przeklęty wiek... rzuca wezwanie przyszłym wiekom...". A więc jednak, podobnie jak Owen i Douglas, Borowski próbuje spojrzeć na swoje czasy z lotu ptaka. Ale w pełni udało mu się to w prozie, w tych brutalnych opowiadaniach, obozowych, w których narratorem jest kapo, zajmujący pośrednie miejsce między ofiarą a oprawcą.

Adam CZERNIAWSKI

Dwie konferencje slawistyczne

W czerwcu br. miały miejsce w Ottawie dwie konferencje, poświęcone zagadnieniom słowiańskim. Pierwszą, w dniach 9-11 czerwca była tzw. „druga konferencja o kanadyjskich Słowianach" *(on Canadian Slavs)*, zorganizowana przez międzyuniwersytecki komitet. (Przypominamy, że pierwsza odbyła się w dniach 9-12 czerwca 1965 r. w Banff, Alberta). Konferencje te — aczkolwiek organizowane przez komitet uniwersytecki — nie miały charakteru akademickiego. Zresztą — jak się wydaje — celem ich jest raczej wymiana poglądów nie tylko między naukowcami, zajmującymi się zagadnieniami słowiańskimi — ściślej problematyką kanadyjskich Słowian — ale także między działaczami społecznymi grup słowiańskich. Takie spotkania — nawet raz na dwa lata — są niewątpliwie pożyteczne i mogłyby spełniać poważną rolę na odcinku współżycia, wzajemnego zrozumienia i współpracy grup słowiańskich, ale, ażeby spełniać te zadania, muszą być odpowiednio przygotowane. Otóż, trudno oprzeć się wrażeniu, że — jak dotychczas przynajmniej — jest w nich zbyt dużo przypadkowości. Nie sądzę, że odpowiedzialność za to ponoszą organizatorzy. Przypuszczam raczej, że mimo znacznych wysiłków nie udało im się po prostu zjednać odpowiednich zwolenników dla swojej koncepcji. Niewątpliwie dalsza praca nad przygotowaniem konferencyj jest konieczna. Nie należy zaniechać próby szerszych spotkań tego

typu, tym bardziej, że istnienie międzyuniwersyteckiego komitetu dla spraw Słowian w Kanadzie jest niewątpliwie doskonałą bazą do tego rodzaju pracy. Biorąc jednak pod uwagę, że formalne założenia celu takich konferencji przewidują m.in. koordynację naukowych badań nad wszystkimi aspektami życia słowiańskiego w Kanadzie, wspieranie naukowych publikacji o kanadyjskich Słowianach, ubieganie się na ten cel o dotacje państwowe, samorządowe, uniwersyteckie itp., oraz współpracę z naukowymi towarzystwami czy uczonymi posiadającymi podobne zainteresowania — należy przede wszystkim zbadać czy jest jakaś grupa słowiańska — i jaka — której zainteresowania są szersze niż powyżej wymienione. Jeżeli takiej grupy nie ma to, ponieważ szersze zagadnienia, wykraczające poza sprawy ściśle naukowe, nie interesują zupełnie slawistów niesłowiańskiego pochodzenia, znaczenie tych dwurocznych spotkań będzie minimalne.

Konferencja, która miała miejsce w tym roku, była o wiele słabsza niż poprzednia, zarówno jeżeli idzie o tematykę jak i poziom referatów. Niektóre z nich nie wykraczały w ogóle poza seminaryjne opracowania, inne dotyczyły spraw zupełnie drugorzędnych, wreszcie uderzał całkowity brak równowagi jeżeli idzie o podział referatów według grup etnicznych.

Doceniam w pełni znaczenie grupy ukraińskiej, ale na 35 wygłoszonych referatów 13 dotyczyło spraw wyłącznie ukraińskich. Gdyby jeszcze *spraw* byłoby pół biedy! Były to jednak problemaciki takie jak np. ukraińskie kasy spółdzielcze w Kanadzie, znaczenie Ukraińsko-Kanadyjskiego Komitetu w społeczeństwie kanadyjskim, ukraińska architektura kościelna w Kanadzie, itp. (Nawiasem należy dodać, że nie tylko grupa ukraińska zaprezentowała marginesowe referaty). Naturalnie, niezależnie od wymienionych, nienadających się na tego rodzaju spotkania, odczytów, było także kilka referatów naukowców ukraińskich na tematy ogólnosłowiańskie.

Grupa polska miała 5 referatów z czego 3 sprawozdawcze: *T. Krychowski* przedstawił zarys prac Polskiego Instytutu Badawczego w Kanadzie wraz z jego składem osobowym; *W. Krajewski* dał zwięzły zarys działalności Kongresu Polonii Kanadyjskiej; *E. Kosko* omówił działalność Stowarzyszenia Techników Polskich w Kanadzie i wkład polskich inżynierów w rozwój tego kraju; *A. Jaworski* wygłosił ciekawy referat o ludności polskiego pochodzenia w Stanach Zjednoczonych, zaś *T. Domaradzki* mówił o slawistyce w Quebecu.

Należy podkreślić, że referaty przedstawicieli liczebnie słabych grup etnicznych, jak chorwacka, słoweńska czy bułgarska, były dobrze opracowane, umiejętnie uwypuklając znaczenie tych grup.

Fakt, że np. Czechosłowacja w okresie między dwiema wojnami miała na arenie międzynarodowej znacznie silniejszą pozycję niżby to mogło wynikać z obiektywnych danych jest zasługą przede wszystkim — jeżeli nie wyłącznie — dra E. Benesza. Otóż jeżeli niedługo w Kanadzie ustali się pogląd, że najwybitniejszą i najbardziej zasłużoną dla rozwoju Kanady grupą etniczną są Słowacy — będzie to wyłącznie zasługą dra Józefa Kirschbauma. Śledzi on każdy najmniejszy ślad słowackich imigrantów, ożywiając nawet tych, których świadomość narodowa była więcej niż wątpliwa. Niestety nie wszystkie grupy narodowe posiadają tak żarliwych — a jednocześnie tak świetnie naukowo przygotowanych — historyków jak Słowacy w osobie dra Kirschbauma.

Zebranie dyskusyjne na temat dwukulturowości i dwujęzyczności wykazało, że większość hołduje zasadzie wielokulturowości ale i dwujęzyczności w Kanadzie.

Dwa najciekawsze referaty na powyższym spotkaniu wygłosili, niesłowiańscy uczeni z Université de Montréal: M. Brunet na temat: *L'Immigrant face aux deux-Canadas et le cas des Slaves* oraz Anna Stearns, na temat: *Slavs in Canada and Canada's Cultural Evolution: Facts and Potentials.*

Drugie spotkanie odbywało się w dniach 12-14 czerwca i miało charakter czysto akademicki. Była to doroczna konferencja *Canadian Association of Slavist*. Referentami byli wyłącznie profesorowie i pracownicy naukowi. Z grupy polskiej wygłosili referaty: A. Bromke: *Polska i Czechosłowacja: niepewny sojusz;* Włodzimierz Krysiński: *Wpływ poezji i teorii poetyckich T. S. Eliota na współczesną poezję w Polsce;* Danuta Bieńkowska: *Leszek Kołakowski, filozof i pisarz;* Jan Solecki: *Nauczanie języka rosyjskiego studentów nauk ścisłych;* Zbigniew Fallenbuch: *Polityka ekonomiczna okresu przejściowego z kapitalizmu do socjalizmu;* Piotr Radwański: *Słowiański folklor w Kanadzie.* Profesor Philip E. Uren nie jest pochodzenia polskiego ale wygłosił referat: *Rolnictwo w Polsce.*

W dyskusji nad doskonałym referatem prof. R. Pipesa z Harvard University, pt. *Rewolucja rosyjska w historycznej perespektywie* brał udział prof. Stanisław Swianiewicz.

Na zakończenie należy odnotować, że CANADIAN SLAVONIC PAPERS wydawane dotychczas jako rocznik przez *Canadian Association of Slavist* ukazywać się będzie obecnie dwa razy do roku a to dzięki hojnej dotacji p. Stefana Romana, milionera-finansisty pochodzenia słowackiego.

W pierwszym numerze br. znajdują się m.in. następujące „polskie" pozycje: Harald von Riekhof: *Pojednawcze przygrywki Piłsudskiego wobec Stresemanna;* Henryk Wereszycki: *Polskie powstania jako kontrowersyjny problem w polskiej historiografii;* Z. Markiewicz (profesor uniwersytetu w Nancy): *Charles Edmond — pośrednik między światem słowiańskim a Francją.*

Najobszerniejszą pozycję stanowi referat prof. V. Buyniaka: *Studia słowiańskie w Kanadzie* oraz dyskusja nad nim w której m.in. wzięli udział pp. Fallenbuch i Kos-Rabcewicz-Zubkowski.

Benedykt HEYDENKORN

Z zapisków oficera czasu wojny (II)

„Parada" podlegała brytyjskiej cenzurze wojskowej. Naszym głównym cenzorem był kapitan Lilien-Brzozdowiecki. Poznałem go na Cyprze — gdzie dzielił los niezmobilizowanych polskich oficerów. W owym czasie wraz z Wacławem Sikorskim redagowałem tygodniczek pn. „Głos Polaków na Cyprze" — wydawany przez Polski Konsulat Generalny w Nikozji.

Tam gdzie jest kilkuset Polaków — musi być oczywiście „dwójka". Szefem „dwójki" na Cyprze był major Berstling. Wszystkich rozszyfrował, skartotekował i za każdym z nas — powołanym do Brygady — wędrowała jego opinia. Nie mogłem mu wybaczyć sugestii byśmy donosili (oczywiście jemu) o wszystkich przejawach greckiego separatyzmu na Cyprze. W kilka lat później, w Palestynie, pewni Polacy związani z „dwójką" najzupełniej niepotrzebnie i z nadmiaru pilności współpracowali z Brytyjczykami przeciwko żydowskiemu ruchowi oporu. Kilku z nich przepłaciło to życiem.

Spora garść oficerów z tzw. drugiej grupy służyła w armii brytyjskiej. Dla młodszych oficerów (stopniem a nie wiekiem) warunki służby u Brytyjczyków były szczególnie atrakcyjne ponieważ awans do kapitana był niemal automatyczny. Lecz trzy kapitańskie „pipsy" stanowiły kres kariery dla znakomitej większości Polaków.

Gdy pierwszy raz zjawiłem się w biurze cenzury wojskowej w Kairze kpt. Lilien (już nie Brzozdowiecki) poinformował mnie, że armia brytyjska w przeciwieństwie do polskiej — nie tylko dała mu funkcję i etat lecz również z porucznika zaawansowano go na kapitana. Przedłożyłem Lilienowi mój artykuł, który zawierał dłuższy cytat wybrany z pism Józefa Piłsudskiego. Kpt. Lilien czerwonym ołówkiem wykreślił cztery czy pięć zdań z cytatu — pozbawiając wybrany fragment sensu i formy.

O Bierucie, Biezpiece i cenzurze — w Polsce jeszcze nikomu

się nawet nie śniło, gdy w dalekim Kairze Polacy w brytyjskich mundurach „oczyszczali" myśli Piłsudskiego.

Powierzenie cenzury nad Polakami — Polakom było bardzo chytrym posunięciem ze strony władz brytyjskich — ponieważ cenzorzy Anglicy byli daleko bardziej wyrozumiali i traktowali swój urząd z tolerancją i... zażenowaniem.

Niemal tego samego dnia, kiedy w cenzurze pojawił się kpt. Lilien — zostałem mianowany „Oficerem Propagandy". Pieniądze jednak nie nadeszły i nasz podoficer gospodarczy plut. Józef Ołpiński (w cywilu wice-prezydent Miasta Warszawy) — nie chciał mi wypłacić ani grosza. Staś Natanson matematyk, absolwent Cambridge i wachmistrz podchorąży — wpadł na szczęście na jeden ze swych licznych genialnych pomysłów. Natanson z uwagą studiował moje złote naszywki „P.R.O." i wreszcie zawyrokował. „z okazji twojej nominacji (to oczywiście nie była żadna nominacja!) zjemy doskonałą kolację z winem, pod warunkiem, że zachowasz się z godnością i będziesz przytakiwał z powagą każdemu mojemu słowu.

Przyjąłem powyższe warunki bez zastrzeżeń. W bok od Kasr-el-Nil — kilkanaście kroków od Ritza znajdowała się mała lecz czysta restauracja „Saloniki". Właścicielem był stary Żyd — patriarchalny i dostojny, który mówił nieźle po francusku i trochę po angielsku. Zjawiliśmy się w „Salonice" dobrze po 11 w nocy — kiedy w restauracji i w barze było już pustawo. W długich spodniach i w *bush-shirt*'ach — wyprasowani i odświeżeni — podeszliśmy do kasy przy której urzędował właściciel. Staś, który bywał częstym gościem w „Salonice" — wyjaśnił patriarsze za kasą, że celebrujemy dziś znaczne wydarzenie. Oto jego przyjaciel — tu z uśmiechem wskazał na mnie — został mianowany rabinem wojskowym, a litery „P.R.O." na naramiennikach oznaczają dostojny tytuł „Polish Religious Officer". Patriarcha wyszedł zza kasy i długo ściskał moją prawicę. Wreszcie powiedział z wyraźnym wzruszeniem: „taki młody i już rabinem!"

Staś — jak zawsze miał rację. Zjedliśmy doskonałą kolację z winem.

Na moje usprawiedliwienie muszę powiedzieć, że wydawało mi się wówczas okrucieństwem wyjaśnić poczciwemu patriarsze, że zrobiliśmy mu kawał. Wybrałem mniejsze zło, tj. kolację z winem.

Lubiłem czasem zjeść coś poza kasynem. Kuchnia arabska dostosowana jest do klimatu, ostre sosy, sałaty, znakomity ciemny biblijny chleb bezdrożdżowy i oliwa. A w oficerskim kasynie w Kairze odbywały się sceny żywcem wyjęte z „Popiołów". Posłuchajcie:

> „Na talerzach dymiły się ogromne porcje kiełbasy ze słodkim sosem, po polsku przyrządzone; w dziwacznych naczyniach starożytnych żołnierze roznosili kiszkę podgardlaną na gorąco, tłuste salcesony na zimno, pekflejsze i szynki z chrzanem.
>
> — Ależ to wy tu Wielkanocne święta, widzę, obchodzicie! — wołał zachwycony Cedro.
>
> — A ty coś myślał! Wprawdzie bab nie mamy żadnych, ale za to kiełbasy Skarzyński takie porobił, że cały pułk drugi już tydzień smakuje i nie może się odjeść".

Działo się to w skwarnej Hiszpanii, gdzie polscy lansjerzy wino Val de Peñas przerabiali na wódkę.

Wszystko się zgadza z wyjątkiem „naczyń starożytnych". W kasynie kairskim talerze były tanie i zwyczajne. Za oknami lipiec afrykański — temperatura w cieniu w porę obiadową dobiega 40 stopni Celsjusza. Lecz nikt się tym nie przejmował. Panowie oficerowie stoją oto przy bufecie — piją zamrożoną wódkę i spoglądają na góry kanapek identycznych jak u Hawełki w Krakowie. Po zakąskach siadamy do stołów. Arabowie w białych po kostki „koszulach", przepasani czerwonymi szerokimi pasami, w fezach na głowach, roznosili dymiący kapuśniak z wędzonką. A potem szły zrazy zawijane z kaszą w zawiesistym sosie po polsku. Na deser olbrzymie „buchty" drożdżowe z marmeladą bogato polane bitą śmietaną.

Pociliśmy się przy tym tradycyjnym obrzędzie jak w rzymskiej łaźni. Koszule i *bush-shirt*'y można było dosłownie wykręcać. Lecz wystarczyło przejść kilkanaście kroków po kairskim słońcu, by wszystko było z powrotem suche. Na khaki koszulach pozostawały tylko białe plamy z soli, którą wypacaliśmy masami. Trzeba by czegoś znacznie groźniejszego niż 40 stopni Celsjusza w cieniu by Polacy zaparli się kuchni narodowej i „Ojczyzny w płynie" czyli wódki.

Kłopoty polityczne miewałem nie tylko z cenzurą. Z tą ostatnią dawałem sobie znakomicie radę, bo kpt. Lilien w gruncie rzeczy pojęcia nie miał ani o polityce polskiej ani o polityce brytyjskiej. Ze strony brytyjskiej nigdy nie było nacisków czy nawet sugestii w sprawie pro-brytyjskiej propagandy na łamach „Parady". Wszystkie pomysły tego typu wysuwali Polacy na kontraktach w armii brytyjskiej. Ci panowie byli na ogół bardziej brytyjscy niż Churchill.

Trudności politycznych nie stwarzali jeszcze podówczas Brytyjczycy. Pamiętam, w Sidi Bishr staliśmy trzy godziny grzęznąc w rozpalonym piasku pustynnym. Płk. Damrosz w stalowym hełmie sprawdzał dziesiątki razy czy prezentujemy się jak należy. Wreszcie nadjechał samochód. Wysiadł z niego gen. Sikorski i kilku towarzyszących mu oficerów. Wówczas po raz pierwszy od września 1939 r. zobaczyłem polską rogatywkę. Gen. Sikorski przyjął raport — przeszedł przed frontem kompanii, a następnie zwrócił się do nas tak jakby kończył dłuższe przemówienie, którego początku nie było dane nam usłyszeć: „Błagam was" — mówił donośnym głosem — „nie róbcie polityki. Politykę zostawcie mnie!"

Przypomniałem sobie owo dziwne przemówienie gdy w czasie jednego z urlopów w Palestynie wezwał mnie do siebie profesor

Stanisław Kot. Rozmawialiśmy w cztery oczy. Prof. Kot powiedział mi wówczas: „pan jest politycznym dziennikarzem. Powinien pan wyjść z wojska, polityki nie robi się w wojsku".

Nie skorzystałem z cytowanej oferty — uważałem bowiem, że dopóki trwa wojna trzeba być żołnierzem.

W Armii Polskiej na Wschodzie nie lubiliśmy Londynu i jego reprezentantów. Czuliśmy się trochę jak rycerze na stepach Ukrainy pod Księciem Jeremim Wiśniowieckim. Tradycja królewiątek odżywa u nas przy każdej nadarzającej się sposobności.

W opinii prostych mas żołnierskich gen. Anders był tym, który z klęski Września, z dna nędzy i upokorzenia sowieckich łagrów — wyprowadził na wolność dziesiątki tysięcy i owe tysiące wyrwanych śmierci przekształcił w armię, jakiej Polska nigdy nie oglądała.

W Gederze (Palestyna) należałem do kompanii, która odbierała transporty przybyłe via Persja z Rosji. Pierwszego wieczoru jeden z byłych łagierników zawodowy plutonowy — powiedział mi: „panie, cud nad Wisłą to bajka w porównaniu z 'cudem Andersa' ".

Ludzie, którzy piszą wspomnienia — choćby w formie luźnych koszałków-opałków jak niniejsze — często deformują obrazy przeszłości ponieważ patrzą na nie przez okopcone szkiełko dzisiejszych zawodów i rozczarowań. Staram się uniknąć tego błędu. Dla tysięcy żołnierzy gen. Anders był nie tylko wodzem lecz w dosłownym tego słowa znaczeniu zbawcą. Siła uczucia wdzięczności była tym większa, że wielu tych, których uratował — straciło nadzieję ratunku. Trzeba było patrzeć i słuchać, by uwierzyć w wymiar legendy gen. Andersa

Wyprysznicowani, ostrzyżeni, wyszczepieni, umundurowani w tropikalne „sorty" — stali co wieczór cierpliwie w kolejce przed kantyną i wykupywali biały wojskowy, angielski chleb. Trudno ich było przekonać, zbiedzonych, że chleb będzie jutro, pojutrze i zawsze. Kiwali głowami i wątpili. Świat z nieograniczoną ilością chleba wydawał się przybyszom z Rosji nierealną zjawą.

W kilka miesięcy później ci sami nędzarze przedzierzgnęli się w Iraku w wojsko od którego biła łuna. „Maszerujecie jak gwardia — mam nadzieję, że i bić się będziecie jak gwardia" — powiedział żołnierzom gen. Sikorski w czasie swej wizyty w Iraku.

Lecz kim był Sikorski? Może tam i miał jakieś wojsko w dalekiej Anglii — jednak Armia Polska na Wschodzie była jednostką wyborową i w naszej ocenie drugiej takiej być nie mogło. Ewakuacja polskich jednostek z Francji nie była pełnym sukcesem i nie przysporzyła sławy naczelnemu wodzowi.

Intelektualiści i szydercy mogą wykpiwać Kozietulskich — niemniej major Hubal (Dobrzański) nie miałby takiej legendy w Polsce gdyby nie był ułanem. Stary Fredro pisze w swoich „Trzy po trzy", że Polakami łatwo jest rządzić — byle z konia i z szablą w dłoni. Nigdy nie widziałem gen. Andersa na koniu i z szablą w dłoni — był on jednak zawsze i wszędzie wcieleniem kawalerzysty i patrząc na niego nikt nie mógł wątpić, że wywodzi się organicznie z żywej, romantycznej arcy-polskiej kawaleryjskiej tradycji.

Na Sikorskim umundurowanie tropikalne nie leżało. Robił wrażenie rekruta, który świeżo przybył z Europy i nie zdążył się jeszcze zaaklimatyzować do całkowicie odmiennych warunków. Łatwo go sobie było wyobrazić w Londynie za biurkiem — lecz nie na koniu z szablą w dłoni.

W owych czasach nie byłem oficerem, ale szeregowym i słuchałem wypowiedzi żołnierskich w kantynach, w trasportach, na postojach. „On (Sikorski) nie jest z pustyni tylko miastowy" — powyższą opinię wypowiedział plut. Drozdowski na postoju w H4 — na szlaku pustynnym między Begdadem a Jerozolimą.

Byłem starym „Ramzesem" i obserwowałem nie bez sympatii jak „Prawosławni" (przybysze z Rosji) — wsiąkali w brygadową tradycję pustynną. Pustynia iracka to nie Afryka lecz upały bagdadzkie w niczym nie ustępują kairskim. Gdyby po przybyciu żołnierzy polskich z Rosji załadowano nas wszystkich na okręty i przewieziono do Anglii przepaść doświadczeń i tradycji oddzielająca „Ramzesów" od „Prawosławnych" przetrwałaby do końca. Lecz w Iraku „Prawosławni" zdobyli własne doświadczenie i tradycję pustynną i szorty i *bush-shirt*'y nosili z takim fasonem jakby pół życia spędzili pomiędzy Aleksandrią a Tobrukiem.

Inaczej było w cywilnej Jerozolimie. Tutaj królował Londyn, gen. Sikorski, prof. Kot i okresowo Bernard Singer. Ach, Singer wykpiwał nas bez miłosierdzia. „Czy pan jest 'saluś', panie kolego?" — zapytywał ilekroć spotkał mnie na ulicy czy w kawiarni. „Saluś" dla wtajemniczonych oznaczało „Salus Reipublicae" — hasło „loży" Klimkowskiego.

Wszystko wirowało wokół PIC'u czyli *Polish Information Centre*. Kierownikiem PIC'u był wówczas Jan Tabaczyński — miły kompan i beznadziejny polityk. Najzdolniejszym człowiekiem w cywilnej obsadzie był niewątpliwie Bogdan Łączkowski, który dojeżdżał do Jerozolimy ze swej placówki w Bejrucie. (Dziś Bodzio jest radcą w takim czy innym ministerstwie w Warszawie). Wyjeżdżałem z Kairu zwykle o 5-ej po południu specjalnym pociągiem wojskowym. Do Rehowotu przyjeżdżało się o 7-ej rano. W El-Kantara wymienialiśmy funty egipskie na palestyńskie. W Gazie o 4 rano jedliśmy śniadanie.

Polscy oficerowie, którzy jechali na urlopy — w przeciwieństwie do Anglików — byli znakomicie zaprowiantowani. Jajka na twardo, kanapki z wędliną, termosy z herbatą i alkohol. Jeżeli w przedziale podróżował ze mną major czy pułkownik — żywił mnie obficie przez całą drogę. Jedzenie i picie jako jeden z milszych sposobów zabijania czasu Anglikom wydaje się zwyczajem egzotycznym. W takiej sytuacji synowie Albionu wolą czytać stare gazety i rozwiązywać krzyżówki.

Przed Gazą otwierały się z trzaskiem drzwi i wchodzili do przedziału brytyjscy i polscy żandarmi. Na piersiach mieli zawieszone specjalne latarki z daszkiem, które rzucały tylko krąg światła nie większy jak mały spodek. Przez kanał Suezki płynęły

statki-widma z małymi niebieskimi światłami orientacyjnymi. Dopiero na granicy Palestyny kończyła się wojna.

W Jerozolimie nie było żadnych ograniczeń żywnościowych czy jakichkolwiek innych. U Futera na Ben Jehuda piętrzyły się szynki, wędliny, pasztety, sery. Radość było patrzeć a cóż dopiero jeść. W restauracji Finka, studiując kartę potraw, odbywało się „podróż za utraconym czasem". To była przedwojenna epoka w najlepszym wiedeńsko-budapeszteńskim wydaniu.

W porównaniu z inteligentami w wojsku inteligenci na cywilnych stanowiskach w Jerozolimie prowadzili rajski żywot. A przecież coś temu nie dostawało. Owa aura kawiarniano-plotkarska wywoływała wrażenie małomiasteczkowości. W Jerozolimie byli ludzie, którzy doskonale pracowali i mieli niewątpliwe osiągnięcia, lecz całość polskiego życia w tym świętym mieście tonęła w dulszczyźnie.

Miałem kategorię „D" (pospolite ruszenie bez broni) i byłem jak najdalszy od bohaterszczyzny. Jednak za każdym razem gdy wracając z urlopu mijałem bramę obozu w Sidi-Bishr — zdawałem sobie sprawę, że tu jest Polska na miarę chwili — rzeczywista i nieubłaganie serio.

W tych zapiskach wrócę jeszcze wielokroć do wspomnień jerozolimskich, ponieważ mieszkało tam wielu bliskich mi ludzi.

W Jebel Arab pod Jerozolimą na kamienistym zboczu góry wśród potężnych drzew eukaliptusowych stał dwór... bez mała szlachecki. Dwór — trudno ów budynek inaczej określić — zbudowała sobie przed wojną pewna Angielka, która nieprzezornie wróciła na wyspę. W owym czasie mieszkał tam i zarządzał całą posiadłością — mój przyjaciel Tadeusz Kowalski. Spędziłem w jego domu wiele urlopów.

Przed śniadaniem polowaliśmy zwykle na skorpiony, które Tadeusz tępił z namiętną zajadłością. Utkwił mi w pamięci pewien chmurny poranek w Jebel Arab. Szliśmy zboczem w kierunku Ain-Karem. Była jesień i wiatr niósł daleko eukaliptusowe liście. W pewnym momencie z oddali podpłynął ku nam dźwięk dzwonów. Dzwonili w kościele w Ain-Karem. Tak jak na sumę w Niegardowie. Spojrzałem na Tadeusza. Obserwował z uwagą kameleona na wielkim głazie. Roześmiał się. Było coś komicznego i patetycznego w nagłym przypływie wspomnień wydobytych dźwiękiem wiejskich dzwonów i owym kameleonem, który niedbale uniósł do połowy powieki i patrzył na nas, zasłuchanych w echa polskiej przeszłości. Czy on dla nas — czy my dla niego byliśmy bardziej egzotyczni?

Juliusz MIEROSZEWSKI

Książki

Amerykanka o Polsce przedwojennej

Do bogatej już literatury amerykańskiej o współczesnej, powojennej Polsce, doszło ostatnio książka, opisująca inną, niż dzisiejsza, epokę. Polskę w okresie międzywojennym, a ściślej mówiąc Polskę sprzed 30 lat. Jest to barwna opowieść Amerykanki polskiego pochodzenia, Anny J. Pawełek, pt. „AN AMERICAN IN POLAND"*.

Autorka miała dwa lata, gdy jej rodzice opuścili rodzinne Rytwiany, koło Sandomierza i emigrowali do Ameryki. Tu ukończyła szkołę średnią i uniwersytet w Syracuse, w stanie New York, gdzie studiowała dziennikarstwo. Dzięki Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku uzyskała stypendium na roczny wyjazd do Polski celem studiowania literatury na uniwersytecie Jagiellońskim.

Działo się to zapewne w latach 1935-36 (autorka daty nie podaje) i jej wspomnienia z Polski dotyczą tego właśnie okresu.

Opis swej podróży i pobytu w Polsce autorka przedstawia w sposób nader prosty, raczej prymitywny. Teraz już mało kogo interesuje jak w owych, jakże dziś zamierzchłych dla nas czasach, płynęło się na statku „Paris" z Nowego Jorku do Havre'u, a potem pociągiem, trzecią klasą, przez Paryż do Krakowa. Oczywiście, dla młodej studentki amerykańskiej były to pamiętne przeżycia, ale lepiej byłoby zachować je dla siebie, a cenne miejsce: 50 stron druku poświęcić temu, na co wskazuje tytuł: pobytowi Amerykanki w Polsce.

Ten bowiem pobyt ma być główną treścią książki. Opisując swoje wrażenia z codziennego życia w Krakowie, autorka coraz to wplata informacje o gmachach krakowskich, muzeach, obyczajach (lajkonik), o historii Polski, o studentach, studiach polonistycznych (słuchała wykładów Chrzanowskiego, Windakiewicza, Pigonia). Te opisy, rozszerzone na pobyt na wsi polskiej w Ryt-

* Pawelek, Anne Josepha. *An American in Poland.* Detroit, Endurance Press, 1967. VII, 285 str.

wianach, a potem w Częstochowie i Warszawie, noszą charakter przewodnika dla turystów, ale napisane są żywo, prosto, nie zawsze ściśle, ale pożytecznie dla czytelnika, nie znającego Polski.

Wplatając do tekstu wiele słów polskich, autorka nie zawsze tłumaczy je szczęśliwie na angielski. Rynek krakowski nazywa Central lub Main Square wtedy, gdy należy to tłumaczyć na Market Place. Takich błędów jest więcej.

Interesujące są jej spostrzeżenia o swych uniwersyteckich kolegach i koleżankach. Słusznie zaznacza, że polski student, wstępujący na uniwersytet, jest pod wielu względami lepiej umysłowo przygotowany niż amerykański już po skończeniu *college*. Jakże była zdumiona, gdy jej koleżanki z pierwszego roku studiów recytowały na pamięć teksty z greckich lub rzymskich klasyków. Sam, wykładając przez wiele lat w amerykańskich *college*'ach, mogę to potwierdzić. Żaden z mych studentów nie umiał zacytować ani słowa nie tylko z Owidiusza czy Cezara, lecz także z Szekspira, Poe'go lub Longfellow.

Dziwi się, że w Polsce zamiast *sorority-fraternity system*, mający ułatwić *social life* w życiu studentów, istnieją studenckie kółka (fatalnie to wygląda w transkrypcji „kolka" bez ó i ł), jak polonistyczne, matematyczne, przyrodnicze itp. Także dziwne jest dla niej, że wśród 5.000 krakowskich studentów nikt nie posiada samochodu. Za to wszyscy dużo chodzą i może dlatego *we never encountered a fleshy native*. Nie ma również w Polsce *dean of women* i studentki same muszą sobie radzić i mieszkać, gdzie chcą i jak mogą.

Ale, chwała Bogu, nasza autorka używała życia studenckiego, jak każdy z nas za młodych lat. Nauczono ją tańczyć i hasała po balach studenckich do rana, a potem prosto na wykłady. Wiemy, jak to bywało. Nieznana rzecz w Ameryce.

W oddzielnych rozdziałach autorka opisuje Wawel, Wieliczkę, teatr i witraże Wyspiańskiego, Częstochowę i historię obrazu Matki Boskiej, podaną zresztą nieściśle. Przed powrotem do Ameryki na „Kościuszce" z tak popularnym kapitanem Borkowskim, opisuje Gdańsk i Gdynię.

Do tych opisów, opartych przeważnie na informacjach, zaczerpniętych z przewodników turystycznych, autorka dodaje swoje własne dzieje, czasem zabawne, często naiwne, które jednak amerykański czytelnik będzie czytał z przyjemnością. Dłuższy rozdział poświęca „perłom literatury polskiej", dając na 20 stronach przegląd najbardziej wartościowych dzieł od Kochanowskiego po Sienkiewicza i Reymonta.

Najsłabszą stroną książki są tu i ówdzie podane fakty historyczne. Błędy są z jednej strony horrendalne, z drugiej rozbrajające w swej naiwności. Według autorki Polska powstała na podstawie 14 punktów Wilsona włączonych do traktatu Wersalskiego, a specjalnie ważny jest punkt 13 traktatu, który przyniósł Polsce *a certain amount of freedom*.

Trudno zrozumieć dlaczego jako dzień odzyskania niepodległości autorka podaje 30 stycznia 1919 r. Historia Piłsudskiego

zaczyna się dla niej dopiero po odzyskaniu niepodległości (tym razem w 1918 r.). O jego akcji niepodległościowej przed i w czasie pierwszej wojny światowej, o działalności Dmowskiego we Francji, albo o armii Hallera z ochotnikami z Ameryki nie ma ani słowa.

Dwuletnia wojna Polski z bolszewikami zawarta jest w kilkunastu wierszach. Dowiedziałem się z nich, że bolszewicy *were defeated by a volunteer army under General Haller's command whereas General Sikorski co-operated*. Także było dla mnie nowością, że bolszewicy *brought with them fatal diseases which confounded the Poles and killed many; were it not for timely medical intervention the plague would have spread to western Europe*. O innej „chorobie", którą chcieli wnieść bolszewicy — o komunizmie — a przed którą Polska ocaliła Europę, autorka nie wspomina.

Są błędy i innego rodzaju. W jednym miejscu autorka pisze o 9 milionach Amerykanów polskiego pochodzenia, w innym cyfra ta wzrasta do 13 milionów. Naprawdę jest ich około sześciu.

Jak wspomniałem, książka opisuje fragmentarycznie Polskę sprzed drugiej wojny światowej. Jednak autorka miała nieszczęśliwy pomysł, by uaktualizować swą pracę przez wstawki, dotyczące okresu Polski komunistycznej, której zresztą nie zna. W ten sposób, powołując się na inną autorkę, Christine Hotchkiss, pani Pawełek opisuje Gomułkę i kardynała Wyszyńskiego podkreślając iż *rapprochement* z kościołem jest jednym z najważniejszych haseł programu Gomułki. A „stary komunista i święty kardynał" są jedynymi *leader*'ami, którym Polacy wierzą!

Opis Warszawy autorka rozpoczyna od Pekinu (Stalinowskiego Pałacu Kultury i Nauki, którego nie widziała), podkreślając jego użytkowość. Okazuje się także, że tam można dostać najlepszą kawę. Dopiero potem opisuje Łazienki, Belweder, uniwersytet, Wilanów a wreszcie Sim i Ziemiańską. O zamku warszawskim nie ma mowy.

Zaletą książki jest przewijające się przez jej strony wielkie uczucie Amerykanki do Polski, do „starego kraju". Pod tym względem będzie to miła lektura dla Amerykanów, interesujących się Polską.

Wacław JĘDRZEJEWICZ

« Dwadzieścia cztery szyby mam w oknie »

„Poszarpany brzeg obsiadło miasteczko... Stare domy w tamtych stronach wydają się żywsze niż ludzie... okna mają po 24

szyby"[1]. Z takiego domu, poprzez okno o malowanych kolorowo okiennicach Kazimierz Wierzyński patrzał na Amerykę. I natychmiast kontrapunktem odzywają się te spostrzeżenia w poetyckiej jego twórczości:

24 szyby mam w oknie
Czyż nie za dużo?
Kto je pomaluje na niebiesko
Kto je pomaluje na zielono...
I kto zakwitnie w nich różą?

Była to Ameryka małego miasteczka, prowincja w „której intymność łatwo się schronić po apokaliptycznym Nowym Jorku". Na to samo miasteczko, na First National Bank, Marullo's Fruit and Fancy Groceries, Maple Street i port-Amerykańską Wenecję dla ubogich — i pewnie przez podobne okno o 24 szybach patrzył ktoś inny jeszcze, kogo Wierzyński spotykał wczesnym ranem wychodząc do centralnego sklepu po gazety: John Steinbeck.

U Steinbecka, Sag Harbor, położony u końca Long Island nad Zatoką Peconic Bay, stał się miastem z powieści *The Winter of Our Discontent*. Dlaczego właśnie Sag Harbor? „Czytelniku" — pisze Steinbeck w krótkiej nocie wstępnej do swojej książki — „nie staraj się identyfikować ludzi i miejsc, zajrzyj lepiej do własnego serca, gdyż książka ta jest w wielkiej mierze opowieścią o współczesnej Ameryce".

Zastanawiałam się czym jest książka Kazimierza Wierzyńskiego? Co dostrzegł w Ameryce poeta, którego twórczość tak silnie łączy się z polskim dwudziestoleciem niepodległości, poeta-emigrant, wiecznie z „kufrem na plecach" poszukujący światła i piękna, muzyki, koloru i zapachu. Co w 32 krótkich rozdziałach, niby w 32 kantatach związanych tytułem podkreślającym podwójnie osobistość doznania „moja" i „prywatna", wyśpiewał o Ameryce? „Nie chciałbym aby stała się źródłem złudzeń, nie wiem czy dociera do prawdy, ale kłamstwa w niej nie ma" — pisze Wierzyński.

Różne są „prawdy" o Ameryce. Oszałamiające i gorzkie. Prawda o kraju dolara i prawda o *„slums"*, o dzieciach murzyńskich wycieńczonych z głodu w Alabama i Mississipi. Prawda o wyzysku i mafiach, prawda o hegemonii nad światem, o erze amerykańskiej, o grubym *businessman*'ie z cygarem w ustach i o dziewczętach i chłopcach z *college* idących do *„slums"*, aby pomagać innym w ich samotności i wydźwignięciu się z upokorzenia, prawda o milionerach i o 50-godzinnym tygodniu pracy i prawda o kompleksie winy, że „nam jest lepiej podczas, gdy więcej niż połowa świata cierpi". Jest to kraj tak wielkich kontrastów, że może tylko jedna prawda była tu, jest i zostanie. Jest to prawda, którą rzadko tylko zrozumie przybysz do Ameryki i tylko wtedy, gdy „zaglądając w swoje własne serce" po zwykle ciężkim okresie amerykańskich zmagań dostrzeże zmiany i przyzna się sam

1. Kazimierz Wierzyński: *Moja prywatna Ameryka.*

przed sobą w zdziwieniu: To mój przybrany kraj. Mój? Dlaczego? Mój nawet wtedy, gdy już w nim nie mieszkam, nawet, gdy najbardziej urocze „pory roku" przeszły nie tu? Jaka to prawda pozwoliła wielkiemu polskiemu poecie nazwać Amerykę „moją". Co stało się w tym kraju, że Wierzyński tak na wskroś polski pisze o nim z sentymentem i jakby instynktowną chęcią obrony przed stereotypowym pojęciem o kapitalistycznym USA? Po raz pierwszy przyjechał Kazimierz Wierzyński do Ameryki w roku 1929 i „postanowił nie tracić czasu i powiedzieć wszystko od razu". Zamknął maszynę i przez cały czas 6-miesięcznego wtedy pobytu już jej nie otworzył. Jakże słuszne było to instynktowne postanowienie! Wierzyński był wtedy turystą i nie mógłby doświadczyć i odczuć Ameryki. Po raz drugi przyjechał w roku 1941. Emigrował. Państwo Wierzyńscy zamieszkali w małym mieszkaniu nowojorskim. Duszno i obco. W nieprzeliczonych stronicach *New York Times* szukali farmy „za 500 dolarów". Pamiętam tę obsesję drzew i szerokiego nieba, zapachu trawy i żywicy w amerykańskim „apartamencie". My też, jak wielu wielu emigrantów do Ameryki, przeżywaliśmy tę dławiącą tęsknotę za przyrodą, za farmą „za 500 dolarów". Ale trudno to wytłumaczyć. Tylko dla tych co to przeżyli będzie to, jak znak umowny — symbol.

Potoczyły się nieodłączne koleje losu emigrantów po drugiej wojnie światowej: pierwsze kontakty z Polonią, poszukiwanie swojskości, czegoś, co przypomina tamto utracone w Polsce. Tak Mickiewicz „na paryskim bruku" wszędzie dopatrywał się Litwy i tak Chopin w szumie morza bijącego o skały Majorki słyszał motywy polskiej ludowej piosenki.

Ale wtedy Wierzyński nie szukał jeszcze siebie i swoich Muz w Ameryce. Dręczyła go tęsknota, tragedia kraju, który opuścił, niepewność, ciasnota otoczenia. Ludzie mówiący wspólnym językiem, albo u których odnajdywał polskie sympatie, byli tylko ledwo zarysowującym się początkiem poznawania — pierwszym tonem nie zaczętego preludium. Czekał. I nagle:

„Stało się
Wyjechaliśmy z Nowego Jorku
Żyjemy na łasce u Pana Boga".

„Jak ogień co we mnie bije
Jak pożar co w głębi się chowa
Uciekłem tu — może odżyję
I wróci mi mowa".

„Ocknąłem się w Ameryce" — pisze Wierzyński — „jak śród nieznanej, prześlepionej rzeczywistości... Wybraliśmy się do Stockbridge w listopadzie 1947 roku, żegnani przez przyjaciół jak ludzie, co do których równowagi umysłu można mieć pewne wątpliwości. Była to wyprawa śmiała".

Każdy z nas, emigrantów do Ameryki, zdobywa się kiedyś na ową „śmiałą wyprawę" i budzi się „śród prześlepionej rzeczywistości". Każdy niemal zaczyna wtedy odkrywać własną prawdę o Ameryce i może nieraz odkrywać siebie.

Pamiętam moje własne „pierwsze odkrycie". Było to wejście do brzydkiego, dużego, pofabrycznego budynku Miejskiej Opieki Społecznej. Ludzie siedzieli w ogromnej sali poczekalni: biali i czarni, starcy i dzieci. Zmęczone, pełne napięcia i wyczekiwania twarze z tym powierzchownie usłużnym uśmiechem za którym: gorycz, zwiątpienie, nieufność. Czekali, szeptali czasem między sobą, a może krzyczeli: Złóżcie mnie jeszcze raz Na nowe życie[2]. Ale ja nie słyszałam wtedy. Nie słyszałam także krzyku Jamesa Baldwina: ... *suffering doesn't have a color. Does it?*[3] Czułam tylko, że pomoc, którą przyszłam im ofiarować nie będzie jedynie w dolarach. Wtedy obudziłam się „śród mojej prześlepionej rzeczywistości" i ludzie w Ameryce, nie Amerykanie, stali się tą prawdą, którą postanowiłam odkrywać.

W małym *cottage*'u poza którym ciągnęła się puszcza amerykańska, wśród ogromnych śniegów, ciszy, odcięcia od świata Wierzyński zaczął odkrywać prawdę o Ameryce i prawdę o sobie. Pisał wtedy książkę *Życie Chopina*. A „obok zeszytów z rękopisami Chopina położyłem inny zeszyt i w nim uciekałem od mojej prozy do wierszy. Tak zaczął się nowy ich zbiór, który nazwałem później: *Korzec Maku*... I wtedy właśnie, na tym odludziu, w ciszy czasu upływającego wolno, ocknęła się we mnie świadomość że mam w ręku instrument, który może mnie unieść ponad klęskę i... że pisząc te wiersze poświęcone poezji i niczemu innemu, ocalam jeszcze coś, czego nie odbierze mi żadna przemoc ani żadna nikczemność epoki. Że ocalam — na ile mnie stać — wolność poety i wierność jego powołaniu".

Wydaje mi się, że wtedy właśnie po „odzyskaniu mowy" nastąpił w twórczości Wierzyńskiego przełom bardzo zasadniczy. I wydaje mi się także, że spłoszony zgiełkiem Nowego Jorku, ale oczarowany puszczą amerykańską i cichymi, śnieżnymi lasami przeleciał przez niego Ptak. Czyżby tym ptakiem była muzyka Chopina i jego skrzydlaty cień?

„Czy nie poświęcić się jej (samoistności słowa), jak poświęcił się wielkiej swojej sztuce twórca nad którym właśnie pracowałem a który... był bardziej polski niż Polska choć przecież wyrażał tę konkretność środkiem tak nieuchwytnym jak muzyka. Czy nie zaufać poezji?

Książka moja wyszła 17 października, 1949 roku w stulecie śmierci Chopina. Zwinęliśmy manatki, wyjechaliśmy ze Stockbridge i przenieśliśmy się do Sag Harbor".

Dom do którego wprowadzili się państwo Wierzyńscy był sędziwy, 150-letni, okna jego o 24 szybach. Tu już z instrumentem

2. K. Wierzyński: *Nowe Życie.*
3. J. Baldwin: *Another Country.*

słowa, które wróciło, otwarty na świat i na ludzi poeta chłonął Amerykę.

„Jesienią spadają wiatry
I biją w stary nasz gruchot
150-letni dom..."

Trudno jest mi rozdzielić amerykańską książkę Kazimierza Wierzyńskiego od jego amerykańskiej i po-amerykańskiej twórczości poetyckiej. Wydaje mi się przewodnikiem po jego poezji, często kluczem do zrozumienia chociażby tego, że

„Rym nigdy nie kłamie
I siedem podków na progu, przy bramie
Prowadzi w inny świat, w cudowisko".

A przecież w Sag Harbor dom był o siedmiu pokojach „z dużym dziedzińcem śród świerków, rododendronów i krzewów kaprifolii. Od razu weszliśmy w nowe życie", i

„Spadła rosa
Na mój stary rododendron
Aby jeszcze jedną jesień
Przetrwał i nie więdnął".

Chciałabym jednak, chociaż porównania nasuwają się coraz inne, chociaż kuszą skojarzenia, skoncentrować się na *Mojej Prywatnej Ameryce* i postarać się napisać o niej kilka uwag w oderwaniu od tego co Kazimierz Wierzyński napisał przed, w czasie i po okresie, który zaryzykowałabym nazwać „okresem amerykańskim".

Jest to książka łagodna. Wydaje mi się zadumą estety nad tą stroną rzeczywistości amerykańskiej, którą zakreślił sobie sam, z własnego artystycznego wyboru swoim księżycowym i śpiewnym cyrklem. Czytanie jej to jakby słuchanie etiudy granej subtelną i wprawną ręką na klawikordzie. Napisałam: krąg zakreślony świadomie, gdyż Wierzyński wybrał. W kole jego doznań jest przyroda kraju i te zdarzenia i ludzie które ukształtowały Amerykę prawdziwą, ale rzadko dostępną dla turysty.

„Każdy pisarz" — powiedział Jan Parandowski — „jest... roztargniony wśród pełni świata. Wybiera z niej cząstkę i jeszcze ją nieraz ogranicza". Chociaż Kazimierz Wierzyński od okresu amerykańskiego niezmiernie rozszerzył i pogłębił swoje spojrzenie na pełnię świata, w książce *Moja Prywatna Ameryka* wybrał z amerykańskiego świata: cząstkę. Wybrał to, co moglibyśmy nazwać wartościami stałymi: piękno. Zauważył, odczuł i odnotował to o Ameryce co jest zupełnie niezależne od oceny tego kraju przez obecny świat. Odrzucił to, co zaskakuje przybysza i turystę: zgiełk, szaleństwo techniki, nieustającą rywalizację o nowość i pierwszeństwo produktów. Nie przemówiła do niego poezja

highway'u i żywioł samochodowych strumieni, on pisze o starych wykopaliskach, bo „Dowiedziałem się nagle, że w naszych stronach dokonano niespodziewanych odkryć archeologicznych". Ale nikt się tym w miasteczku nie przejął. „Obrażony na całe miasto zacząłem badania na własną rękę".

— Na własną rękę! — bo to co Wierzyński opisał czy to jest przyroda, czy zdarzenia, czy ludzie, podpatrzył i starał się doświadczyć osobiście. Nieutrudzony podpatrywacz: Jak? Gdzie? W jaki sposób? Dlaczego? Muszę to zobaczyć. Trzeba to zbadać, pogłębić. „Wyjeżdżam wiosną często nad ocean i śledzę jej postępy tam, gdzie zdawałoby się jest niewidoczna" albo: „Gdy tam przyjeżdżamy, dzień jest upalny, powietrze bez wiatru, drzewa bez szelestu... Stara siedziba tonie w bezruchu przyrody i świata... Skromność spuścizny po Whitmanie stoi w sprzeczności do wizji poety, który miał serce, jak stodoła". Sylwetki, wydawałoby się ledwo że dotknięte, umieszcza Wierzyński niby w czterech ścianach wiersza w ramie mistrzowskiego i ożywiającego je opisu. „Sam jego głos (pisze o Dylanie Thomasie), utrzymany na długim oddechu, który także słychać w tych recytacjach, głos gęsty, ciepły, drżący, jakby zadyszany od zachwytu, ma niezwykłą siłę i bezpośredniość". A oto jak opisuje odlot dzikich gęsi: „Odlot nastąpił trzeciego dnia. Przyjechaliśmy pod obóz w sam czas. Było to wieczorem, tuż po zachodzie słońca. Jedna ściana widnokręgu stała w gorącej, złotej czerwieni, druga zachodziła popielato-granatową ciemnością. Las długich szyj wyglądał jak dziwne wodorosty w różowej fali światła".

Wydawałoby się jakie to wszystko lekkie, wodzenie piórem po papierze ledwo że go dotykając, szkice, może tylko palcówki do późniejszych lub współcześnie powstających poezji. Czytając uważnie książkę Wierzyńskiego dostrzega się pogłębioną, wytrwałą i dociekliwą pracę badacza. I znów przywołam na pomoc autora „Alchemii Słowa", bo „pod każdym wierszem, pod każdym przymiotnikiem czuje się dokładne zbadanie szczegółów i rzetelną pracę".

To co Kazimierz Wierzyński przekazał w swojej „prywatnej Ameryce", to co zobaczył przez okno o 24 szybach jest nie tylko odczute, ale wyczerpująco pogłębione. Czy jednak w swoim czarodziejskim kręgu, którym otoczył to wszystko co go zachwyca i interesuje zamknął prawdę o Ameryce?

Mogę mówić tylko o ludziach mi bliskich, o tych, których życie mogłam zaobserwować i o sobie samej. Nie zatoczyliśmy kręgu, bo to Ameryka nas porwała na swoje zębate, oszalałe koło i trzeba się było mocno trzymać rękami i zębami, walczyć i nieraz zapierać się nogami i czasem walić głową o ścianę w rozpaczy: Co zrobić? Jak przeżyć? Jak się nie dać zmiażdżyć? Jak się do tego diabelskiego, nieznanego wiru dostosować? 50-cio godzinny tydzień pracy, obowiązkowe *overtim*'y, praca, jak często w nieswojej dziedzinie. *American experience.* Zaciśnięcie zębów. Upokorzenia. Nie jeden policzek moralny. Nie prawda? Przyjrzyjmy się co o Polakach napisał Hemingway:

„How do you like America? — Fontan asked me.

It's my country, you see... Mais on ne mange pas très bien. D'antan, oui. Mais maintenant, no.

— No, said Madame. „On ne mange pas bien... Et aussi, il y a trop de Polack. Quand j'étais petite ma mère m'a dit: vous mangez comme les Polacks. Je n'ai jamais compris ce que c'est qu'un Polack. Mais maintenant en Amerique je comprends. Il y a trop de Polack. Et, my God, ils sont sales, les Polacks".

.....

„les Polacks sont catholiques" — Fontan said.

„That's true", Madam Fontain said. „They go to church, then they fight with knives all the way home and kill each other all day Sunday. But they're not real catholiques. They are Polack catholiques".

(Ernest Hemingway: *Wine of Wyoming*)

Kazimierz Wierzyński pisze o polskich farmerach przyjmujących go przyjaźnie i że „dobre imię polskie buduje się na takich jak oni przykładach". Niewątpliwie. Ale ile trzeba było wysiłku, aby to dobre imię polskie zbudować i ile upokorzeń, trudności, gdy złe imię polskie (nie wnikam w to teraz, słusznie czy nie ustalone) stawało na drodze w pracy, w kontaktach z ludźmi, w ścisłym gronie rodzinnym gdzie dzieci wstydziły się swego polskiego pochodzenia. Ale w tej karuzeli amerykańskiej, w którą nas wrzucono i w której traciliśmy oddech, nieraz zdrowie i życie, „dobre imię polskie" nie było nawet najważniejsze. Bo utrzymanie dobrego narodowego imienia nie jest pierwszym odruchem instynktu samozachowawczego tam gdzie grozi brak dachu nad głową, bezrobocie, choroba i nie zapłacony rachunek w szpitalu, którego „insurance" nie chce już pokrywać. Tej gorzkiej, twardej i krwawej prawdy nie ma w *Mojej Prywatnej Ameryce.*

Poznałam Kazimierza Wierzyńskiego przed jego wyjazdem z Ameryki. Było to na przyjęciu na cześć i z okazji wieczoru nowojorskiego innego poety, który napisał o sobie, że jest „czeladnikiem stroskanym o mistrza" i który pewnie wtedy z Mistrzem w gościnnym mieszkaniu dzielnej pani Hanny Kisterowej tak mówił:

„Na zdrowie Panie Kazimierzu
Na zdrowie i na 'glik'
Wypijmy twój toast
Serca jesienny krzyk
.....
Wiatr nam rękę z tą czarką ku ustom podniesie
I wieczór zacznie kapać rudziejącą farbą
Z drzwi otwartych na taras twojego Sag Harbor".

Był to Jan Rostworowski, który już dawno i po raz pierwszy oczarował mnie swoją Opatową Anną. Wierzyński był w swoim

żywiole, w kręgu przyjaciół i artystów. Dla mnie był to jeden z bardzo nielicznych wieczorów wśród ludzi jakże miłych i interesujących na który przyjechałam z mojego prowincjonalnego Monumental City w którym nigdy nic się nie dzieje i od ludzi jakże innych, od ludzi z którymi związała mnie Ameryka.

Kazimierz Wierzyński był taki, jakiego go sobie wyobrażałam, ten sam, zdawało mi się, poeta, którego *Wiosna i Wino* łączą się ze wspomnieniami mego dzieciństwa. Ale teraz wiem, że był inny.

Nie porównywałam książki Wierzyńskiego do żadnej innej książki, ani też innego pisarza. Nie tylko dlatego, że nie jestem, ani też nie mam pretensji do tytułu krytyka literackiego, ale że Kazimierz Wierzyński jest zjawiskiem zupełnie niezależnym. Twórczość jego jest kroniką naszych przeżyć poprzez dwudziestolecie niepodległości, tragedię wojny i powstania, emigrację i wysiłek oderwania się od polskiego tylko krajobrazu, aby spojrzeć szeroko „na ziemię przed nami i po nas". Wierzyński pijany światem, zakochany w świetle i pięknie tych nieprzemijających wartości, często uchodzących naszej uwagi, szukał w Ameryce. I znalazł. Uśmiechamy się nieraz pobłażliwie, lekceważąco: kolory skrzydeł ptasich, ośnieżone lasy, wiosna w oceanicznej kropli wody! Cóż znaczy to wobec bezwzględnego tłoku nowojorskich kolejek podziemnych, wobec twardego „No" *boss'*a, wobec samotności straszliwej wśród obcego otoczenia, wobec wzgardliwego „Polak" wyszeptanego za plecami, cóż wobec wysiłku zebrania pieniędzy na College dla dzieci i na własny kąt-dom.

Ale to wszystko przeminie, a zagubiony nomada znów będzie wypatrywał pierwszego wiosennego ptaka, uśmiechnie się do czarno-żółtego skrzydła Oriole, spojrzy zachwycony na płomiennie jesienne drzewa, zaduma się nad brzegiem tajemniczego oceanu i uniesie głowę, aby spojrzeć na rozległe, wysokie niebo i wtedy po raz pierwszy i w najwyższym zdumieniu, odczuwając Amerykę prawdziwą, taką, która jest dla wszystkich i taką, którą się nie zmieni, powie o niej: Moja. Mój przybrany kraj. I wtedy także zacznie poznawać taką Amerykę, której szukał i którą znalazł Kazimierz Wierzyński.

Danuta MOSTWIN

Nadesłane nowości wydawnicze

WYRWA (Tadeusz). *Administrations latino-américaines. Le Venezuela.* Str. 9. (Odbitka z nru 116 (Mars-Avril 1967) de la „Revue Administrative", Paryż).

WYRWA (Tadeusz). *Notion et problèmes de la „propriété socialisée. Modeles soviétique et polonais.* Str. 349-365. (Odbitka z „Rivista Internazionale di Scienze Sociali". Rok LXXV (1967), Zeszyt. IV., Milano).

ZALESKI (Eugene). *Planning Reforms in the Soviet Union, 1962-1966.* An Analysis of Recent Trends in Economic Organization and Management. Str. 203 i 1 nlb. Tłum. Marie-Christine MacAndrew & G. Warren Nutter. (Wyd. The University of North Colina Press, Chapel Hill, 1967, cena dol. 6,—).

SENN (Alfred Erich). *The Great Powers, Lithuania and the Vilna Question, 1920-1928.* Str. 239 i 1 nlb., Indeks osób. (Wyd. E. J. Brill, Leiden, Holandia, 1966, cena egz. w opr. 40 guld.).

California Slavic Studies, Vol. IV. (January 1967) zawiera prace: E. Chmielewskiego: „Stolypin and the Russian Ministerial Crisis of 1909"; N. V. Riasanovsky: „The Emergence of Eurasianism"; W. Lednicki: „Tolstoy between War and peace"; K. B. Feuer: „Alexis de Tocqueville and the Genesis of *War and Peace*"; X. Gąsiorowska: „Boleslaw the Brave by A. Golubiew: A Modern Polish Epic"; G. Gömöri: „The Poet and the Hero: Genesis and Analysis of Norwid's *Bema Pamięci Żałobny Rapsod*"; H. Birnbaum: „On the Gramatical Status of Short Form Adjectives and Some Related Problems in Modern Russia". Str. 199. (Wyd. Univ. of California Press, Berkeley and Los Angelos, 1967).

BROMKE (Adam). *Poland and Czechoslovakia: The Hesitant Alliance.* Str. 9-20. (Odbitka z „The Central European Federalist", June 1967).

SKORZYNSKI (Zygmunt). *Recherches sur la dinamique des schemas et des modèles sociaux de vacances des habitants des villes en Pologne.* Str. 5-38. Opr. zamieszczone w „Rivista di Sociologia", Rok V, Nr 12 (styczeń-kwiecień 1967, Rzym).

STAROBIN (Joseph). *1956 — A Memoir.* Str. 8 (Odbitka z „Problems of Communism", Nov.-Dec. 1966, Vol. XV).

BRZEZINSKI (Zbigniew). *Communist State Relation: The Effect on Ideology.* Str. 7. (Odbitka z „East Europe", Vol. 16, No 3, Marzec 1967).

HELTAI (George). *November 1956: The End in Budapest.* Str. 10-15. (Odbitka z „East Europe").

TURYN (Aleksander). *The Manuscript Tradition of the Tragedies of Aeschylus.* (Przedruk wydania Polish Institute, Series No 2., New York, 1943). Str. VII i 141. (Wyd. Georg Olms Verlagsbuchhandlung, Hildesheim, 1967, cena DM. 20,80).

KURON (Jacek) und MODZELEWSKI (Karol). *Offer Brief an die Polnische Arbeiter Partei.* Str. 34-44. (Zamieszczony w „Kursbuch", Nr 9, 1967, Wyd. Suhrkamp Verlag, Frankfurt/M).

LEWYTZKYJ (Borys). *Die Sowjetische Bildungspolitik seit Chruschtschows Schulreform.* Str. 407-418. (Odbitka z „Pädagogische Rundschau", Nr 6, 1967, Ratingen bei Düsseldorf).

MOND (George H.) y SPIEGLER (Madeleine). *Control politico de la Administración en la U.R.S.S. y en los paises socialistas europeos.* Str. 104. (Odbitka z „Revista Espagnola de la Opinión Publica", No 7, styczeń-marzec 1967).

WOŁYNEĆ (Stepan). Opr. *Peredwisnyki i tworci Łystopadowoho zrywu.* Zach.-Ukr. hromadśki i polityczni dijaczi. Str. 324. (Wyd. Spiłka „Tryzub", Winnipeg, 1965).

DONCOW (D.). *Chrestom i Meczem.* Str. 319. (Wyd. „Homin Ukrajiny", Toronto, 1967).

ANTONYCZ (Bohdan Ihor). *Zibrani twory.* Pid red. Sw. Hordyńskoho i B. Rubczaka. Str. 399. (Wyd. Orhanizacja Oborony Łemkiwszczyny w Ameryci, New York, Winnipeg, 1967).

FILIPPOW (Borys). *Tuskłoje Okonce.* Rasskazy. Stichi. Oczerki. Str. 85. (Wyd. Russkaja Kniga, New York, 1967).

DATA	POLITYKA	KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
15-8-67	Prezydent Johnson i kanclerz NRF, Kiesinger, ustalili w Waszyngtonie, że wszelkie redukcje sił zbrojnych muszą być uzgadniane w ramach NATO.	Rada Ministrów na Węgrzech postanowiła rozszerzyć nowe zasady mechanizmu ekonomicznego na instytucje kulturalne. Oznacza to m.in., że instytucje wydawnicze czy teatry będą się musiały wykazać dochodem.	*Trybuna Ludu* zapowiada czystkę partii, która obejmie 6 do 10% członków.
16-8-67	Oddziały chińskie z prowincji północnych wysłane zostały na południe do Kantonu, by zaprowadzić porządek między zwalczającymi się ugrupowaniami.	Zmarł wybitny poeta węgierski Lajos Aprily.	Na zaproszenie min. Spychalskiego do Polski przyjeżdżają „na wakacje" ministrowie Obrony: Sowietów — Greczko i Czechosłowacji — Lomsky.
17-8-67	Przywódca grupy Niezależnych Republikanów we Francuskim zgromadzeniu Narodowym, Giscard d'Estaing, wysunął zastrzeżenia co do uprawnień prezydenta w sprawie wydawania dekretów gospodarczych.	Nagroda *Wiadomości* londyńskich za najwybitniejszą książkę pisarza polskiego, wydaną na emigracji w 1966 r., została przyznana Barbarze Toporskiej za powieść „Siostry". Nagroda poetycka została przyznana X. Bonifacemu Miążkowi za wiersze ogłoszone w *Wiadomościach*. „Siostry" były wydane przez Instytut Literacki w Paryżu, który również wydał w 1966 r. tomik poezji X. Miążka pt. „Ziemia otwarta". Nagrody „Wiadomości" były przyznane 8 lipca, jednak ze względów technicznych nie mogliśmy tej informacji podać w ub.m.	
18-8-67	Członek Komisji Spraw Zagranicznych Izby Reprezentantów, republikanin Findley, wypowiedział się przeciw przyznawaniu Polsce Klauzuli Najwyższego Uprzywilejowania, dopóki Warszawa udziela poparcia Wietnamowi.	Czeskie *Literarni Noviny* i Słowacki *Kulturny Život* nie przyłączyły się do partyjnej kampanii potępiającej wypowiedzi pisarza L. Mnacko, którego pozbawiono obywatelstwa.	
19-8-67	Ministrowie finansów, gospodarki i przemysłu naftowego 13 krajów arabskich zakończyli w Bagdadzie konferencję, na której rozpatrywali m.in. możliwość nacjonalizacji udziałów brytyjskich i amerykańskich towarzystw naftowych w tych krajach. Nie podjęto w tej sprawie żadnej decyzji.		Kardynałowie: Wyszyński i Wojtyła oraz 40 biskupów wzięło udział w obchodach 400 rocznicy śmierci św. Stanisława Kostki w Przasnyszu.
20-8-67	Sowiety i Czechosłowacja dostarczają rządowi federalnemu Nigerii 20 myśliwców odrzutowych.	Prof. Uniwersytetu Belgradzkiego, dr D. Srejovic, odkrył osadę z epoki kamiennej w miejscowości Lepenski Vir na jugosławiańskim brzegu Dunaju. Odkrycie to zmienia poglądy na początki cywilizacji w Europie.	Zmarł Izaak Deutscher, jeden z czołowych sowietologów polskiego pochodzenia.
21-8-67	Po raz pierwszy w okresie wojny wietnamskiej dwa samoloty amerykańskie zostały zestrzelone nad terytorium Chin.		

DATA	POLITYKA
22-8-67	Demonstranci chińscy podpalili siedzibę brytyjskiej Misji Dyplomatycznej w Pekinie. Pobito dyplomatów brytyjskich.
23-8-67	Holenderski minister Spraw Zagranicznych, Luns, podpisał w Warszawie polsko-holenderskie porozumienie kulturalne, polsko-holenderską umowę o współpracy gospodarczej, przemysłowej i technicznej oraz długoletnie porozumienie handlowe między Polską a Beneluxem.
24-8-67	Sowiety i Stany Zjednoczone przedstawiły na konferencji Rozbrojeniowej w Genewie projekt traktatu o nierozprzestrzenianiu zbrojeń nuklearnych. Niech żyje wolny Quebec! Okrzyk ten wzniósł gen. de Gaulle w czasie swojej wizyty w Montrealu.
25-8-67	Po złożeniu oferty przez Sowiety dostarczenia Jordanii samolotów typu MIG 21, Amerykanie postanowili wznowić dostawy broni na Bliski Wschód, by „przywrócić równowagę sił".
26-8-67	Min. McNamara oświadczył na posiedzeniu Komisji Kongresowej, że bombardowanie Północy nie zmusi przywódców komunistycznych w Hanoi do wszczęcia rozmów pokojowych. Gen. de Gaulle zdecydował się anulować wizytę w Ottawie, siedzibie rządu federalnego Kanady i powrócił do Paryża.
27-8-67	Ministrowie Finansów 10 najbogatszych krajów świata zachodniego uzgodnili plany dalekoidącej reformy światowego systemu monetarnego. Przewiduje się znaczne rozszerzenie wzajemnych kredytów. Premier Quebecu, Daniel Johnson, popiera bez zastrzeżeń postawę i wypowiedzi gen. de Gaulle'a w czasie jego wizyty w Kanadzie.
28-8-67	Premier brytyjski Wilson przeprowadził reorganizację gabinetu przejmując osobiste kierownictwo nad polityką gospodarczą rządu.
29-8-67	W czasie gdy w Chartumie rozpoczęła się arabska konferencja „na szczycie", w Kairze rozeszły się pogłoski o spisku przeciw Nasserowi.

KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
	W Moskwie otwarto pierwszą w historii Sowietów światową wystawę mody.
Londyński *The Guardian* zamieszcza obszerny artykuł poświęcony działalności pedagogicznej Janusza Korczaka.	Ambasador amerykański w Pradze, Beam, przerwał urlop by zbadać okoliczności śmierci dyrektora żydowskiej organizacji „Joint" na Europę, Amerykanina C. Jordana, którego ciało znaleziono w Wełtawie.
Prasa brytyjska zamieszcza pochlebne recenzje z wystawionego na Festiwalu edynburskim filmu T. Konwickiego „Salto".	
Polscy architekci: Chmielewski, Kazubiński i Kuraś zdobyli pierwszą nagrodę w konkursie na centrum „satelity" Helsinek — Espoo.	W międzynarodowym Zjeździe Astronomicznym w Pradze bierze udział 4 Jezuitów.
	Lincoln Rockwell, przywódca partii hitlerowskiej w Stanach Zjednoczonych, zginął z ręki zamachowca.
Pisarz L. Mnacko przebywający w Izraelu, którego władze czechosłowackie pozbawiły obywatelstwa oświadczył, na łamach *Sunday Telegraph*, że ferment pisarzy w Czechosłowacji skierowany jest nie przeciw socjalizmowi, lecz przeciw biurokracji.	Rząd NRF cofnął subsydia dla miesięcznika *Liberal* z powodu opublikowania artykułu krytykującego kanclerza Kiesingera.
	W Bułgarii odbyły się lądowo-morskie manewry sił bułgarskich, rumuńskich i sowieckich pod kierownictwem bułgarskiego min. Obrony gen. D. Dziurowa. Obecny był d-ca sił Układu Warszawskiego marsz. I. Jakubowski.

DATA	POLITYKA	KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
30-8-67	Po spaleniu poselstwa brytyjskiego w Pekinie i bójkach ulicznych przed poselstwem chińskim w Londynie, sprowokowanych przez Chińczyków, rząd brytyjski zwrócił się do Chin z propozycją przywrócenia normalnych stosunków dyplomatycznych.	W Moskwie rozpoczął się proces 3 młodych pisarzy: W. Bukowskiego, J. Kuszczewa i W. Delone. Mieli oni zorganizować protest w sprawie Siniawskiego i Daniela, jak również przeciw aresztowaniu redaktorów nielegalnego pisma *Feniks 66*. Redaktorzy tego pisma: J. Gałonskow, A. Bobogwalski i A. Ginzburg mają wkrótce stanąć przed sądem. Wszyscy mieli należeć do tajnej organizacji młodych intelektualistów „Smog".	14 wyższych oficerów brytyjskich z Wyższej Szkoły Wojennej przybyło do Polski z 5-dniową wizytą oficjalną. Jest to pierwsza tego rodzaju wizyta oficerów brytyjskich w Polsce.
31-8-67	Kraje Beneluxu postanowiły rozpatrzeć możliwość przyśpieszenia procesu integracji politycznej.		Shirley Temple ma kandydować do Kongresu z ramienia partii Republikańskiej.
1-9-67	Kraje arabskie postanowiły przerwać embargo nałożone na eksport ropy naftowej do Ameryki, Anglii i NRF.	Zmarł Ilja Erenburg, jeden z czołowych pisarzy stalinowskich, a w późniejszym okresie, przedstawiciel liberalnych tendencji w literaturze sowieckiej.	Zdaniem wielu komentatorów politycznych, poważna choroba min. Obrony NRF, Schroedera, może zmienić układ sił w koalicji rządowej w Bonn.
2-9-67	Przedstawiciele Stanów Zjednoczonych, Sowietów i W. Brytanii prowadzą poufne rozmowy dotyczące przywrócenia pokoju na Bliskim Wschodzie.	Prezydent Novotny i członek Politbiura Hendricht zapowiedzieli podjęcie akcji przeciw pisarzom „propagującym obcą dla partii ideologię".	60-letnia Ilse Koch, znana z okrucieństw nad więźniami w Buchenwaldzie, powiesiła się w więzieniu w Aichach w NRF.
3-9-67	Kandydaci rządowej grupy wojskowej w Południowym Wietnamie odnieśli zwycięstwo w wyborach.	Władze greckie aresztowały znanego kompozytora M. Theodorakis'a. Rozeszły się pogłoski, że został on poddany torturom.	Szwecja przeszła z ruchu lewo-stronnego na prawostronny.
4-9-67	Były wice-prezydent Egiptu i Naczelny Wódz w czasie wojny z Izraelem, marszałek Amer, aresztowany jest pod zarzutem spiskowania przeciw Nasserowi.		Niepokojące wiadomości o chorobie papieża.
5-9-67		Londyński *Sunday Times* i hamburski *Die Welt* opublikowały tekst manifestu 329 intelektualistów czechosłowackich, wzywającego Zachód do udzielenia im moralnego poparcia w walce z cenzurą.	
6-9-67	Prezydent de Gaulle przybył z wizytą oficjalną do Polski.		
7-9-67	Stany Zjednoczone zamierzają zbudować „linię Maginot'a" wzdłuż granicy z Północnym Wietnamem.		Olbrzymie obszary Indii w dolinie rzeki Gangesu dotknięte zostały klęską powodzi.

DATA	POLITYKA
8-9-67	Dwaj laureaci pokojowej nagrody Nobla: Philip Noel-Baker i Dominikanin Ojciec Pire, podejmują nową inicjatywę pokojową w Wietnamie. Zarówno Saigon, jak i Hanoi zgodziły się na przeprowadzenie rozmów.
9-9-67	Przemawiając w Zabrzu, prezydent de Gaulle wzniósł okrzyk: „Niech żyje Zabrze, najbardziej śląskie miasto, co znaczy najbardziej polskie miasto w Polsce".
10-9-67	Stany Zjednoczone przestrzegły Sowiety, że jeśli rozmowy na temat zamrożenia zbrojeń rakietowych nie rozpoczną się wkrótce, to Ameryka przystąpi do realizacji systemu pocisków anty-rakietowych.
11-9-67	Ludność Gibraltaru wypowiedziała się olbrzymią większością za utrzymaniem związków z W. Brytanią.
12-9-67	Przemawiając w Sejmie polskim w Warszawie prezydent de Gaulle wezwał Polskę do nawiązania przyjaznych stosunków z Niemcami, „tak jak to zrobiła Francja".
14-9-67	W prowincji Sikkim w Tybecie doszło do walk granicznych między wojskami chińskimi a hinduskimi. Marszałek Amer popełnił samobójstwo.
15-9-67	Z Moskwy nadchodzą wiadomości o wysłaniu sowieckich wojsk pancernych do Mongolii na granicę z Chinami.

KULTURA I NAUKA

Zmarł w Londynie, w wieku lat 80, Florian Sokołow, jeden z najwybitniejszych publicystów polskich w okresie międzywojennym. Tegoż dnia zmarł również w Londynie, w wieku lat 59, Adolf Fierla, znany pisarz i poeta śląski.

Zmarł w Waszyngtonie, w wieku lat 86, gen. dyw. w st. sp. Juliusz Rómmel, dowódca obrony Warszawy w kampanii wrześniowej 1939 r. w wieku lat 86.

Władze Czechosłowackie wprowadziły nowe, ostrzejsze zarządzenia dotyczące cenzury i kontroli prasy, wydawnictw i radia. Zarządzenia te, wprowadzone z inicjatywy Nowotnego, miały się spotkać z krytyką premiera Lenarta oraz ministrów: Davida i Hoffmanna.

Zmarł w Londynie, w wieku lat 71, prof. dr Tytus Komarnicki, b. delegat polski do Ligi Narodów.

W odpowiedzi na apel intelektualistów czechosłowackich pisarz niemiecki Günther Grass wzywa w liście otwartym prez. Novotnego do przyznania pisarzom wolności słowa.

Arnold Zweig znany pisarz, laureat Nobla i nagrody im. Lenina został usunięty z katedry na Uniwersytecie Humboldta we wschodnim Berlinie za ogłoszenie protestu przeciw kampanii antyizraelskiej, prowadzonej przez Wschodnie Niemcy i blok komunistyczny.

W Polsce ogłoszono, że na wyższych uczelniach pracuje prawie 24 i pół tysiąca pracowników naukowych, w tym 676 profesorów zwyczajnych, 1079 profesorów nadzwyczajnych i 2090 docentów.

RÓŻNE

Tatarzy krymscy, deportowani w 1945 roku za rzekomą kolaborację z Hitlerem, zostali obecnie rehabilitowani i teoretycznie mogą powrócić na Krym. Inne narody Związku Sowieckiego, deportowane w tym samym okresie, były zrehabilitowane w 1956 r. po XX Zjeździe.

Rząd brytyjski rozpatruje możliwość nawiązania współpracy między przemysłami lotniczymi brytyjskim i sowieckim.

Władze południowo-afrykańskie twierdzą, że aresztowany w Johannesburgu szpieg sowiecki J. N. Loginow ujawnił sowiecką sieć szpiegowską w wielu krajach.

Telewizja brytyjska nadała francuski film dokumentalny o „Bitwie o W. Brytanię", uwzględniający również udział lotnictwa polskiego.

W Watykanie ogłoszono, że Papież Paweł Szósty może się poddać operacji, w związku z chorobą pęcherza i nerek.

Humor krajowy

W WARSZAWIE O IZRAELU I ARABACH

— Dlaczego Żydzi rozpoczęli wojnę w poniedziałek?
— Żeby w piątek mogli spokojnie zabrać się do sabbatu.

◆

— Jaki jest szczyt bohaterstwa?
— Przebrać się za Araba i wejść do naszego MSZ'u.

◆

Podczas kampanii izraelskiej na pustyni synajskiej miały miejsce dwa zjawiska: jedno z dziedziny cudów, a drugie całkiem normalne.

Cudem było, że broń zakupiona w swoim czasie przez Izrael w Czechosłowacji — strzelała; zjawiskiem normalnym był fakt, że Bóg nie opuścił swego narodu wybranego i dał mu zwycięstwo.

◆

— Kto to są współcześni ekspresjoniści?
— Syjoniści z Expressu (warszawskiego).

◆

W związku z planem pomocy wojskowej dla Zjednoczonej Republiki Arabskiej polskie fabryki *tekstylne* pracują na trzy zmiany?
— Tekstylne? A cóż one wyrabiają?
— Jak to co? Gatki na zmianę dla żołnierzy egipskich!

◆

Na trasie Warszawa-Kraków pędzi Zastawa (Fiat produkcji jugosłowiańskiej) a tuż za nią ogromny Mercedes, wyciągający lekko 120 km. na godz. Kierowca Mercedesa chcąc wyprzedzić Zastawę dodaje gazu: licznik pokazuje 140 km. potem 160 ale Zastawa pędzi jeszcze szybciej i nie daje się minąć. Po pewnym czasie Zastawa zatrzymuje się przed stacją benzynową, Mercedes też przystaje i jego kierowca pyta:
— Silnik specjalnie wzmocniony, co?
— Nie, normalny — odpowiada kierowca Zastawy.
— To w jaki sposób tak szybko pan jedzie?
— Opony — pada odpowiedź.
— Opony? — Nie rozumiem.
— Proste! Niech pan się przyjrzy: z przodu dwie arabskie, z tyłu dwie izraelskie...

◆

W Warszawie mówią:

... że Plac 3-ch Krzyży ma być wyłożony dywanami, żeby Komisja Planowania nie wyrzucała złotówek w błoto...

◆

... że w wyniku wspaniałych osiągnięć międzynarodowego komunizmu — komuniści amerykańscy śpią na dolarach, rosyjscy na orderach, a polscy na zebraniach partyjnych...

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Los Angeles, 31. 8. 1967.

Szanowny Panie Redaktorze!

Chciałbym zwrócić uwagę na to jak zbrodnie popełnione w czasie ostatniej wojny światowej zaciemniane są przez władze Federalnej Republiki Niemieckiej.

Oto przykład fałszowania nie tylko historii okresu nazistowskiego, ale zaprzeczenie w stosunku do praw międzynarodowych.

Dnia 1 września 1939 r., we wczesnych godzinach rannych, polski Urząd Pocztowy w Gdańsku został zaatakowany przez bojówki nazistowskie, stanowiące tzw. Grupę Eberharda czy też *Freikorps Eberhard*. Napad ten miał miejsce w chwili kiedy Polska nie była jeszcze w stanie wojny z Niemcami, poprzedzał on natarcie armii hitlerowskiej.

Napad na Pocztę w Gdańsku był czynem kryminalnym skierowanym przeciw instytucji, której istnienie zagwarantowane było przez Międzynarodowy Trybunał i która była chroniona przez prawo i umowy międzynarodowe.

Pięć tygodni po tym napadzie, już po zakończeniu kampanii w Polsce, w październiku 1939 r. obrońcy Urzędu Pocztowego w Gdańsku zostali skazani przez sąd kapturowy tej samej Grupy Eberharda.

W 1963 r. zwróciłem się do *Zentrale Stelle* w Ludwigsburgu, w Niemczech Zachodnich, celem stwierdzenia miejsca zamieszkania i ściganie osób odpowiedzialnych za to legalne morderstwo, dokonane na urzędnikach pocztowych (w tej liczbie na osobie mego ojca Leona Fuza). W 1964 r. zbrodniarze znajdowali się na terenie Niemiec Zachodnich. Mimo ponawianych przeze mnie żądań, w czasie następnych dwóch lat Prokurator w Lubece nie wydał decyzji ścigania przestępców, motywując to tym, że morderstwo było „pełnoprawne i usprawiedliwione" (sic). Zaapelowałem przeto do *Generalstaatsanwalt Schleswig*, który w końcu maja podtrzymał negatywną decyzję Prokuratora w Lubece. Stwierdził on że „urzędnicy pocztowi nie byli żołnierzami i mogli być straceni bez procesu" (sic).

W związku z tak wyraźnym chronieniem przestępców wojennych — za radą mego adwokata — zaapelowałem do *Oberlandesgericht Schleswig*.

Ze względu na to, że Wolne Miasto Gdańsk do 1939 r. podlegało gwarancjom Ligi Narodów, a ponadto Szef Sztabu Generalnego Reichswehry, gen. Halder, nie uznał Grupy Eberharda za jednostkę niemieckich sił zbrojnych, zaś Günter Grass napisał swój światowy *best-seller* „Blaszany Bęben", w którym opisuje wypadki gdańskie — bardzo proszę o podanie do publicznej wiadomości o wyżej wspomnianych próbach niemieckich mających na celu poprawianie historii.

Dr George C. FUZ

Madryt, wrzesień 1967.

Drogi Redaktorze!

Nie bez zdziwienia przeczytałem w interesującym artykule Andrzeja Nakova pt. „Mikołaj Ciurlionis" („Kultura", Nr 6/236, 1967) uwagi o Gumilowie i akmeizmie. Po pierwsze autor samo nazwisko podaje w błędnej transkrypcji: Gumilew zamiast Gumilow, a ponadto nazywa go krytykiem. Gumilow pozostał w literaturze rosyjskiej przede wszystkim jako znakomity poeta, krytykę uprawiał dorywczo, żeby nie rzec — przypadkowo. Ale najbardziej zdumiewa w artykule Nakova następujące zdanie: „Proklamowany w tym samym czasie w kołach petersburskich 'akmeizm' (czyli coś w rodzaju 'super-symbolizmu') pozostał w zupełności martwą literą".

Akmeizm nie był czymś w rodzaju super-symbolizmu, przeciwstawiał się symbolizmowi zdecydowanie. Czy jego program teoretyczny doczekał się realizacji, to kwestia dyskusji. Natomiast wiadomo dobrze, że do grupy akmeistów należeli, poza jej założycielem i przywódcą, właśnie Gumilowym, Osip Mandelsztam, Anna Achmatowa, Siergiej Gorodieckij, Gieorgij Iwanow, a więc nazwiska zaliczane do najświetniejszych. Więc jakże „martwa litera"?!

Skoro mimo przysłowiowej już awersji do uprawiania epistolografii, zdobyłem się na napisanie tego listu, pragnę przy tej wyjątkowej okazji wyrazić niekłamaną uciechę z powodu artykułu Adama Czerniawskiego, „Nieposkromione bestie słów". Cytuję: „Poeta widzi rzecz zupełnie inaczej. Najpierw coś pobudza jego wyobraźnię, tworzyć się zaczynają mniej lub bardziej skoordynowane zdania, które notuje na kopercie listu (o ile papier koperty jest dostatecznie gładki) lub na jakiejkolwiek bądź częściowo już zużytej kartce (nic tak nie powoduje paraliżu aktu twórczego jak czysta kartka papieru)".

Ha! A jeżeli papier koperty nie jest dostatecznie gładki, lecz odwrotnie — szorstki, to już „mniej lub bardziej skoordynowanego zdania" nie można na nim napisać? A na bibułce można? Zaś kartka papieru w jaki sposób i gdzie ma być zużyta, żeby nie „paraliżowała aktu..?"

Drogi Redaktorze! Przecież jest Pan człowiekiem poważnym i redaguje poważne pismo! I do tego drukuje Pan „Kulturę" na papierze czystym, a nie „częściowo zużytym"! Czy to Panu nie paraliżuje redaktorskiego aktu twórczego? Wacław Zbyszewski piętnuje Pana od lat mianem groźnego dyktatora, a ja coraz częściej dostrzegam, że trzymają się Pana lekkomyślnie liberalne kawały.

Lodowaty uścisk dłoni.

Józef ŁOBODOWSKI

P.S. Zechce Pan łaskawie wybaczyć, że list ten napisałem na czystej kartce, ryzykując zapewne paraliż postępowy „aktu twórczego".

◆

Bruksela, 1 sierpnia 1967.

Szanowny Panie Redaktorze,

Koncern, w którym pracuję wysłał mnie w swych sprawach w kilkutygodniową podróż służbową po Europie Wschodniej. Spędziłem wówczas prawie miesiąc w Polsce. Myślę, że Pańskich Czytelników zainteresuje garść wrażeń i refleksji z tych wojażów.

Choć byłem już kilka lat temu w Warszawie, teraz wydała mi się bardziej szara i bardziej trudno to powiedzieć inaczej: chamska. Na każdym kroku niegrzeczność, opryskliwość i co ciekawsze nikt już na to nie reaguje, ludzie w ogonkach już się do tego przyzwyczaili, że w sklepach nie można nic kupić bez fochów i niechęci sprzedawcy. To samo w autobusie, tramwaju, taksówce i na kolei. Jedynie uprzejma, o dziwo, była milicja i wyżsi urzędnicy, z którymi załatwiałem sprawy, na których PRL miała zarobić. Bardzo często ci urzędnicy zapraszali mnie na obiadek, czy kolacyjkę, ale do płacenia nie byli skorzy. Zawsze gdy dochodziło do płacenia rachunków faceci byli czymś zajęci, albo szli po coś do szatni, czy do telefonu. W sumie w dziewięciu wypadkach na dziesięć płaciłem ja lub mój kolega Belg. Tłumaczyłem mu potem obłudnie, że to taki polski zwyczaj, bo było mi wstyd. Zjedzenie najskromniejszego nawet posiłku zajmuje co najmniej dwie godziny, bo naprzód siada się przy wolnym stoliku by po pół godzinie dowiedzieć się, że nie jest on obsługiwany. Potem znów czeka się na kelnera, na menu, na dania i na rachunek.

Taksówki warszawskie są nie tylko najbardziej przedpotopowe w świecie, ale i najbrudniejsze, choć tanie. Siedzenia często wytarte czy wydarte i założone kocem, który jest brudny, a co gorsza są na nim śmieci, jak gdyby nie był trzepany od tygodnia.

Najczystszy i najuprzejmiejszy jest Poznań, byłem tam w czasie Targów. Ale i tam konduktor w tramwaju krzyczał na mnie: „Nie wolno palić", nie ruszając się ze swego miejsca (w Poznaniu trzeba podejść do konduktora by zapłacić mu za bilet). Gdy z kolegą nie zorientowaliśmy się, że to odnosi się do nas i dalej paliliśmy, nie wiedząc, że w tramwajach nie wolno palić wrzasnął jeszcze głośniej, nie ruszając się ze swego miejsca: „Przecież mówiłem, że nie wolno palić, rzuć-że to świństwo jeden z drugim!"

Lato było w tym roku upalne, ale za to w całej Polsce nie udało nam się ani razu otrzymać chłodny napój, tylko letni, o ile oczywiście jeszcze był: mędrcy od handlu dotąd nie przewidzieli, że w lecie ludzie na ogół więcej piją, że może być gorąco i warto pomyśleć o lodzie, albo o lodówkach, na co już wpadli wszyscy inni na całym świecie, nawet w Bułgarii i na Węgrzech, gdzie można było zjeść tani i smaczny obiad bez czekania i dostać mrożonej wody mineralnej.

Nastrój ulicy w okresie wojny Izraela z Arabami był wybitnie i wyraźnie proizraelski, chociaż z miejsca powstawały kawały w rodzaju: „Czy pan jest za Arabami czy za naszym dyrektorem?" Albo — że „Izrael zapowiedział, że o ile rząd PRL nie odwoła noty o zerwaniu stosunków dyplomatycznych, to Izrael odwoła swych ministrów w rządzie polskim". Gdy Gomułka przemawiał przez telewizję i miał mówić o żydowskiej piątej kolumnie, cała Polska wyłączała telewizję na kilka godzin na zapas, by broń Boże nie słyszeć Głędułki. Na sztuce Hochnutha „Namiestnik", wymierzonej przeciw Watykanowi za to, że rzekomo nic nie robił by bronić Żydów w czasie drugiej wojny światowej, publiczność zawsze dotychczas milcząca bardzo żywo reagowała i biła brawa w obronie Żydów. Po przyjęciu w domu Idy Kamińskiej z okazji zwycięstwa Izraela, gdzie obecni byli znani intelektualiści, by zamanifestować swoją solidarność z Izraelem, wielu obecnych wzięto na milicję. Taksiarz, którego w godzinach szczytu zatrzymałem machając dolarem amerykańskim, bo inaczej nie stają, powiedział mi dowcip, że Kanał Sueski zmienił nazwę na Jezuicki, bo Arabowie zobaczywszy żołnierzy izraelskich moczących nogi w kanale, zawołali: O Jezu, Icki! Ale upewniwszy się, żem z zagranicy, cieszył się nie tylko z wygranej Żydów, ale i ze sromotnej porażki sowieckiej. „Dali im nie tylko broń, ale też wprowadzili tam swój bardak organizacyjny" — mówił z radością.

Ulgą było wyjechać potem na Węgry i do Bułgarii: obsługa, choć też tzw. uspołeczniona, ale sprawna i uprzejma. Ktoś mi tłumaczył, że w Polsce dlatego takie chamstwo i niegrzeczność, że 80% teraźniejszych ludzi w miastach pochodzi ze wsi. Jednak zagadka dlaczego w Polsce główną i nieodwracalną zdobyczą socjalizmu jest dotychczas tylko chamstwo, czeka ciągle na wyjaśnienie.

Z poważaniem,

J. S. (nazwisko znane redakcji)

◆

Erie, Pa., lipiec 1967.

Szanowny Panie Redaktorze!

Dobrze się stało, że „Kultura" zamieściła artykuł R. Królikowskiego o działalności ks. Stanisława Królikowskiego w kraju Hotentotów (Nr 6/236). Ale dopisek wydrukowany pod tym artykułem i pod nazwiskiem autora domaga się kilku wyjaśnień i sprostowań.

Zacznijmy od samego końca, to jest od twierdzenia, że winę za słaby udział duchowieństwa polskiego w pracy misyjnej poza Krajem ponosi „polska hierachia kościelna". Przez hierarchię rozumiemy zwykle biskupów. Otóż faktem jest — świadczy o tym niemal cała historia Kościoła — że pracę misyjną prowadzili nie księża świeccy pod kierunkiem biskupów, lecz prawie zawsze zakonnicy: Anglię nawracali Benedyktyni, w pierwszym wieku chrześcijaństwa duchowieństwo polskie rekrutowało się z zakonów, w średniowieczu szeroką działalność na misjach zagranicznych rozwijali Franciszkanie, a później Jezuici, Lazaryści (czyli Misjonarze św. Wincentego à Paulo). Kler diecezjalny prowadzi zwykle duszpasterstwo na terenach już przeoranych pracą misjonarzy zakonnych. Tak już jest — powodów takiego podziału pracy musi być dużo, skoro trwa on już przez tyle wieków. Wspomniany w artykule ks. Królikowski był Salezjaninem, a nie księdzem diecezjalnym. Nawet kardynał Hlond, starający się o duszpasterzy dla rozrzuconego po świecie wychodźtwa polskiego musiał założyć coś w rodzaju zakonu.

Biskupi mogą w tej dziedzinie coś zdziałać, ale bez współpracy zakonów nie zajadą daleko.

W okresie międzywojennym zakony i zgromadzenie zakonne w Polsce przechodziły dość trudne czasy. Istniały właściwie tylko na terenie byłego zaboru austriackiego, a gdy Polska odzyskała niepodległość skierowały swe wysiłki w stronę byłego zaboru pruskiego i rosyjskiego, żeby tam odzyskać placówki utracone zaraz po rozbiorach a przede wszystkim po roku 1863. Wszędzie brak było personelu i dopiero z latami zaczęły się zapełniać zakonne seminaria duchowne.

OO. Jezuici prowadzili nadal pracę misyjną w Ugandzie i wydawali miesięcznik MISJE KATOLICKIE i książki na tematy misyjne. W Poznaniu wychodził biuletyn omawiający działalność tak zwanego Papieskiego Dzieła Rozkrzewiania Wiary.

W roku 1929 zaczęli wyjeżdżać do Chin — po kilku co rok — księża należący do Zgromadzenia Księży Misjonarzy św. Wincentego à Paulo, znani w niektórych krajach jako Lazaryści. Objęli w Chinach dwie placówki, z których jedna była tylko częścią diecezji, a drugą stała się z latami osobną diecezją. Ta pierwsza znajdowała się w prowincji Kiangsi w diecezji *Ningpo* i pracowało tam dziesięciu księży z Polski. Druga liczyła w okresie najlepszego rozwoju 15 misjonarzy z Polski, a na jej czele stał polski biskup

nazwiskiem *Ignacy Krause*. Siedzibą biskupa było miasto *Shuntehfu*, blisko 400 km na południe od Pekinu. Na czoło tej misji wybił się kapłan-lekarz nazwiskiem Wacław Szuniewicz, znany od Szanghaju aż po Pekin jako znakomity specjalista od chorób ocznych. Życiorys tego polskiego i katolickiego Schweitzera opracowuje w Paryżu p. Maria Winowska. Oprócz tych dwóch zwartych grup można było znaleźć polskich misjonarzy wśród Franciszkanów i Werbistów, w statystykach misjonarskich na terenie Chin znaleźć można było ponad 30 polskich księży, a nawet biskupa nazwiskiem Kowalski (z USA).

Oczywiście w porównaniu z setkami misjonarzy francuskich, włoskich, niemieckich, holenderskich, belgijskich a nawet szwajcarskich była to garstka, ale garstka rosnąca z roku na rok aż do wybuchu drugiej wojny światowej. W ostatnich latach przed wojną udała się do Chin grupa polskich OO. Dominikanów, jeden z nich, dawniejszy inżynier z Mościsk nazwiskiem Szlachtowski, został zamordowany przez bandytów w prowincji Sechwan.

Kardynał Hlond zajął się nie tyle „misjami wśród pogan" ile opieką duchowną nad wychodźtwem polskim, zakładając zgromadzenie zwane Tow. Chrystusowym. Jego Chrystusowcy ruszyli do pracy na dobre dopiero po II wojnie światowej i dzisiaj pracują w różnych krajach, przede wszystkim w Brazylii i w Australii. W tej Brazylii pracowali już od roku 1903 polscy Lazaryści, a jeżeli ich było zbyt mało to dlatego, że księża z tego zgromadzenia byli czynni w Stanach Zjednoczonych, we Francji, w Rumunii, w Chinach (od r. 1929) no i oczywiście w Kraju.

Przeglądając dawne roczniki „Misji Katolickich", wydanych w Krakowie przez OO. Jezuitów można rzeczywiście podziwiać pokaźną liczbę polskich misjonarzy od Chin do Afryki i wśród polskich wychodźców.

Ale w tych samych „Misjach Katolickich" można znaleźć smutne dowody, że w takiej Brazylii, dokąd „gorączka brazylijska" porwała w latach 1889-90 kilkadziesiąt tysięcy ludzi, o duszpasterzy polskich nie mogli się ci biedacy doprosić. Zastanawiałem się nad tą sprawą pisząc krótki, amatorski szkic historyczny o „Początkach duszpasterstwa polskiego w Brazylii" (zob. *Duszpasterz Polski Zagranicą* rok 1960 nr 4, rok 1961, nr 1 i uzupełnienia rok 1967, nr 2). Początkowo i ja byłem skłonny wskazywać na kogoś palcem, ale po dłuższym namyśle doszedłem do przekonania, że chodziło raczej o coś, co Kisiel określał w swoich felietonach jako „ogólną niemożebność". Biskupi na ziemiach polskich nie mieli księży na obsadzenie parafii, zakony w dwóch zaborach były zlikwidowane ukazami carów i kulturkampfem Bismarka.

W dodatku na cały ruch emigracyjny patrzano często jako na zdradę ojczystego kraju, a więc komu się chciało myśleć o zapewnieniu emigrantom jakiejkolwiek opieki! Jechali za morza „na złamanie karku" (tytuł powieści-reportażu Dygasińskiego!), to niech sobie sami radzą. Rzecz nie do pojęcia: pod koniec ub. wieku znalazł się w Krakowie ks. Możejewski, który przez dwa lata patrzył z bliska na straszne skutki braku duchowieństwa polskiego w tym kraju i z trudem znalazł kilku księży gotowych do pracy w Brazylii, ale w ultrakatolickim Krakowie nie znaleziono funduszów na podróż tych księży do Brazylii...

Czterdzieści lat później, gdy polscy misjonarze ruszali do Chin, w prasie polskiej ukazywały się artykuły głoszące, że nasi misjonarze powinni za teren misyjny uważać Polesie, a nie jakieś dalekie Chiny. Przynajmniej w jednym wypadku artykuł tego rodzaju wyszedł spod pióra cenionej i znanej w całym kraju pisarki. Chcę przez to powiedzieć, że jeżeli było „ograniczanie się do wąsko pojętego terytorium polskiego", to było to zjawisko raczej ogólnokrajowe a nie coś w umysłach samej tylko hierarchii. Jest to coś z myśli rzucanych na setki lat wcześniej, choćby słowami Sebastiana Klonowicza zawartymi we „Flisie": *„Może nie wiedzieć Polak co to morze, gdy pilnie orze"*.

Dużo z tego należy już do przeszłości. „Ogólna niemożebność" jest już na tym odcinku naszego życia raczej przełamana. Apel zawarty w dopisku do artykułu o pożytecznej dla wszystkich działalności ks. Stanisława Królikowskiego jest na czasie tak samo, jak były apele wołające kiedyś o księży polskich do Brazylii, cytowane w moim wspomnianym powyżej szkicu o początkach duszpasterstwa polskiego w Brazylii. II Sobór Watykański w swoim głęboko przemyślanym dekrecie o misjach w krajach niechrześcijańskich podkreśla, że troska o misje jest obowiązkiem wszystkich biskupów i wszystkich katolików, a więc i zakonów. Trzeba myśleć kategoriami globalnymi, nie ograniczając się do „wąsko pojętego terytorium".

Ks. *Wojciech SOJKA*, Lazarysta
(były misjonarz w Chinach i gdzie indziej)

◆

Monmouth, 18 czerwca 1967 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Czytam „Kulturę" zazwyczaj od deski do deski, ale nie zawsze jednym tchem. Zwykle sięgam wpierw po najbardziej interesujące mnie tematy i nazwiska, później zaś, w wolnych chwilach, uzupełniam zaległości. Podobnie stało się z numerem majowym: artykuł „Owady w bursztynie" Magdaleny Czajkowskiej, oceniający wydawniczą działalność Polskiej Fundacji Kulturalnej uszedł zrazu mojej uwagi i przeczytałem go dopiero przed kilkoma dniami. Nie wracałbym więc pewnie do tego sprawozdania sprzed kilku miesięcy, gdyby nie jego uderzające luki, które nawet w takim ogólnym omówieniu wydały mi się zbyt poważne, by nie warto na nie wskazać i po krótce uzupełnić.

Trudno oczywiście, wymagać od sumarycznej recenzji wyliczenia wszystkich tytułów wydawnictwa (p. Czajkowska i tak wymieniła ich kilkanaście — co prawda raczej na wyrywki). Natomiast należało spodziewać się, że recenzentka nie ominie najpoważniejszych pozycji, zwłaszcza jeżeli wykraczają one poza określenie „książek łatwych" o „stylu wręcz młodzieżowym" — jakim p. Czajkowska objęła ogół wydawnictw PFK. To tak, jak gdyby ktoś chciał dać zarys górskiego pasma bez wrysowania w nie najwyższych szczytów.

Mój wybór „pokrzywdzonych" książek, jak każdy wybór, będzie subiektywny. Wśród opuszczonych tytułów są na pewno także inne godne pamięci. Osobiście pragnę uzupełnić listę książek, wymienionych i częściowo omówionych przez samą recenzentkę — czterema pozycjami: „Lewa wolna" Józefa Mackiewicza, „Próby i zamiary" Zofii Romanowiczowej, „Kolorowi ludzie" Z. Czermańskiego i „Dialogi z Sowietami" Vincenza. Ten mój wybór postaram się po krótce uzasadnić.

Nie czynię tego oczywiście, jeśli idzie o „Lewą wolną". O jej prawie do literackiej wybitności pisano już zbyt wiele, mnie włączając — by trzeba się powtarzać. Notuję tylko to opuszczenie i dodaję, że Józef Mackiewicz był reprezentowany w *paper-backach* PFK także tomem nowel, nie wzmiankowanych przez recenzentkę, wśród których znajduje się jedno z najlepszych opowiadań pisarza „Ballada o nowym sterniku"*.

* Drukowana po raz pierwszy w „Kulturze" Nr 6/44 (1951) (przyp. Red.).

Podobnie „Próby i zamiary" Romanowiczowej kryją pod skromnym tytułem co najmniej kilka pereł polskiej nowelistyki. Autorka ich nie potrzebuje pochwał, wydaje mi się jednak, że właśnie te z pozoru „okruchy" jej pisarstwa nie zostały dostatecznie docenione. „Próby i zamiary" obok „Przejścia przez morze Czerwone"** wydają mi się najwyższymi chyba — i zdumiewającymi w swej odmienności wyrazu — szczytami twórczości Romanowiczowej. W przeciwieństwie do dramatycznych napięć „Przejścia", nic prawie się w tych opowiadaniach nie dzieje, chwytają one tylko jeden moment, jedno przejmujące drgnienie życia — ale chwytają z nieomylną precyzją, z świetnym oddaniem nastroju i z celnością wyrazu, który znowuż w swym opanowaniu i prostocie jest nieomal biegunem nerwowego, wprost obsesyjnego toku zdań w „Przejściu przez morze Czerwone". Mnie małe te arcydziełka swoją subtelnością, dyskrecją, a przede wszystkim zdolnością uwiecznienia przemijającej i niepowtarzalnej chwili przypominają opowiadania Katherine Mansfield, klasycznej już mistrzyni tego gatunku.

Mniemam, że „Kolorowi ludzie" Czermańskiego, jakkolwiek rzecz lżejszego autoramentu, zasługiwali również na wymienienie jako jedna z czołowych pozycji. Czermański — łączący pióro pisarza z bystrym okiem malarza — jest urodzonym, celnym i uroczo dowcipnym gawędziarzem i wiele posiada danych na to, by jego opowieści o kolorowych ludziach mogły przetrwać, jak przetrwały do dzisiaj gawędy Paska, Chodźki czy Rzewuskiego.

Wreszcie Stanisława Vincenza „Dialogi z Sowietami" dają wnikliwy i bardzo niebanalny wgląd w psychikę przeciętnego człowieka sowieckiego i stanowią piękny dokument humanizmu w dzisiejszych „czasach pogardy". To książka naprawdę wybitna.

Wszystkie więc wymienione wyżej pozycje wymykają się jak sądzę, z określenia literatury „łatwej" (z wyjątkiem chyba Czermańskiego) — a przy tym związanej z przemijającym czasem. Recenzentka nadając swemu omówieniu tytuł „Owady w bursztynie", miała zapewne na myśli pewną „staroświeckość" ogółu książek PFK, powiązanie ich raczej z czasem przeszłym, niż z współczesnością i jej gustami. Ja pozwolę sobie zinterpretować sens tego tytułu inaczej: literacką trwałością wymienionych przeze mnie dzieł, które może będą jeszcze czytane, kiedy wiele współczesnych sensacji pokryje pył już nie wieków, lecz najbliższych lat. Chciałbym bowiem na zakończenie przypomnieć starą prawdę, że to co najbardziej nowoczesne w modzie literackiej nosi już w sobie zarodki przekwitania i że właśnie epigoni minionych prądów bywają często pionierami tych, które przyjdą po nas. Stendhal, pogrobowiec XVIII wieku przeżył romantyków, a ojciec realistycznej powieści, Flaubert jest dziś bożyszczem protagonistów antypowieści.

Łączę wyrazy najszczerszego szacunku,

Wit TARNAWSKI

** Drukowane po raz pierwszy w „Kulturze" Nr 7/141-8/142 (1959) (przyp. Red.).

Tom 146 BIBLIOTEKI « KULTURY »

SERIA - "ZESZYTY HISTORYCZNE"

ZESZYT DWUNASTY

Lipiec 1967

zawiera m.in. prace:

P. Wandycza: *Z zagadnień współpracy polsko-ukraińskiej w latach 1919-1920.*
T. Nowackiego: *Ludowe Wojsko Polskie* (dok.).
Z. S. Siemaszki: *Retinger w Polsce w 1944 r.*
M. Młotka: *Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich* (dok.).
J. Jaklicza: *17 września 1939 r. w Sztabie Naczelnego Wodza.*

Str. 240 Cena 15 F (dol. 3,00; 20/-)

◆

TOM 44

BORYS PASTERNAK

DOKTOR ŻIWAGO

Nowe wydanie głośnej powieści, wraz ze

STENOGRAMEM OGÓLNEGO ZEBRANIA PISARZY MOSKIEWSKICH

z dnia 31 października 1958 r.
na którym potępiono Borysa Pasternaka za wydanie zagranicą „DOKTORA ŻIWAGO"
Przekład *Pawła Hostowca.*
Wiersze oraz Stenogram w przekładzie *Józefa Łobodowskiego.*

Str. 544 Cena egz. 26 F (dol. 5,50; 38/6)

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W. 4. — Telefon: 01-994-1860

◆

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

◆

Kanadyjski korespondent „Kultury". Wacław IWANIUK,
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 4e Trimestre 1967

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte.
Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula « (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	$ A 1,00	$ A 5,35	$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300.000 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221, s. 1203, Cx. Postal 30.750, Sao Paulo, tél. : 35-5584. **Jerzy Pomian-Piatkowski,** rua Guiara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w ksiegarniach polskich w Paryzu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : M. Barczyk, P. Calandlaan 50, Amsterdam; tél. : 1533311; Konto pocztowe Nr 617512.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto 3, Ont, **K. Krakowska,** 2318 Hingston Ave. Montreal 28, Quebec, tél. : HU 8-5224; **« ZWIAZKOWIEC »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; **Jozef Polkowski,** 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, téléphone : 233-7212.	1,50 $ Can.	8,00 $ Can	13,00 $ Can.
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ..	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; **L. Dudarew-Ossetynski,** 1603 N° Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; **S. Dziarczykowski,** 2402 Cheremoya Av., Hollywood 46, Cal.; **M.K. Dziewanowski,** 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; **Adam J. Galinski,** 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; **T. Konopacki,** 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, **tel.** LA-1-2305 ; **Christian M. Kretowicz,** 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; **Stefan Kozlowski,** 1212 Donald Ave., Lakewood, Ohio 44107; **V.B. Kwast,** 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083; **Polish Amer, Book C°** 1136 Milwaukee Av., Chicago III. 60622; **E. Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; **Praca,** 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; **The Polish Book Importing C°, Inc.,** 156 Fifth Ave., New York, N.Y. 10010; **R. J. Sas-Babczynski,** 9530 East Rosecrans Ave, Bellflower, Cal.90706, Tel. 867-1857; **Jan Wojcik,** 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; **Jan Zych,** 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W. 11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-67-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18.228-56.

Nowości

BIBLIOTEKI «KULTURY»

TOM 146 — ALEKSANDER HERTZ

SZKICE O IDEOLOGIACH

WRACAJĄC DO MAXA STIRNERA — Z PERSPEKTYWY PRZESZŁOŚCI — IDEOLOGIA: TREŚĆ I ZAKRES — IDEOLOGIA: WERYFIKACJA — UWAGI MARGINESOWE O PRZEWIDYWANIU PRZYSZŁOŚCI — WIEK IDEOLOGII — INTELIGENCJA I IDEOLOGIE — KONIEC CZY KRYZYS?

Str. 160 Cena egz. 12 F (dol. 2,30; 17/6)

◆

TOM 147 — SERIA „DOKUMENTY"

WIKTOR SUKIENNICKI

LEGENDA I RZECZYWISTOŚĆ

WSPOMNIENIA I UWAGI O DWUDZIESTU LATACH UNIWERSYTETU STEFANA BATOREGO W WILNIE

Str. 128 Cena egz. 9 F (dol. 2,00; 13/6)

◆

TOM 148 — TOMASZ STALIŃSKI

WIDZIANE Z GÓRY

Pierwsza powieść o Polsce Ludowej, której bohaterami są członkowie Biura Politycznego KC PZPR

Str. 320 Cena egz. 18,50 F (dol. 4,00; 27/6)

◆

TOM 149 — SERIA „ARCHIWUM REWOLUCJI"

GALINA SIERIEBRIAKOWA

HURAGAN

Nowy wstrząsający dokument z okresu stalinowskiego
Przełożył Józef Łobodowski
Wstęp Gustawa Herling-Grudzińskiego

Str. 112 Cena egz. 8 F (dol. 1,75; 12/3)

Cena 5,00 F

Richard S.A., 24, rue Stephenson - Paris